Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

NR 19 (1170) ROK XXIII 11 MAJA 1980 R. CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: Profesor Barnard operuje ■ Mitologia grającego krążka ■ Wybieram mniejsze zło ■ Ze śpiewem w świat ■ Ten staw z naszej wsi ■ Jak się robi gazetę? ■ Felietony ■ Recenzje · Polityka ■ Załącznik

KUŹMA HRYB

ZA GŁOSEM SERCA

Mieliśmy dobrych wywiadowców. Byliśmy w dużym stopniu poinformowani o tym, co zamierzają uczynić w naszym kraju oddziały pacyfikacyjne i faszystowscy urzędnicy.

Jednym z naszych najlepszych wywiadowców był polski obywatel, komsomolec — Zygmunt Hermanowicz Grosbart.

Leży przede mną oficjalny dokument:

KOMISJA DO SPRAW BYŁYCH PARTYZANTÓW WIELKIEJ WOJNY OJCZYŹNIANEJ 1941—1945.

Nr 8003.

28 lipca 1975 r.

ZAŚWIADCZENIE

Stwierdza się, że obywatel GROSBART Zygmunt Hermanowicz został uznany za uczestnika walki z niemiecko-faszystowskimi najeźdźcami w mieście Humaniu w obwodzie czerkaskim (dowódcą był Romanszczak A.P.) od września 1941 roku do grudnia 1942 roku.

Sekretarz Komisji W. NIŻNIK".

(Data końcowa podana została wówczas niedokładnie. Późniejszy dokument — zaświadczenie Obwodowego Komitetu KPZR w Czerkasach Nr 148 z 30 kwietnia 1976 roku — ustalił, zgodnie ze stanem faktycznym, okres służby od 1 września 1941 do października 1943 roku.)

A oto egzemplarze gazety „Humańska Zorza" z 22, 24 i 29 października 1958 oraz z 9 sierpnia 1959 roku. W ostatnim czytamy:

Z polecenia podziemnego komitetu Zygmunt Grosbart pracował jako sekretarz w humańskim gebietskomisariacie, wydawał członkom ruchu oporu potrzebne dowody tożsamości i inne zaświadczenia, kierował partyzantów do pracy w faszystowskich instytucjach.

Dalszy ciąg na str. 3

Leningrad — 1941 rok

Berlin — 1945 rok

Foto: Archiwum

WACŁAW OPACKI

NADREŃSKIE ZNAKI CZASU

Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen — Kto chce zrozumieć poetę, musi przenieść się do jego kraju. Kilka lat temu pojechałem do kraju, którego naród wydał nie tylko wielkich poetów, ale także innych wybitnych ludzi, znanych na cały świat: Beethovena, braci Mann, Plancka, Einsteina... Ale nie po to, żeby wypełnić wolę wieszcza. Chciałem tylko po części zrozumieć, dlaczego w pewnym okresie historii nastąpiło przeistoczenie z *Das Volk der Dichter und Denker* na *Das Volk der Richter und Henker*. I w myśl tych ostatnich — sędziego i kata, zdecydował się na postawienie i zaofiarowanie narodom świata szyderczych słów, tych w Oświęcimiu: *Arbeit macht Frei*, lub tych w Dachau: *Jest tylko jedna droga do wolności, jej kamienie milowe nazywają się: posłuszeństwo — pilność — uczciwość — porządek — czystość — trzeźwość — prawdomówność — ofiarność i miłość ojczyzny...*

Pojechałem, zobaczyłem, ale nie w pełni zrozumiałem.

Pojechałem, aby zobaczyć, co pozostało — po trzydziestu kilku latach — z okresu, za który świat zapłacił hekatombą 55 mln ofiar i rozległymi obszarami spalonej ziemi. Neonazistowskie hasła zobaczyłem już na domach wzdłuż ulic Berlina Zachodniego. W miastach Republiki Federalnej Niemiec jest ich nie mniej... A więc oni nadal są, nadal trwają... Wnioski z tragicznej wojny, z apokaliptycznych wprost rozmiarów zbrodni zostały wyciągnięte i utrwalone w świadomości *tej* części społeczeństwa nie tak, jak byśmy sobie życzyli.

To już trzy lata minęły od czasu, gdy oglądałem pierwszy reportaż dokumentalny o młodzieżowych neonazistowskich organizacjach działających w Republice Federalnej Niemiec.

Dalszy ciąg na str. 13

WŁODZIMIERZ KARPIENKO

2 MAJA 1945 ROKU W BERLINIE

Cisza wciąż jeszcze niepojęta.
I w ładownicach wciąż naboje.
Żołnierz, co armat huk pamięta,
Biegnie schylony jak do boju.

Lufa kieruje się przez chwilę
Na wydłubanych okien jamy.
W piwnicach siedzą wciąż cywile
I w gruzach legły wszystkie bramy.

Jakże nieznośny ciszy reżim!
Żołnierz, co pokojowi drzwi otworzył,
Nie może wciąż w ten dzień uwierzyć,
Choć cztery długie lata wierzył.

Berlin 1945 r.

ALEKSANDER TWARDOWSKI

W GODZINIE POKOJU

Wszystkie narody świata!
Błogosławcie świetlany czas.
Przebrzmiały straszliwe lata,
Które dotąd gnębiły nas.

Jeszcze lufy ciepłe od pocisków,
Jeszcze krew tryska spod nóg.
Pokój nadszedł. Żyjemy, mimo wszystko,
Minąwszy cało wojny próg.

Królewiec, 1945 r.

ALEKSIEJ NIEDOGONOW

BEZSENNOŚĆ

Tryumfalnego finału data,
Marszu bez snu i żmudnych dróg.
U każdego —
Są cztery lata
Niedosypiania, nocnych trwóg.

Nieśliśmy w oczach
W obce kraje
Jak refleks bolesnej zadumy
Płonące wsie rosyjskie na rozstajach,
Pożarów czerwone łuny.

Bezsenność weszła wraz z pułkami
W niemiecki Berlin
Przez Stalingrad.

Żołnierze z czerwonymi oczami
Przynieśli sztandar, co ocalił świat.

Berlin 9 maja 1945 r.

JAKOW KOZŁOWSKI

DZIEŃ ZAKOŃCZENIA WOJNY

Nieprzyjaciel otrzymał od nas ultimatum.
A nasz dowódca, człowiek prawy i spokojny,
Zginął na wziętej w boju szosie trafiony z
Godzinę przed zakończeniem wojny.

Jeszcze do dziewcząt w Rosji biegły
Listy pisane w huku bitew,
A tu już pokój niepodległy,
Pierwsze minuty ciszą syte.

Czas stanął, czy można przeżyć więcej,
Gdy milcząc, w wirującym pyle drogi,
Niemcy do góry podnosili ręce,
Choć wcześniej doszli aż do Wołgi.

Nadjeżdżały transporty z prowiantem
I ledwie bój na ulicach ucichł,
Został wydany rozkaz intendentom
Nakarmić dzieci z polowych kuchni.

Otarłszy łzę (kamienie nawet krzyczą),
Sławiłem, zmarły dowódco, twoje męstwo.
Radość uparcie mieszała się z goryczą,
Kiedy wznosiłem toast za zwycięstwo.

Czołgiści głowy wychylali z luków,
Umazani smarami i oliwą tłustą.
Zdjąwszy czapkę, sam marszałek Żukow,
Nas, piechurów, kolejno całował w usta.

Berlin, 1945 r.

Od tłumacza: Podobnego fenomenu nie znała żadna inna armia świata. W Armii Radzieckiej służyło podczas ostatniej wojny blisko stu oficerów-poetów. Nieśli swoje słowo żołnierzom, uczyli wiary w zwycięstwo. I wraz ze zwycięską armią wyzwolicieli doszli do leżącego w gruzach Berlina.

Prezentowane tu wiersze są zarazem historycznymi dokumentami. Niosą nie tylko wzruszenie, choć trzeba w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na ich nośność poetycką. Powstawały w ciągu siedmiu dni, od 2 do 9 maja 1945 r. Napisane na gorąco, były natychmiast odczytywane żołnierzom, którzy pod niemieckim niebem święcili koniec wojny.

KONRAD FREJDLICH

DEBIUTY POETYCKIE 77-79

RYSZARD MATUSZEWSKI

Liczba debiutów poetyckich zaczęła w ostatnich latach gwałtownie wzrastać. Według liczb, które podaje sumienny badacz ruchu młodopoetyckiego, Andrzej K. Waśkiewicz, w r. 1976 pojawiły się 33 debiuty, w r. 1977 — 65, w 1978 — 52. Moje obliczenia dotyczące roku 1979 wskazują, że liczba debiutów wyniosła w nim ok. 90, zaś liczba tomów poetyckich w ogóle zbliżyła się do dwustu.

Powstające w różnych ośrodkach inicjatywy wydawnicze, m.in. serie debiutów, są przejawem kulturalnej aktywności tych ośrodków, zjawiskiem dającym się co prawda ocenić częściej w kategoriach socjologicznych niż artystycznych, niemniej są zjawiskiem bezwzględnie pozytywnym. Większe szanse publikacji debiutów — to zawsze również większe szanse nie zatracenia się autentycznych talentów, to oparcie dla grup młodych ludzi, którzy literaturą żyją, wymieniają na jej temat poglądy, tworzą życie literackie.

Są oczywiście i niebezpieczeństwa zwiększającej się liczby debiutów. Takie niebezpieczeństwa rodzą np. pobudzone, a nie spełnione nadzieje, związane ze społecznie usankcjonowanym startem literackim. Trzeba bowiem dziś przyjąć, że debiut poetycki, zaspokajając zrozumiałe i wartościowe aspiracje duchowe piszących, nie decyduje i nie może decydować o ich sytuacji życiowej, nie może być automatycznie biletem wstępu do literatury uprawiającym się co prawda ocenić częściej w kategoriach socjologicznych niż artystycznych, niemniej są zjawiskiem bezwzględ-

Dalszy ciąg na str. 8—9

MIĘDZY ŁODZIĄ A SZEGEDEM

W dniach 2—7 maja trwały tradycyjne Dni przyjaźni między naszym miastem i węgierskim województwem Csongrad, którego stolicą jest Szeged. Węgierscy przyjaciele zaprezentowali swój dorobek kulturalny, społeczny i gospodarczy; nie obyło się także bez takich atrakcji jak lubiana u nas bardzo kuchnia węgierska.

Do najciekawszych punktów programu tej wizyty należały bez wątpienia występy Zespołu Pieśni i Tańca Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Csongradu, koncert kameralny w wykonaniu solistów Opery w Szegedzie oraz wystawa „Przegląd sztuki Południowej Niziny Węgierskiej", na której zaprezentowane zostały dzieła blisko 50 artystów-plastyków, kontynuujących najlepsze tradycje malarstwa węgierskiego. A że jednocześnie mogliśmy uczestniczyć w przeglądzie węgierskich filmów, w kiermaszu węgierskiej sztuki ludowej oraz obejrzeć wystawę fotograficzną „Życie polityczne, gospodarcze i społeczno-kulturalne woj. Csongrad", nie będzie przesadą stwierdzenie, iż Dni wniosły dalszy bogaty wkład we wzajemne poznanie, które jest przecież podstawą przyjaźni.

Z tej okazji przybyła do Łodzi oficjalna delegacja komitatu csongradzkiego pod przewodnictwem sekretarza KW WSPR **Sandora Szabo;** gościł również w naszym mieście ambasador nadzwyczajny i pełnomocny WRL **Jozsef Garamvolgyi.** Węgierscy przyjaciele spotkali się z członkami Sekretariatu KŁ PZPR — z I sekretarzem KŁ **Bolesławem Koperskim** oraz z prezydentem m. Łodzi **Józefem Niewiadomskim.** Po uroczystej inauguracji Dni, która odbyła się w Muzeum Historii Miasta Łodzi, goście wzięli udział w wiecu przyjaźni w ZPB im. J. Marchlewskiego, a także w studenckim wieczorze przyjaźni; jak bowiem wiadomo, w naszym mieście uczy się liczna grupa studentów węgierskich.

Liczne spotkania bezpośrednie artystów, przedstawicieli zakładów pracy i instytucji województwa csongradzkiego — jedno z takich spotkań odbyło się w wiejskim Domu Kultury w Bychlewie — sprawiły, iż Szeged znalazł się jakby bliżej Łodzi i łodzian.

MAJOWE ŚWIĘTO KULTURY

Rozpoczęły się doroczne Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy — wielki, niemal miesięczny festiwal kulturalny, który odbywa się w naszym kraju już po raz 34. Znaczenie tegorocznych Dni podnosi fakt, że w czasie ich trwania obchodzimy 35 rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem oraz 25 rocznicę podpisania Układu Warszawskiego.

Jak co roku maj wypełniony zostanie kiermaszami książek, spotkaniami z przedstawicielami środowisk twórczych i kolejnymi prezentacjami dorobku amatorskiego ruchu artystycznego.

Tradycyjnie, w ramach majowego festiwalu odbywać się będą specjalistyczne „Dni", a więc m.in. Dzień Działacza Kultury, Dzień Muzyki, Dzień Plastyki, Regionalnych Towarzystw Kultury.

W Łodzi w program Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy włączone zostały Dni Przyjaźni Łódź — Csongrad; novum będzie **I Ogólnopolski Przegląd Filmów Przyrodniczych** połączony z retrospektywną wystawą prac Włodzimierza Puchalskiego (przegląd konkursowy odbędzie się o nagrodę Jego imienia) oraz z seminarium tematycznym. Zainteresowani już teraz powinni zarezerwować sobie czas w dniach 15—17 maja. Centralny kiermasz książki, jak zwykle — w pasażu L. Schillera — w dniach 10—11 maja.

PROFESOR BARNARD OPERUJE

Z dziesięciodniową wizytą przyjechał do Łodzi światowej sławy kardiochirurg, profesor Marius Barnard z Kapsztadu, współtwórca transplantacji serca, specjalizujący się w usuwaniu wrodzonych wad serca u niemowląt. Profesorowi Mariusowi Barnardowi towarzyszy 3-osobowa ekipa współpracowników. Podczas pobytu w Łodzi wybitny chirurg przeprowadzi dwadzieścia operacji serca u najmłodszych pacjentów Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej.

W poniedziałek, w Instytucie Pediatrii AM, odbyła się konferencja prasowa z udziałem profesora M. Barnarda i towarzyszących mu osób. Poniżej publikujemy relację z przebiegu tej konferencji.

O godzinie 11.30 w Bibliotece Instytutu prawie wszystkie miejsca były zajęte. Przyszli już dziennikarze z wszystkich gazet codziennych i radia. Redaktor Barbara Chrzczonowicz z Telewizji wymieniała ostatnie robocze uwagi z ekipą techniczną. Fotoreporterzy mierzyli światło. Pani Barbara Turowska, rzecznik prasowy Akademii Medycznej, przypominała, że mamy niewiele czasu, właściwie 45 minut, bo konferencję, ze względu na rozkład zajęć gości, musimy zakończyć o godzinie 13. Redaktor Andrzej Wach denerwował się, że spotkanie się opóźnia. Ktoś niecierpliwie spoglądał na zegarek. O 11.45 przybiegła sekretarka, przepraszając, że profesor się spóźni. Jest właśnie u chorych dzieci i mali pacjenci zatrzymali go dłużej, niż przewidywano. Ktoś z obsługi pyta, komu podać kawę a komu herbatę.

Cierpliwie czekamy, ale napięcie rośnie, czas nagli. Kilka minut przed dwunastą wchodzi liczna grupa osób. Trudno wśród nich rozpoznać gości. Prowadzi dyrektor Instytutu, prof. **Barbara Dębcowa,** w błękitnym lekarskim fartuchu. Obok, profesor **Jan Moll** w ciemnym garniturze. Jest sporo lekarzy i asystentów. Robi się tłoczno i gwarno. Z red. Krzysztofem Turowskim z Polskiego Radia przenosimy się z magnetofonem jak najbliżej rozmówców, żeby lepiej słyszeć. Teraz widać ich wyraźnie. Siadają w rzędzie po jednej stronie stołu: pośrodku profesor **Marius Barnard,** szczupły siwy pan o zdrowej cerze i niebieskich oczach (garnitur z szarej flaneli, granatowy pulower i szafirowy, wzorzysty krawat). Po jego prawej ręce barczysty współpracownik, z bujną siwą brodą, w beżowym golfie i brązowej welwetowej marynarce. Po lewej, w jasnym garniturze i okularach, drugi członek ekipy. Wszyscy trzej są spokojni i uśmiechnięci. Słychać trzask aparatów fotograficznych i szum kamery.

Jeszcze kilka spraw organizacyjnych. Konferencję poprowadzi kierownik Kliniki Kardiologii Akademii Medycznej, prof. **Jan Moll,** który podejmuje się także roli tłumacza. Goście mówią po angielsku. Oficjalne powitanie dziennikarzy przez prof. Barbarę Dębcową i Jan Moll przedstawia gości.

— Profesora **Mariusa Barnarda** — mówi — nie muszę chyba państwu prezentować. Jest współtwórcą pierwszych transplantacji serca, najbliższym współpracownikiem swego brata, profesora **Christiana Barnarda,** prekursorem nowych kierunków kardiochirurgii. Po prawej ręce profesora Barnarda siedzi profesor **Christopher Sward,** anestezjolog z Kapsztadu, po lewej — doktor **Erik Berg** z Kopenhagi, perfuzjonista, prowadzący sztuczne płuco-serce. Brak jeszcze czwartego członka ekipy, chirurga, doktora **Antonio Curzio** z Rzymu, który dziś o 15 przylatuje do Warszawy i w Łodzi zjawi się dopiero we wtorek.

Pierwsze pytanie — prof. Moll zwraca się do prof. Barnarda — dotyczy, jak zwykle, technicznych problemów transplantacji serca.

M. BARNARD (zdecydowanie): — Nie ma takich problemów.

J. MOLL: — Państwa interesuje punkt widzenia pana profesora na genezę transplantacji. Brał pan udział w pierwszej w świecie, zakończonej sukcesem, transplantacji ludzkiego serca, w 1967 roku, w szpitalu Groote Schuur. Co wpłynęło na podjęcie tej operacji?

M. BARNARD: — Decyzja o podjęciu pierwszej transplantacji ludzkiego serca była — według mnie — naturalną konsekwencją postępu medycyny na całym świecie. Zarówno postępu w naukach medycznych, jak i w wyposażeniu technicznym. Stałym wyposażeniem klinik stało się na przykład sztuczne płuco-serce. To że transplantacja odbyła się akurat w Kapsztadzie, należy traktować jako najzwyklejsze przypadkowe wydarzenie. Gdyby nie podjęto decyzji dokonania przeszczepu w Groote Schuur, prędzej czy później zdecydowaliby się na tę operację kardiochirurdzy w innej części świata. Był to nieuchronny wynik rozwoju, zwykła kolej rzeczy.

Pytanie: — Co skłoniło pana, profesorze do przyjazdu do Łodzi?

M. BARNARD: — Odpowiem po prostu: umiłowanie pracy i chęć pomocy najmłodszym pacjentom. Skażenie środowiska naturalnego, coraz trudniejsze warunki biologiczne, w których żyją przyszłe matki, powodują, iż coraz więcej dzieci rodzi się z wrodzonymi wadami serca. Jedyną drogą utrzymania wielu z nich przy życiu jest tylko operacja, i to w jak najwcześniejszym okresie życia. To prawda, iż są to zabiegi kosztowne, wymagające wyspecjalizowanej ekipy i skomplikowanej aparatury. Jeśli jednak porównamy społeczne koszty leczenia i utrzymania kalekiego dziecka w domu, wymagającego stałej opieki rodziców lub pielęgniarki, wówczas okaże się, że zabiegi chirurgiczne nie są aż tak drogie. Nie mówiąc już o tak niewymiernych kosztach, jak odzyskane życie i zdrowie dziecka. W Polsce jestem po raz drugi. W listopadzie uczestniczyłem w zjeździe kardiologów w Szczecinie. Znam i cenię prof. Molla. Znam także wielu Polaków w Kapsztadzie, gdzie jest dość liczna Polonia. Podczas obecnego pobytu chciałbym zwiedzić Kraków i tamtejszy cmentarz, na którym pochowano południowoafrykańskich lotników, z zestrzelonego podczas wojny samolotu.

Wraz z moimi kolegami przyjechaliśmy do Łodzi pracować. Będziemy tu operować niemowlęta. Jeszcze raz podkreślam — do przyjazdu skłoniła nas pasja pracy, którą trzeba wykonać dla ratowania małych pacjentów.

J. MOLL: — Kilka słów wyjaśnienia. W Łodzi nie operujemy niemowląt z wrodzonymi wadami serca. Brak nam potrzebnej aparatury. Nie mamy także warunków do zapewnienia im należytej po operacji opieki. Tymczasem niemowlęta, to nie tylko mikroorganizmy w sensie chirurgicznym, ale zupełnie inne organizmy, które łatwo mogą stracić życie. Cieszymy się więc bardzo, że profesor Barnard, wraz ze swoją doświadczoną ekipą, podjął się operacji dwudziestu dzieci. Goście przywieźli ze sobą produkowany przez firmy duńskie sprzęt niezbędny do przeprowadzenia tych operacji. Aparatura leży jeszcze nie rozpakowana, w skrzyniach.

Pytanie (kilka głosów na raz): — Dwadzieścia operacji, to jest aż dwadzieścia i tylko dwadzieścia. Jakimi zasadami kierowano się przy wyborze dzieci?

J. MOLL: — Najlepiej wyjaśni to doktor **Andrzej Sysa,** adiunkt I Kliniki Pediatrycznej.

A. SYSA: — Wybór był bardzo trudny. Dzieci, które wymagają operacji kardiochirurgicznych, jest w Polsce dużo. Statystycznie, rodzi rocznie się około 6 tysięcy niemowląt z wrodzonymi wadami serca. Część z nich wymaga operacji w najwcześniejszym okresie życia.

B. DĘBCOWA: — Zabiegi kardiochirurgiczne u małych dzieci przeprowadza się w Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Niestety, kolejka czekających na operację jest tak długa, iż przekazanie tam naszych pacjentów jest praktycznie niemożliwe.

A. SYSA: — W Łodzi mamy pod opieką pacjentów z pięciu województw. Zbieramy tu chore dzieci, które czekają aż otworzy się przed nimi możliwość usunięcia defektów przez kardiochirurgów. Muszą czekać do 3—5 roku życia, czyli wieku, w którym można poddać je operacji w Łodzi. Do operowania niemowląt i młodszych dzieci, jak już podkreśliliśmy, nie mamy tutaj warunków. Przyjazd prof. Barnarda i jego ekipy, stworzył zupełnie wyjątkową sytuację. Wybraliśmy więc takich pacjentów, których zdrowie jest najbardziej zagrożone. Wybraliśmy dzieci, które nie mogą czekać.

B. DĘBCOWA: — Jesteśmy więc bardzo wdzięczni prof. M. Barnardowi za jego przyjazd do Łodzi. Nasi lekarze będą mieli także możność zweryfikowania postawionych diagnoz i skorzystania z doświadczeń gości. Możemy się od nich wiele nauczyć. Żywimy ciągle głęboką nadzieję, że wspólnie z prof. Janem Mollem rozszerzymy w przyszłości kardiochirurgię w naszym instytucie. Zależy to zarówno od wyposażenia instytutu, jak i od wykształcenia odpowiedniej klasy kardiochirurgów dziecięcych.

Pytanie: — Czy profesor Marius Barnard spotka się z przedstawicielami łódzkiego środowiska lekarskiego? Czy nasi lekarze będą mieli możność bezpośredniego kontaktu z profesorem, czas na przeprowadzenie rozmowy i poznanie jego poglądów?

J. MOLL: — Oczywiście. 14 maja planujemy spotkanie z członkami lekarskich towarzystw naukowych: kardiologicznego, chirurgicznego i pediatrycznego. Będzie to okazja do wymiany myśli i rozmów na fachowe tematy.

Zbliża się 12.45. Pozostało jeszcze kilkanaście minut. Prowadzący konferencję wymownie spogląda na zegarek. Fotoreporterzy jeszcze błyskają fleszami. Zrezygnowano z podania kawy i herbaty. Pytania padają jedno po drugim: po angielsku i po polsku. Goście są swobodni, chętni do rozmowy, bardzo naturalni.

Z końca sali słychać pytanie natury bardziej osobistej:

— Co decyduje o karierze kardiochirurga: zręczność, talent czy wiedza?

M. BARNARD: — Aby zostać dobrym kardiochirurgiem, trzeba przede wszystkim znaleźć się w sprzyjających okolicznościach i mieć szerokie możliwości wykonywania rzetelnej, prawidłowej pracy. Składa się na to kilka czynników: m.in. wyposażenie szpitala w najnowocześniejsze urządzenia i doborowy zespół, który nieomylnie wie, co robisz w danej chwili i czego potrzebujesz. Bez tak zgranego zespołu i takiego wyposażenia niewiele mógłbym zrobić. Techniczna strona operacji nie jest — jak się to może wydawać — sprawą aż tak trudną. Oczywiście, iż o pomyślnym wyniku operacji decyduje doświadczenie, zręczność, wiedza i talent lekarza. Ale w trakcie operacji chirurg powinien mieć tylko jedno najważniejsze pragnienie: pracować jak najlepiej dla swojego pacjenta.

Pytanie: — Jak się pan czuje, kiedy ponosi pan porażkę?

M. BARNARD: — Czuję się tak, jakbym sam umierał. Prawdę mówiąc, nieraz wolałbym umrzeć, zamiast mojego małego pacjenta. Ogromna jest odpowiedzialność, jaką bierzemy na siebie za życie dziecka — przed rodzicami, kolegami, zespołem.

Pytanie: — Jak ocenia pan profesor polską kardiochirurgię?

M. BARNARD: — Na to pytanie będę mógł odpowiedzieć dopiero jutro po południu, a poważnie — myślę, że polscy kardiochirurdzy są tak dobrzy, jak tylko być mogą w ramach istniejących możliwości.

Pytanie: — Jak widzi pan przyszłość transplantacji serca, jakiego typu przeszkody uniemożliwiają stosowanie transplantacji na szerszą skalę.

M. BARNARD: — Nie wycofujemy się z transplantacji. Przeciwnie, obserwujemy obecnie w świecie medycznym znaczny wzrost tego typu zabiegów. W przodującym amerykańskim ośrodku, Stanford Medical Center, wykonuje się przeciętnie jedną operację miesięcznie. Postęp w tym zakresie hamują nie problemy chirurgiczne i techniczne, które nie stanowią już dla nas żadnych przeszkód, ale trudności innego typu. Myślę tu przede wszystkim o barierach immunologicznych, dla zlikwidowania których niezbędny jest postęp w naukach podstawowych. Nie można też zapominać o kłopotach natury organizacyjnej. Niezbędna jest szybka i niezawodna informacja, która pozwoliłaby nam odpowiednio dysponować narządami i tkankami do przeszczepów. Wprowadzamy także inne rozwiązania. Na przykład wszczepianie chorym drugiego serca. Wszczepione serce wspomaga własne serce pacjenta i pozwala na leczenie go. Gwarantuje poza tym — co widać z dotychczasowych doświadczeń — przedłużenie życia chorym. W wyniku transplantacji serca przeciętnie udaje się nam przedłużyć życie pacjentów o 5 lat. Transplantacje dotyczą również innych organów. Doskonałe rezultaty osiąga się na przykład przy przeszczepianiu rogówki oka, przyjęły się transplantacje nerek. Nadal napotykamy na trudności przy przeszczepianiu płuc czy wątroby. Jeszcze raz podkreślę, iż postęp w zakresie transplantacji utrudnia przede wszystkim bariera immunologiczna. Chirurgiczne możliwości w tym zakresie są prawie nieograniczone.

Pytanie: — Co pan sądzi o eutanazji?

M. BARNARD (z widocznym ożywieniem): — Problem eutanazji wzbudza ogromne emocje, ponieważ niektóre systemy religijne i filozoficzne, a także prawne, nie respektują tego typu postępowania z chorym. Sądzę, że zbyt wiele nieporozumień nagromadziło się wokół definicji życia i śmierci. Są to definicje nieścisłe, które wprowadzają wiele niejasności również wokół transplantacji. Należałoby je zmienić. Uważam, iż należy o tym mówić i zacząć działać w tym kierunku. Osobiście nie odrzucam eutanazji. Dla mnie oznacza ona po prostu śmierć godną człowieka. W sytuacji, w której medycyna nie jest w stanie pomóc choremu, kiedy nie może zaoszczędzić mu cierpień ani przywrócić życia — eutanazja skraca umieranie. Zadaniem lekarzy jest przedłużanie życia człowieka, a nie jego konania. Z zagadnieniem tym łączy się wiele skomplikowanych problemów. Wierzę, iż nadejdzie czas, kiedy będziemy o nich otwarcie mówić.

Zbliża się godzina 13. Wszyscy wstają. Ostatnie pytania zadają niemal w drzwiach i w korytarzu:

— Czy będzie można spotkać się jeszcze z panem profesorem?

M. BARNARD: — Oczywiście, że tak. Będę w Łodzi przez dwanaście dni. Zaczynamy operować.

Relację przygotowała:
MAŁGORZATA GOLICKA

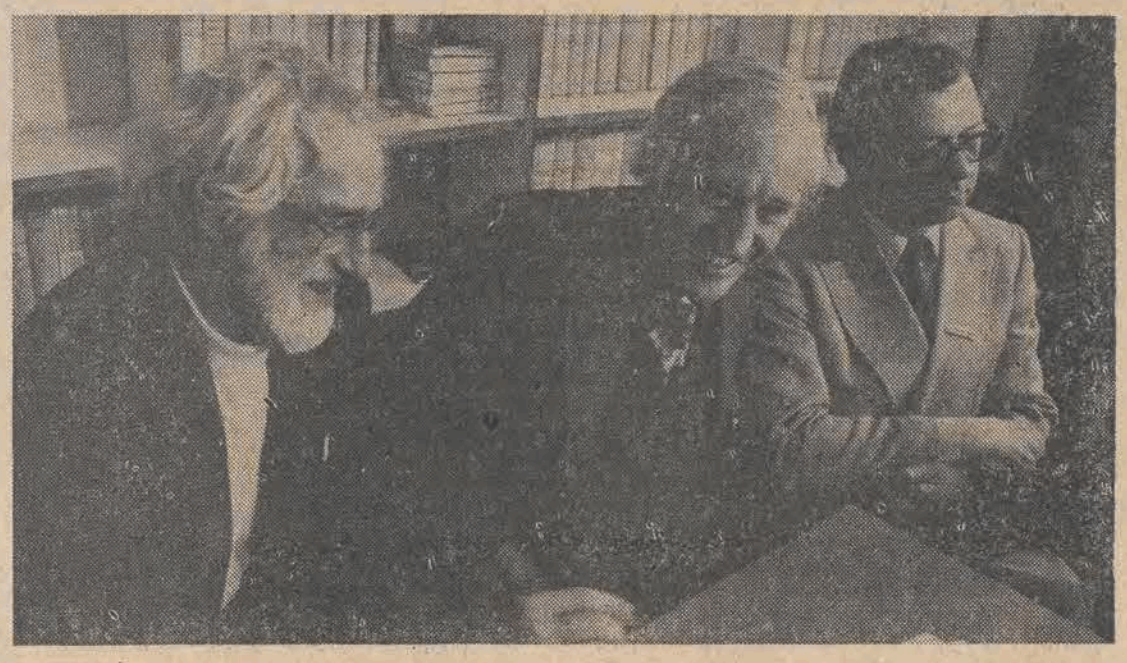

Od lewej — dr Christopher Sward, prof. Marius Barnard, dr Erik Berg
Foto: R. Łucyszyn

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAIER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

ZA GŁOSEM SERCA

Dalszy ciąg ze str. 1

W kilku wierszach zostało skondensowane życie pełne śmiertelnego niebezpieczeństwa. (...)

Pierwszego września 1941 roku zaczęła działać we wsi Taljanki podziemna organizacja. Jej członkowie przedostali się do sowchozu „Lewada" i Zygmunt przyłączył się do nich.

W sowchozie zebrało się około setki radzieckich żołnierzy, którzy uniknęli niewoli. Faszyści nakazali wszystkim zarejestrować się. Kto Rosjanin — do obozu!

Zygmunt znał dobrze język niemiecki. Z polecenia organizacji podziemnej wystawiał żołnierzom zaświadczenia, że są Ukraińcami. Zatwierdzał je nowy dyrektor, a policja dzięki temu nie czepiała się żołnierzy, którzy tymczasowo znaleźli się w trudnym położeniu.

Nasza organizacja podziemna przygotowywała się do zbrojnego wystąpienia — należało zaopatrzyć się w broń i amunicję. Na polecenie sztabu Zygmunt Grosbart napisał po niemiecku, rzekomo w imieniu niemieckiej dyrekcji majątku, pismo do talnowskiej żandarmerii o wydanie broni dla ochrony tegoż gospodarstwa. I tak w naszych rękach znalazło się dwadzieścia karabinów i setki naboi, którymi później wyzwalaliśmy jeńców z obozu, walczyliśmy z policją i żandarmerią, zniszczyliśmy faszystowski samolot na lotnisku w Biłaszkach, toczyliśmy boje z faszystami w „Zielonej Bramie" i w „Zimnym Jarze", na uroczyskach i w jarach Mańkowszczyzny.

Na polecenie sztabu Zygmunt zawarł znajomość z burmistrzem Talnego, a ten uwierzywszy w jego zapewnienia, iż chce służyć nowemu porządkowi, zarekomendował młodego komsomolca samemu gebietskomisarzowi Humańszczyzny — Willemu Petersonowi. Teraz nasz sztab wiedział w przeciągu trzech dni o wszystkim, co działo się w gebietskomisariacie. Kopie dokumentów, nakazy, spisy niewygodnych dla Niemców ludzi mieliśmy wcześniej niż policja. Ludzie uniknęli aresztowań.

Codziennie Zygmunt spotykał się potajemnie w mieszkaniach członków organizacji podziemnej z komsomolcem Andrzejem Piotrowiczem Romanszczakiem. Przekazywał mu kopie dokumentów, blankiety itp., a ten z kolei dostarczał je do miasteczka Iwanki partyzantowi Wasylowi Demidiukowi, którego dowódca grupy iwankowskiej umieścił na stanowisku tłumacza w cukrowni.

Centrum walk partyzanckich znajdowało się w rejonie mańkowskim. Mańkowszczyzna była terenem leśnym. Zygmunt podsunął gebietskomisarzowi do podpisu nakaz o mianowaniu Romanszczaka gajowym w uroczysku „Las Hermana". Sztab polecił Romanszczakowi zorganizowanie grupy bojowej.

Wszystko szło gładko, partyzanci przygotowywali się do pójścia do lasu, aż tu w ślad za aresztowaniem komisarza sztabu i mańkowskiej grupy, na początku września 1942 roku aresztowano Andrzeja Piotrowicza Romanszczaka. Straciliśmy odważnego, energicznego organizatora. W więzieniu znaleźli się nasi najlepsi ludzie. Należało się z nimi skontaktować.

Zygmunt otrzymał polecenie, aby za wszelką cenę dostał sie na stanowisko tłumacza w więzieniu. Akurat w tym czasie w więzieniu humańskim zmieniały się władze. Na stanowisko naczelnika więzienia przysłano faszystę Kaspersa i nowego zastępcę. Potrzebny im był tłumacz.

W więzieniu Zygmunt nawiązał kontakt z Romanszczakiem i innymi uwięzionymi partyzantami. Andrzej przekazywał grypsy, opowiadał, jak nasi ludzie mężnie przetrzymują śledztwo. W jednym z grypsów napisał, że wydała go niejaka Usenko, która okazała się szpiclem. Strzeżcie się jej! Jego zaś oskarżają o organizowanie oddziałów partyzanckich. Wyrok — śmierć.

Postanowiliśmy uratować naszego towarzysza. Zorganizowaliśmy uderzeniową grupę bojową. Zdobyliśmy materiał wybuchowy. Plan był następujący: wysadzić mur więzienny, wedrzeć się do więzienia i wyzwolić skazańców. Do wykonania zadania bojowego wyznaczono najlepszych ludzi. Dowódcą został tłumacz Zakoszański, który pracował na stacji węzłowej Christinowka.

Wszystko było gotowe do szturmu. Zebraliśmy się potajemnie w mieszkaniu Ludmiły Czerkasowej, w budynku położonym niedaleko humańskiego dworca kolejowego, a tu niespodziewanie, w przededniu operacji, żandarmii zabrali Zakoszańskiego.

Nasi ludzie oczekiwali wyzwolenia, lecz przyszli po nich kaci.

Była sobota 24 października 1942 roku. Na dworze słonecznie, ciepło. Niebo czyste i błękitne, poprzecinane czarnymi kratami zaglądało do celi przez wąskie okienko, z którego patrzą na nie dziesiątki spragnionych oczu. Więźniowie zbili się w gromadę i łowili żałobny krzyk klucza żurawi rysującego się na tle jesiennego nieba. Słońca nie było widać, gdyż okno celi wychodziło na północną stronę, lecz jego jaskrawe światło zalewało całe niebo, a jego odblask przenikał do spragnionych dusz skazańców.

To był ich ostatni dzień. Faszyści ogłosili, że jest to dzień porządkowy. Setkami wywozili więźniów do Hereżynówki i rozstrzeliwali ich pod lasem, w głębokim jarze. (...).

Śmierć naszych najlepszych towarzyszy zasmuciła nas, ale nie wypuściliśmy broni z rąk. Jeszcze z większym uporem prowadziliśmy walkę. Staliśmy się bardziej czujni, nasililiśmy rozpoznanie sił wroga. Nie dawaliśmy spokoju faszystom. W związku z tym, że lasy są u nas niewielkie i mogą być prawie na wskroś przestrzeliwane, opracowaliśmy taktykę walki stepowej. Tworzyliśmy niewielkie oddziały, a grupy bojowe w składzie od dziesięciu do dwudziestu ludzi, biorąc za podstawę możliwość rozmieszczenia partyzantów w jednej chacie, w celu uniknięcia rozdrobnienia i wreszcie po to, by dowódca był zawsze razem ze swoimi żołnierzami. Atakowaliśmy faszystów w ciągu jednej nocy w kilku miejscach jednocześnie i to sprawiało wrażenie, że całe pułki partyzantów pojawiły się na Humańszczyźnie.

Hitlerowcy wystraszyli się. W Berlinie wyrażono niezadowolenie i zdjęto ze stanowiska gebietskomisarza Willego Petersona, ponieważ nie rozprawił się z partyzantami, mimo swego okrucieństwa — tysięcy straconych w ciągu roku jego panowania.

Przyjechał nowy gebietskomisarz Rüdiger. Po roku, na polecenie sztabu, poniesie śmierć od kul, wystrzelonych pod Chrystynówką przez mańkowskich partyzantów Smażeniuka i Kota. Na razie jednak ów kat chce zaprowadzić porządek... Jego zastępcą został niejaki Opp.

Teraz Zygmunt otrzymał polecenie podjęcia pracy w gebietskomisariacie. Przyjęli go chętnie jako starego współpracownika. Potrzebowali człowieka do obsługi centrali telefonicznej, który znałby język niemiecki, rosyjski i ukraiński. W centrali telefonicznej Zygmunt pracował sam. Utrzymywał łączność z rejonami i z samym Kijowem, z generalkomisariatem. Poprzez naszego wywiadowcę nadawane były rozkazy do rejonowych posterunków żandarmerii i policji, gdzie i kiedy należy przeprowadzić obławy na partyzantów. Wywiadowca przekazywał je z takim wyliczeniem, ażeby nasz sztab znał je wcześniej od adresatów. Dostarczał je niezwłocznie dziewczętom do zakonspirowanego mieszkania. Olga i Nina Didenko, które mieszkały przy ulicy Kotowskiego 5, były zwasze na posterunku. Codziennie przychodził do nich Leonid Hudyma, zabierał szyfrówkę, wsiadał na rower i co tchu mknął do miejscowości Iwanki. Tam przekazywał ją Wasylowi Demidiukowi, ten — Stefanowi Horczyńskiemu, a Stefan Swiren niósł do sztabu w Taljankach. I nim zebrała się policja, partyzantów już w lesie nie było.

Szukaliśmy kontaktu z innymi oddziałami partyzanckimi. Ale gdzie się one znajdują? Fama niosła że na północy, w lasach Wołynia oraz Briańska działają całe związki mające łączność z Wielką Ziemią. I nam była ona potrzebna. W celu nawiązania łączności z Wielką Ziemią wysłaliśmy Zygmunta Grosbarta razem z Leonidem Hudymą i Wasylem Demidiukiem na głębokie rozpoznanie, na północ od Kijowa, na Polesie, z zadaniem odszukania oddziałów partyzanckich i przekazania na Wielką Ziemię wiadomości, że walczymy i że na Humańszczyźnie nie ma białej plamy (takowa była przedstawiona na mapie działań bojowych w sztabie głównym ruchu partyzanckiego), jest natomiast skrwawiona w łunach bitewnych, ale nie pokonana ziemia.

Zygmunt otrzymał dokument, podpisany osobiście przez gebietskomisarza, stwierdzający, że udaje się na poszukiwanie materiałów potrzebnych dla humańskiej fabryki gumy. Samochód prowadził kierowca o nazwisku Szwed, jego pomocnikiem był Wasyl Demidiuk, ładowaczem Leonid Hudyma. Posiadali autentyczne dokumenty i mieli tę przewagę, że wszyscy trzej dobrze znali język niemiecki. To poważnie ułatwiało działanie.

Wywiadowcy pojechali do Kijowa i tam rozdzielili się. Zygmunt udał się do rejonu iwankowskiego, na Polesie, Wasyl Demidiuk — na Czernihowszczyznę, Leonid Hudyma szukał partyzantów w dnieprzańskich zalewiskach. Wszystko to na próżno. Chociaż wszędzie mówiono o narodowych mścicielach, co krok napotykano tylko policję... Do partyzantów nie udało się dotrzeć.

Marzec 1943 roku uskrzydlił nas. Przecież Armia Czerwona biła faszystów i teraz szli do nas wszyscy, którzy bezpiecznie czekali na odpowiednią chwilę. Faszyści wściekali się. W każdej wsi postawili na posterunku oddziały pacyfikacyjne złożone z tzw. ochotników. Dowódcą batalionu był zwykle Niemiec, a dowódcami kompanii — zwerbowani do współpracy jeńcy. Nikt nie mógł bez przepustki przejść z jednej wsi do drugiej. Gdy pokazał się ktoś nietutejszy, natychmiast osadzano go w więzieniu. Kobiety wieszano za niezdawanie mleka, mężczyzn — za niewychodzenie do pracy. Młodzież łapano i wysyłano do Niemiec. Ale to nie pomogło Rüdigerowi..

Wysłał płaczliwy telegram do samego komisarza generalnego Maguni w Kijowie. W telegramie pisał, że humańska żandarmeria i policja poniosły wielkie straty w walkach z partyzantami. Podawał liczby poległych Niemców i policjantów. Uskarżał się, że partyzanci posiadają ciężką broń piechoty, której nie posiadała ukraińska policja. Komisarz domagał się natychmiastowej pomocy.

Gebietskomisarz Rüdiger wezwał Zygmunta i polecił mu zanieść telegram na wojskowy punkt telegraficzny. Chłopiec wszedł do centrali. Rozwinął blankiet telegramu i przeczytał go. Oblał go zimny pot. Usiadł i szybko przepisał tekst, który ukrył następnie w rękawie. Wyszedł na ulicę.

Spotkanie po przeszło dwudziestu latach... Siedzą od lewej: Kuźma Hryb i Zygmunt Grosbart. Stoi dziennikarz radziecki M. I. Sakin. — Kijów, r. 1965.

— Trzeba najpierw przekazać swoim! Leonid odbierze dopiero wieczorem. Do Mańkowki odejdzie jutro. To znaczy, miną trzy dni, zanim dowiedzą się w sztabie. A oddział pacyfikacyjny może nadejść jutro... Trzeba zatrzymać!

Przy ulicy Kotowskiego 5 doręczył Oldze Didenko kopię telegramu i wrócił do komisariatu. W centrali martwa cisza. W głowie zamęt. Co będzie, jeśli Rüdiger zadzwoni do radiotelegrafu i spyta, czy telegram został nadany? Nie... On ufa Zygmuntowi, chwalił go jako sumiennego urzędnika...

Nagle dzwonek. Zygmunt pochylił się do słuchawki. Posłyszał ochrypły głos:

— Słuchajcie mnie, tu mówi starosta z Moszurowa. W naszym lesie partyzanci. Jednego rozpoznałem — to Jakim Onufrowicz Hycajło z Romanówki. Ich dowódca... Dzwoniłem wiele razy do Talnego, a oni zawsze się spóźniają. Przyjeżdżają następnego dnia, a partyzantów już nie ma. Zapewniam, że tam w policji siedzą komsomolcy... Zróbcie coś, bo mnie zabiją...

Zygmunt zamknął pomieszczenie i znów pobiegł na ulicę Kotowskiego 5. (...).

Wkrótce ponownie wezwano go do gabinetu gebietskomisarza Rüdigera. Wokół stołu siedzieli: dowódca żandarmerii Kramer i naczelnik policji Tonkoszkur. Byli bladzi i roztrzęsieni. Zygmunt sądził, że Rüdiger już wie o nie wysłanym telegramie. Ale ten wręczył mu drugi telegram i rozkazał nadać go natychmiast do Kijowa.

W telegramie humański gebietskomisarz żądał przysłania natychmiastowej pomocy, aby móc rozprawić się z partyzantami. W obwodzie są ich tysiące. Policja i żandarmeria nie mogą sobie poradzić. W wielu wsiach władza przeszła w ręce partyzantów. Policjanci opuścili wsie i siedzą w umocnionych ośrodkach powiatowych.

Nadać taki telegram — oznacza zdradzić i sprzedać swoich. Zygmunt nie mógł do tego dopuścić. Przetłumaczył tekst na język ukraiński i przekazał wraz z oryginałem dziewczętom w konspiracyjnym mieszkaniu. Niech się dzieje, co chce!

Było to 18 marca 1943 roku. Dziewiętnastego całe dowództwo obwodu oczekiwało pomocy z Kijowa. Kijów milczał. Pomoc nie nadchodziła. Żandarmii i policjanci drżeli w kamiennych umocnieniach, ogrodzonych drutem kolczastym.

Rankiem, gdy Zygmunt Grosbart przybył do gebietskomisariatu, wezwał go zastępca komisarza Opp i rozkazał natychmiast zgłosić się do oddziału SD — służby bezpieczeństwa.

To oznacza koniec. Wszystko się wydało!...

Zygmunt skłonił się komisarzowi, spokojnie wyszedł i udał się w przeciwną stronę, do Leonida Hudymy. (...).

Partyzanci przerzucili Zygmunta do wsi Żołudźkowe, gdzie ukryli go u Lidii Iwanowej Mironowej, ponieważ we wsi Romanowka, gdzie się uprzednio ukrywał, rozpoczęły się obławy na grupę partyzancką Jakima Onufrowicza Hycajły.

Przełożyła z ukraińskiego
EWA T. GADZINOWSKA

Kuźma Hryb był jednym z organizatorów i przywódców antyhitlerowskiej partyzantki na Ukrainie w latach 1941—1944. W ukraińskiej gazecie „Promiń Komunizmu" ukazała się jego powieść dokumentarna „Na pokłyk sercia" (za głosem serca). Jednym z jej bohaterów jest łodzianin ZYGMUNT GROSBART.

O działalności Zygmunta Grosbarta w ukraińskim ruchu oporu wielokrotnie pisała prasa radziecka i polska, m. in. „Dziennik Łódzki" w numerze z 14/15 maja 1967 roku. Jest o tym mowa także w obu wydaniach fundamentalnej monografii Mieczysława Juchniewicza „Polacy w radzieckim ruchu partyzanckim 1941—1945" (Wyd. 2, MON, Warszawa 1975).

Dr Zygmunt Grosbart jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym Uniwersytetu Łódzkiego. Od chwili powołania na UŁ Instytutu Filologii Rosyjskiej kieruje Zakładem Literatury Rosyjskiej. Rodowity łodzianin, przedostał się w końcu 1939 roku z okupowanej Łodzi do Białegostoku, a następnie na Ukrainę. Tam — z początku w szeregach Armii Czerwonej, a potem w partyzantce — brał udział w walce przeciwko Niemcom. Po wyzwoleniu terenów, na których działało jego zgrupowanie, pracował w szkolnictwie radzieckim na stanowisku nauczyciela i wicedyrektora szkoły średniej. Do Łodzi powrócił w r. 1956 i rozpoczął pracę na Uniwersytecie.

Zygmunt Grosbart znany jest czytelnikom „Odgłosów"; na naszych łamach publikował tłumaczenia poetów radzieckich (m. in. E. Jewtuszenki i A. Woznlesienskiego), eseje o literaturze rosyjskiej i radzieckiej, oraz o sztuce tłumaczenia, którym to problemem zajmuje się w swych badaniach filologicznych.

Drukujemy fragment powieści Kuźmy Hryba przesłany przez autora.

NIE TYLKO HISTORIA

STANISŁAW WORCELL

Najpierw kilka słów o ważnej inicjatywie wydawniczej. Ogólna posucha na naszym rynku sprawiła, że z ciekawymi inicjatywami nowych serii wydawniczych, które mogą liczyć na zainteresowanie szerokiego kręgu czytelników, spotykamy się dziś niezbyt często, a jeśli chodzi o książkę historyczną — pomijając beletrystykę i sprzedawaną w historycznym opakowaniu sensację — niemal wcale. Wydawnictwo *Książka i Wiedza* nie zlękło się jednak znanych trudności i wystąpiło właśnie z nową serią, mianowicie z *Biblioteką Rewolucyjnego Nurtu Polskiej Myśli Społecznej*. Mamy już na półkach księgarskich pierwsze trzy tomy z tej serii, zawierające zbiory pism Edwarda Dembowskiego, Stanisława Worcella i Edwarda Abramowskiego, zapowiedziane są także dalsze, mianowicie poświęcone (w porządku alfabetycznym) Bolesławowi Drobnerowi, Norbertowi Barlickiemu, Henrykowi Kamieńskiemu, Ludwikowi Królikowskiemu i Piotrowi Ściegiennemu.

Już sam zestaw wymienionych nazwisk wskazuje, że nowa seria wydawnicza ma ambicję zaprezentowania współczesnemu czytelnikowi możliwie szerokiego wachlarza działaczy i myślicieli, reprezentujących różne nurty ideowe naszej lewicy w czasach nowożytnych. Zobaczymy, jakie będą dalsze tomy i nowe propozycje, ale już dziś tak szeroką koncepcję serii należy powitać z radością. Wiele szkody zrobiło nam zbytnie zawężanie tradycji, do których nawiązujemy, byśmy mogli sobie znów pozwalać na popełnianie podobnych błędów. Dobrze też, że osoby, które opracowały koncepcję tej serii, zdecydowały się na włączenie do niej szeregu wybitnych przedstawicieli lewicy polskiej z czasów, poprzedzających powstanie nowoczesnego ruchu robotniczego. Tradycje myśli lewicowej i rewolucyjnej sięgają bowiem dalej w głąb naszych dziejów, aniżeli się często sądzi, a pisma jej dawnych przedstawicieli znane są dziś niemal wyłącznie wąskiemu gronu specjalistów.

Oczywiście są i wyjątki: pisma P. Ściegiennego wydał nie tak dawno W. A. Djakow zbiór prac L. Królikowskiego ukazał się w *Bibliotece Myśli Socjalistycznej*, edycje H. Kamieńskiego i E. Dembowskiego w *Bibliotece Klasyków Filozofii*, osobne wydanie książkowe mieli też N. Barlicki i B. Drobner.

Pisma wybitnego działacza polskiej lewicy z czasów Wielkiej Emigracji — jeśli nie liczyć fragmentów, ogłoszonych w początku lat pięćdziesiątych w monumentalnym wydawnictwie *W Stulecie Wiosny Ludów*, oraz dwóch aneksów w opublikowanej zaraz po wojnie monografii pióra Bolesława Limanowskiego i pewnych ułomków Worcellowskiej spuścizny w różnych wyborach — nie były właściwie nigdy ogłoszone w całości, a tym bardziej opublikowane po II Wojnie Światowej. Bardzo dobrze więc się stało, że znalazły się one w omawianej *Bibliotece* już na jej początku w zgrabnym tomiku pt.: *Stanisław Worcell — Pisma społeczne i polityczne* (Warszawa 1980), opracowanym przez Piotra Marciniaka.

Na tom ten złożył się obszerny wstęp pióra P. Marciniaka liczący blisko 50 stron druku, po którym zostały zamieszczone teksty, zarówno te, które niewątpliwie są autorstwa St. Worcella, jak i pisma mu przypisywane, których autorem jest on tylko prawdopodobnie. Ograniczenie się tylko do tekstów z całą pewnością Worcellowskich byłoby w tym przypadku grubym błędem. Wiadomo, że Worcell większości swych pism nie podpisywał nazwiskiem, że wiele z jego tekstów dotyczących ważnych zagadnień społecznych i politycznych powstawało we współpracy z innymi działaczami, że nie sposób jest dziś ustalić z całą dokładnością, co w nich napisał Worcell, a co kto inny.

P. Marciniak prezentuje na wstępie tej książki sylwetkę autora zebranych w niej pism: jego życie i działalność. Wykorzystuje dawną i nowszą literaturę, opatruje swój tekst skromnym aparatem krytycznym. Myślę jednak, że nie zależało mu na tym, by zaprezentować jakieś szczególnie nowe spojrzenie na postać swego bohatera. A Worcell z całą pewnością zasługuje wciąż na badania, jego życie i działalność kryje w sobie wiele niewyjaśnionych zagadek, które rozjaśnić trzeba i można. Niektóre ze szczegółów, których znaczenia dziś jeszcze nie potrafimy określić mogą przy dokładniejszym zbadaniu sprawy okazać się rzeczywiście ważne. Dam pierwszy z brzegu przykład: stosunków Worcella z angielskim stowarzyszeniem *Fraternal Democrats* w latach poprzedzających wybuch Wiosny Ludów. Autor słusznie podkreśla, że Worcellowi bliższa była od tej organizacji utworzona przez G. Mazziniego *Międzynarodowa Liga Ludów*, ale na jakim tle nastąpiło rozejście się Worcella z Bratnimi Demokratami? Otóż sprawa się wyjaśni, jeśli poznamy głębiej kontakty między polskim środowiskiem emigracyjnym w Brukseli, a w szczególności Lelewelem, a polityczną emigracją niemiecką w stolicy Belgii i związki pomiędzy założonym w Brukseli *Międzynarodowym Towarzystwem Demokratycznym* (nazwa ta wprawdzie powszechnie używana, ale niewłaściwa: towarzystwo nazywało się *Asocjacją Demokratyczną*). *Bratnimi Demokratami* i niemieckimi oraz angielskimi kołami komunistycznymi. Okaże się wówczas, że St. Worcell i inni działacze Centralizacji TDP zerwali swe stosunki z *Bratnimi Demokratami* ze względu na ich związki z... komunistami. Działacze Centralizacji mieli ogromne pretensje do starego Lelewela, że gdy oni zerwali z tymi *radykałami* wszelkie kontakty, on udzielał im swego poparcia... A na wiecu *Bratnich Demokratów* w rocznicę powstania listopadowego w 1847 r. w Londynie przemawiał spośród radykałów nie kto inny, jak K. Marks...

Może jest w tym nieco złośliwości, że pisząc o sympatycznym i cennym tomie, poświęconym St. Worcellowi, jaki ukazał się w ramach *Biblioteki Rewolucyjnego Nurtu Polskiej Myśli Społecznej*, wydobywam akurat ten — a nie inny — szczegół z biografii jego bohatera. Ale czynię to celowo by pokazać, jak mylne są etykietki, jakimi zbyt często szermuje się w historii ruchów społecznych. To, że St. Worcell w pewnym momencie znalazł się gdzie indziej, niż K. Marks, nie świadczy, by nie był reprezentantem radykalnej polskiej lewicy swoich czasów, tak samo, jak to, że przyjacielem autora *Kapitału* był Lelewel nie dowodzi, że był on marksistą. Różne bywają ludzkie drogi, trudno więc wtłoczyć je w jeden schemat.

ANDRZEJ F. GRABSKI

MIROSŁAW KUŹNIAK

TEN STAW Z NASZEJ WSI

Foto: Z. Walter

1.

Urodziłem się niedaleko. Dwie wioski dalej. Byłem piątym dzieckiem moich rodziców. Po mnie urodziło się jeszcze czworo: dwie dziewczyny i dwóch chłopaków. Z całej naszej gromadki przeżyło sześcioro. Aż dziw, że tak dużo, bo w naszej chałupie bieda wyglądała z każdego kąta. Ojciec wynajmował się na zimę do zwózki drewna z pobliskich lasów. To nam pomagało przeżyć. Urwało się to „szczęście", gdy któregoś dnia ojca przywaliło drzewo. Długo leczył się w szpitalach. Wyszedł z nogą krótszą o prawie cztery centymetry. Dobrze pamiętam te cztery centymetry, bo jak sobie podpił, to ciągle o nich mówił i matkę obwiniał za ten wypadek. A głównie za to, że w czasie, gdy on leżał w szpitalu, matka sprzedała kawałek ziemi, bo trzeba było opłacić lekarzy. Bez tych pieniędzy ojciec nie wytrzymałby w szpitalu dwóch operacji. Ale dla niego ważna była tylko ziemia i to, że matką ją sprzedała.

Wiosną i latem pomagaliśmy ojcu w polu. Zimą obijaliśmy się po chałupie, choć matka surowsza była od ojca i ciągle wynajdywała dla nas jakąś robotę. Najbardziej dłużyły się nam wieczory. Ojciec przepadał w lasach z koniem i wozem na dwa, trzy dni, a bywało, że i na tydzień. Matka długo w noc przewracała się z boku na bok, nadsłuchując znajomego stukotu kopyt siwka.

W czasie nieobecności ojca zastępował go najstarszy brat, Adam. My, młodsi, baliśmy się go i schodziliśmy mu z drogi. Miał ciężką pięść i bił mocno. Najbardziej dostawało się mnie, bo Adam uważał, że próbuję się obijać, bumelować, że wolę z chłopakami latać niż robić w domu.

Lubiłem chodzić sam, zwłaszcza nad staw, który leżał pośrodku drogi między lasem a domem. Był to staw dziki, zarośnięty trzciną i tatarakiem. We wsi mówili, że nie ma w nim ryb. Nigdy nie próbowałem tam łowić, więc nie wiem, jak było naprawdę. Staw miał kształt spłaszczonego koła. Tam, gdzie schodziły się linie brzegów, rosły dwie wysokie topole. Nie wiem, dlaczego tam mnie ciągnęło. Może pociągało mnie tajemnicze piękno tego zakątka?

Od maleńkości byłem bardzo wyczulony na barwę, na kolor. Nie znosiłem bieli. Gdy matka bieliła na Wielkanoc chałupę, nigdy nie chciałem jej pomagać. Natomiast pierwszy byłem do roboty przy ozdobach choinkowych. Zawsze umiałem dobrać odpowiedni kolor, zestawić barwy tak by całe drzewko skrzyło się, przyciągało wzrok.

Ciągnęło mnie nad staw. Tam po raz pierwszy pomyślałem że chciałbym to wszystko namalować. Musiałbym mieć tylko kredkę tak niebieską jak niebo, zieloną jak tatarak, brązową jak topole w czasie jesieni i szafirową jak staw. O tym, że nie jest to moje miejsce na ziemi, przypominał mi brat Adam, gdy złapawszy mnie nad stawem ciągnął za ucho do domu. Tak rozwiewały się moje marzenia o malowaniu.

Powróciłem do nich w szkole, biednej, czteroklasowej szkółce wiejskiej. Mój nauczyciel szybko zauważył że jestem wrażliwy na barwę, że mam chęć do rysowania. To był dobry nauczyciel i wiele mu zawdzięczam. Bez przesady mogę powiedzieć, że otworzył przed moimi oczami cały świat, jego piękno. Gdy byłem w czwartej klasie, ojciec miał wypadek w lesie. Do szkoły nigdy już nie wróciłem.

Nie zapomniałem o malowaniu. Oddano mnie do terminu do garncarza, najlepszego w całej okolicy. Praca była ciężka, ale nie dla mnie! Nie paliłem się zbytnio do garncarskiego koła. Rwałem się do ozdabiania dzwonów, trojaków, kiżanek, donic. Mój majster też to lubił, więc rzadko dopuszczał mnie do farb. Niedługo wytrzymałem w terminie, uciekłem. Wróciłem do rodziny.

Był to w moim życiu jedyny przypadek, kiedy zetknąłem się ze sztuką. Później moje życie potoczyło się zwyczajnie, tak jak wielu innych. Na rok przed wybuchem wojny ożeniłem się, a w niedługi czas potem przyszła na świat córka. Po niej syn. Więcej dzieci nie mieliśmy. Zacząłem gospodarować na niewielkim spłachetku ziemi, który dostała od rodziców żona. I tak żyliśmy przez długie lata. Moi bracia i siostry porozjeżdżali się po całym świecie. Brat Adam poległ w czasie kampanii wrześniowej. Moje życie toczyło się spokojnie. Ciągle myślałem o malowaniu i o stawie.

Z tego mojego myślenia była nawet korzyść. Na przykład moja chałupa zawsze była najładniej wymalowana. Nieraz też robiłem napisy i informacje na prośbę księdza proboszcza.

U mojej córki zauważyłem dość wcześnie upodobanie do kolorów. Starałem się ją uwrażliwić na barwę, na kształt otaczającego nas świata. Robiłem to pomalutku, nie chcąc dzieciaka zniechęcać. Wiadomo, jak się dzieciakowi każe, zrobi na przekór coś zupełnie innego. Na przykład szliśmy łąką, a ja do córki mówię:

— Aluś, spójrz jaki ładny kwiatek. Dałabyś radę narysować?

— Na pewno, tatusku!

Umyśliłem sobie, że moja córka spełni to, co mnie się nie udało. Będzie malowała! Początkowo wydawało się, że wszystko idzie po mojej myśli. W szkole zawsze dostawała z rysunków piątki. Raz jej tylko pomogłem, gdy nauczyciel kazał dzieciom narysować psa w budzie. Ali najlepiej wychodziły kwiatki, więc z tym psem ja trochę się namęczyłem. Ala dostała piątkę. I na świadectwie też.

Gdy poszła do liceum, upiłem się z radości i w gospodzie. Inne dzieciaki szły do szkół rolniczych, do techników, a nasza Aluśka do liceum. Jako jedyna z naszej wsi. Po cichu zacierałem ręce, bo wydawało mi się, że ona jest coraz bliżej spełnienia tego mojego marzenia.

Nauka szła jej gorzej niż w podstawówce. No i rysunków już nie było. Aluśka przyjeżdżała do nas na soboty i niedziele. Starałem się, żeby matka jej nie zaganiała do domowej roboty. Wolałem, żeby malowała. Ale nie garnęła się do tego tak chętnie jak przedtem, choć wykosztowałem się na farby, pędzle i płótna. Dlaczego więc nie chciała malować?

2.

Ojciec zawsze miał bzika na punkcie malarstwa, a prawdę mówiąc długo w życiu nie widział dobrego obrazu. Jeszcze w szkole podstawowej zadręczał mnie opowiadaniem o kwiatkach, kolorach i innych bzdurach. Nie mogłam jak inne dzieci biegać, bawić się. Zawsze musiałam być w domu pod ręką, bo ojcu mogła strzelić do głowy jakaś fantazja. Brał mnie wtedy na długie spacery, choć w domu roboty nie brakowało i matka padała ze zmęczenia.

Obowiązkowo w szkole musiałam mieć piątkę z rysunków. Ojciec przebaczał dwóję z matmy, z polskiego, tylko z rysunków nie! Nieraz widziałam, że ślęczy po nocach nad moimi rysunkami i je poprawia. Kiedy dostałam piątkę, cieszył się jakby to był jego sukces.

On naprawdę umie rysować. Nauczyciel w szkole nie mógł wyjść z podziwu, że tak ładnie narysowałam psa z budą. Ojciec chodził z tym rysunkiem po sąsiadach, pokazywał, chwalił się, wszystkim opowiadał, że zostanę malarką. Wstydziłam się.

Do liceum poszłam, bo ojciec tego chciał. Teraz nie żałuję, ale wtedy...? Do domu starałam się przyjeżdżać rzadko. Z miasta do naszej wsi nie jest daleko. Niektóre koleżanki z internatu przyjeżdżały do swoich bliskich nieomal codziennie. Tylko ja na soboty i niedziele. Bałam się ojca, a zwłaszcza tych jego rozmów o malowaniu. Matka mnie przed nim broniła, ale nie zawsze się jej udawało.

Musiałam słuchać, choć nie chciałam. Musiałam opowiadać, choć nie miałam nic do powiedzenia. Przez pierwsze dwa lata pobytu w mieście nie zajrzałam nawet do muzeum, choć ojciec nieraz mnie o to wypytywał. Musiałam kłamać. Kłamałam, ale to nie było trudne, bo ojciec też tam nie był. Dopiero, gdy wybrał się do mnie, do miasta, a przy okazji zaszedł do muzeum, musiałam i ja tam pójść. Nawet mi się spodobało, a ojciec chodził tam między obrazami z rozdziawionymi ustami. Nawet u mnie niedługo zabawił, od razu pojechał do domu. A kiedy przyjechałam na najbliższą sobotę o niczym innym już nie mówił tylko o muzeum i obrazach.

Wiedziałam, że chce, abym zdawała do szkoły plastycznej. Ja marzyłam o ekonomii. Wybierały się na te studia moje prawie wszystkie koleżanki. Wiedziałam, że czeka mnie walka z ojcem.

3.

O tych studiach dla malarzy dowiedziałem się już dawno, Wtedy zrozumiałem, dlaczego nigdy nie zostałem malarzem. Po prostu nigdy w życiu nie było mnie stać na ukończenie takich studiów. Nie mogłem ja, ale mogła moja córka.

Chyba na dwa miesiące przed maturą przyjechała do domu jakaś nieswoja. Pytam ją: „Aluś co tobie dolega? Może jesteś chora?" A ona nic. Milczy. W końcu wydusiłem z niej to przyznanie. A właściwie nie ja, tylko matka. Poszło wszystko o chłopaka sąsiadów, Jurka.

Nie powiem, Jurek jest chłopakiem na schwał, po wojsku, pracuje w mieście przy dźwigach. W najbliższych dniach miał dostać ze swojej fabryki mieszkanie. Alka wpadła mu w oko. Zaczął się do niej zalecać. Patrzyłem na to wszystko przez palce, bo sam byłem młody i młodych rozumiem. Ale któregoś dnia ojciec Jurka zaczął gadać niby o tym, o owym a przede wszystkim o rychłym ślubie Alki.

Poleciałem do domu.

— Co to znaczy? — pytam Alkę. — Śluby ci w głowie, a szkołę kto skończy? Może ja?

Córka na to, że szkołę kończy za dwa miesiące, Jaką szkołę? Śmieję się z niej, bo choć uczona bardziej niż ojciec, to głupia.

— Szkołę skończysz za lat tam lat i nie ma mowy o żadnym ślubie, przynajmniej dopóki ja żyję.

Jurek ożenił się z Marychą, córką naszych sąsiadów, Alka zaś po maturze przyjechała do nas z wiadomością, że złożyła papiery na ekonomię.

— Jaką ekonomię? — pytam się jak kto dobry. — Przecież ty masz się uczyć na malarkę!

Obskoczyły mnie we dwie: Alka i matka. Ledwie z ich trajkotu mogłem zrozumieć że — po pierwsze — papiery do tej szkoły trzeba składać wcześniej. Po drugie — Alka mogłaby ewentualnie spróbować, tylko że tam obowiązuje egzamin z rysunku i teorii, a teorii ona nie zna ni w ząb. Po trzecie — ekonomia to konkretny fach, a malowaniem nie da się zarobić nawet na łyżkę barszczu.

Uspokoiłem się, odsapnąłem, zakurzyłem sporta i dalej zbijać te ich argumenty.

— Po pierwsze — mówię — papiery można złożyć w przyszłym roku. Po drugie — masz rok na nauczenie się teorii. Po trzecie wreszcie, dopóki ja żyję nie masz się co martwić o pieniądze na życie. Tyle z matką przetrzymaliśmy, to i w przyszłości nie zaznasz biedy.

Alka płakała wtedy przez pół nocy. Rano jej przeszło.

4.

To był dla mnie straszny rok. Ojciec nie puszczał mnie z domu ani na krok. Jak spotkałam gdzieś na drodze koleżanki, uciekały przede mną, tak okropnie wyglądałam.

Ojciec z miasta zwiózł całą stertę książek. Obłożył mnie i powiedział: „Ucz się teorii"! Nie wiem, kto mu te książki doradził, ale było wśród nich bardzo dużo albumów. Musiałam też codziennie malować. Ojciec sam oceniał moją pracę. Te obrazy, które mu się podobały, odkładał na bok.

Malarstwo zaczęło mi się podobać. Oczywiście, nie to moje pacykowanie, ale to — albumowe. Po miesiącu mogłam już na pierwszy rzut oka rozpoznać mistrza. Podobało mi się zwłaszcza stare holenderskie malarstwo. Po tych cieniach, półtonach, delikatnych kreskach znać było mistrzów. Czy ja kiedykolwiek umiałabym tak malować? Czasami brała mnie ochota, żeby spróbować. Malowałam cały dzień, ojciec chodził na paluszkach, matka podsuwała jedzenie... Wieczorem zaś z tego wszystkiego wychodził kicz, zwykły kicz. Wiedziałam, że nie, mam talentu. Tylko ojciec uważał, że jak kto bardzo czegoś chce, to osiągnie. Ojciec bardzo chciał malować. Dlaczego więc jemu się nie udało?

5.

Na ten egzamin czekałem jak na jakie objawienie. Alka zapakowała swoje najlepsze rysunki i pojechaliśmy. Dwa pokoje w hotelu zamówiłem, żeby czuła się swobodnie i mogła wypocząć po egzaminie.

Pierwszego dnia czekałem na nią w korytarzu szkoły. Panował tam duży ruch i młodzi ciągle mnie potrącali. Musiałem stanąć w kąciku przy szatni, bo by mnie pewnie zadeptali.

Z egzaminu Alka wyszła blada i smutna. Zawiozłem ją do hotelu i mówię:

— Odpocznij córeczko. Jutro też będzie trudny dzień.

I był. Egzamin wlókł się w nieskończoność. Po wyjściu Alka powiedziała:

— Wracajmy, tatusku, do domu!

— Jak to wracajmy? Przecież trzeba się dowiedzieć, czy zdałaś?

Popatrzyła na mnie smutno i mówi, że przyślą pismo ze szkoły do domu. Pojechaliśmy. W dziesięć dni nadeszło zawiadomienie, że nie zdała.

6.

Wygłupiłam się z tym egzaminem. Miałam do siebie, tylko do siebie pretensje, że uległam ojcu. Wiedziałam, że nie mam talentu. Ojciec ciężko to przeżył. Nawet matka się przestraszyła, że serce mu nie wytrzyma. Na szczęście, wytrzymało, tylko zmienił się okropnie, zwłaszcza w stosunku do mnie. Niby wszystko było w porządku, ale stał się jakiś taki chłodny, obojętny. Po prostu obcy.

Po miesiącu matka mówi do mnie: — Alka, jedź do miasta, może dostaniesz tam jakąś pracę. Tu nie masz co robić.

Pojechałam. Przez trzy miesiące mieszkałam kątem u koleżanki. Potem dostałam pokój w hotelu robotniczym. Pracowałam w fabryce. Przez pierwsze tygodnie było ciężko, ale się przyzwyczaiłam. Do domu nie jeżdżę. Mama przysyła mi listy. Właśnie z nich dowiedziałam się o ojcu.

7.

Alka mnie zawiodła. Tyle wysiłku, tyle pieniędzy wyrzuciłem w błoto. Pieniądze jakoś bym odżałował, ale to nie wszystko.

W pierwszej chwili chciałem spalić te farby, książki, płótna, które jej kupiłem, ale z porę się pohamowałem. Po pierwsze dlatego, że nie lubię niczego bez potrzeby wyrzucać. Po drugie — pomyślałem sobie, że może się przydać. Komu przydać? — nie wiedziałem.

Od wyjazdu Alki upłynęło kilka miesięcy, gdy dowiedziałem się, że jakieś muzeum organizuje konkurs dla malarzy amatorów. Od tego się zaczęło. Pozbierałem Alkowe farby i płótna, i zacząłem sam malować. Najpierw ołówkiem, potem farbami. Ciężko mi szło.

Pierwszy swój obraz — ten staw w naszej wsi — wysłałem do muzeum po terminie konkursu Odesłali go szybko. Od tej chwili czatowałem na takie ogłoszenia. Aż w końcu wpadła mi w ręce informacja o nowym konkursie. Miałem wtedy dużo gotowych obrazów, więc wysłałem.

Dostałem wyróżnienie. Niewiele, a jednak!

Źle wyszło z Alką! Naprawdę źle! Gdybym ja miał taką szansę, jaką ona miała! Gdybym miał...

Foto: Z. Walter

JACEK INDELAK

MITOLOGIA GRAJĄCEGO KRĄŻKA

Pisać źle o polskiej fonografii — jest bardzo łatwo. Znacznie trudniej — pisać dobrze.

Czy o takiej postawie przesądzają wygórowane ambicje i wybujałe apetyty?

1.

W 1975 roku „Odgłosy" zamieściły artykuł niżej podpisanego pt. „Smutek grającego krążka".

„Ciągle jeszcze z rodzimego grającego krążka zieje smutek przeogromny" — taka była konkluzja tamtego artykułu. Czy dziś, po pięciu latach, opinia ta straciła na aktualności?

Między polskim a światowym przemysłem fonograficznym istnieje przepaść ogromna, pogłębiająca się i poszerzająca od lat. Na Zachodzie przemysł ten jest obecnie jednym z najpoważniejszych biznesów, związanych z rynkiem, zwłaszcza zaś z tak zwanym młodzieżowym jego segmentem. **Nie jest to jednak dla nas właściwy punkt odniesienia. Rynkami kapitalistycznymi rządzą odmienne przecież prawa, wśród których interes społeczny na szarym końcu pozostaje.**

Nie na wiele nam się jednak poprawi samopoczucie, kiedy zostawimy kapitalistów na boku. **W produkcji bowiem fonograficznej biją nas na głowę Jugosłowianie i Czesi, Niemcy i Węgrzy, Rosjanie, a nawet Rumuni i Bułgarzy.** Jesteśmy daleko w tyle. To fakt. Pod każdym względem: pod względem rozmiarów produkcji, repertuaru nagrań i jakości płyt gramofonowych.

Posmaku skandalu nabierają niektóre aspekty tej generalnej oceny.

W Polsce — kraju Chopina, Szymanowskiego, Karłowicza — nie można kupić płytowych nagrań najwybitniejszych naszych klasyków, którzy pod tym względem doczekali się znacznie większego uznania w świecie.

Nasi najznakomitsi kompozytorzy i wirtuozi związani są wieloletnimi kontraktami z zachodnimi wytwórniami płytowymi, jak chociażby K. Zimerman z „Deutsche Gramophon Gesellschaft", zaś K. Penderecki z RFN-owską agencją „Gema". A to z tego powodu, że ich twórczość nie spotkała się w naszym kraju z należytym — popartym konkretami, a nie obietnicami — zainteresowaniem ze strony przemysłu płytowego.

Płyty z muzyką Krzysztofa Komedy czy Zbigniewa Seiferta — jeszcze za ich życia — wydawali głównie zagraniczni producenci, zaś teraz — po śmierci — ich muzyka znalazła się już całkiem poza zasięgiem zainteresowania rodzimej fonografii.

Jedyna od wielu lat „krajowa" płyta Michała Urbaniaka i Urszuli Dudziak nagrana została w... Zurychu, zaś poprzednich kilkanaście — w Stanach Zjednoczonych, nie trafiając wcale na rynek krajowy w postaci reedycji.

Na kopercie „polskiej" płyty z przebojami grupy „Wings" widnieje nadruk „TM Garrod and Lofthouse Ltd.", który jednoznacznie podpowiada, że była ona... w Anglii drukowana. W kraju bowiem nikt — podobno — nie potrafi zrobić takiej okładki.

Starczy — przynajmniej na razie — przytaczania dalszych, niezbyt zresztą odkrywczych, przykładów niedorozwoju i nieudolności naszego przemysłu fonograficznego, w którym minione pięciolecie niewiele przyniosło pozytywnych zmian.

Produkujemy rocznie 10 mln płyt gramofonowych, co daje nam przeciętną tak żałosną, że nie wartą nawet zestawiania z międzynarodowymi statystykami.

Ciągle większość płyt dostarczają „Polskie Nagrania" ze swej tłoczni „Muza" oraz tłoczni „Pronit" w Pionkach, następnym w kolejności producentem — małych płyt tylko — jest wytwórnia Krajowej Agencji Wydawniczej „Tonpress"; nagrań płytowych dostarcza również w niewielkich ilościach „Veriton", a nadto — od niedawna — wytwórnia Komitetu do spraw Radia i Telewizji „Wifon". Działają niezależnie od tego dwie inne wytwórnie — Wydawnictwo Płytowe Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego „Poljazz" oraz „Helicon" — początkująca wytwórnia Międzynarodowej Federacji Jazzowej. O nich jednak przyjdzie wspomnieć oddzielnie, gdyż nie są przedsiębiorstwami produkującymi „na rzecz rynku", lecz obsługującymi zamknięty krąg odbiorców.

Mamy więc w Polsce kilku producentów płyt których zsumowane wysiłki mierne wciąż dają wyniki.

Do niedawna jeszcze monopolistą w tej dziedzinie były „Polskie Nagrania", wobec których taki „Veriton" był zawsze skromnym — aczkolwiek w niektórych okresach dość aktywnym — marginesem.

Monopol został rozbity. Mam nadzieję, że na zawsze. Wbrew bowiem opiniom niektórych publicystów uważam, że wszelkie monopole są szkodliwe, zwłaszcza w tak „konkurencyjnej" z istoty rzeczy dziedzinie „produkcji dóbr kulturalnych", jaką jest fonografia.

Monopol więc został rozbity. Nie do końca jednak. Wszyscy producenci korzystają bowiem z masy plastycznej, wytwarzanej przez fabrykę w Pionkach, większość też swoich zamówień lokują — w przypadku płyt — w tych samych tłoczniach, w przypadku zaś kopert — w tych samych drukarniach.

A te dwie sprawy — **jakość techniczna samych płyt, jak i ich opakowań — są wciąż najpoważniejszymi mankamentami naszej fonografii.**

2.

Na nieszczęście dla producentów płyt Łódzkie Zakłady Radiowe „Unitra-Fonica" zdystansowały ich już dawno pod względem jakości sprzętu odtwarzającego, w której to dziedzinie łódzka fabryka — mimo że monopolistka — wykazuje godną podziwu przedsiębiorczość i operatywność.

Rodzina polskich gramofonów klasy „Hi-Fi" jest już bardzo liczna, a ciągle się powiększa, że wymieńmy tylko „Bernarda", „Fryderyka", osławionego „Daniela", czy też jego imponującą wersję ze wzmacniaczem — „Fonica 1100".

— Zapotrzebowanie na sprzęt wyższej klasy wzrosło w ostatnim czasie ogromnie — mówi mi dziś dyrektor naczelny „Foniki", **Józef Napieracz. — Dla naszego zakładu oznacza to konieczność dokonania określonych zmian w strukturze produkcji. Stopniowo odchodzimy od klasy popularnej, zwiększając rozmiary produkcji sprzętu „Hi-Fi", równocześnie zaś pracując nad coraz to doskonalszymi, nowocześniejszymi modelami".**

Co druga statystyczna polska rodzina ma gramofon. Niewiele dochowało się w naszych domach „Bambin", „Karolinek" i innych „elektryczno-mechanicznych obrabiarek płyt", że użyję tu żargonu młodzieżowego. **Coraz jest więcej doskonałego, precyzyjnego i czułego sprzętu, który jest jednak zbyt czuły i precyzyjny, jak na parametry techniczne, jak na jakość naszych płyt.**

„Fonikowski" sprzęt klasy „Hi-Fi" pracuje na przetwornikach magnetycznych, wytwarzanych tu we własnym zakresie na licencji holenderskiej firmy „Tenorel". Pasmo przenoszenia dźwięków najnowszego modelu tej wkładki (Mf-102) obejmuje rozpiętość od 40 do 21 500 hertzów. Zetknięcie diamentowego sferycznego ostrza igły tej wkładki z rowkiem polskiej płyty gramofonowej wzbudza często u jej słuchacza irytację i żal do siebie, że wykosztował się na tak... dobry sprzęt. Musi bowiem „schodzić" z basów i sopranów, „przycinać" filtrami i konturami, żeby maksymalnie złagodzić skutki fonograficznego brakoróbstwa. Złagodzić, gdyż nigdy mu się nie uda wyeliminować całkiem trzasków i zgrzytów, szumów i przydźwięków oraz innych akustycznych „efektów", które zakłócają odbiór materiału dźwiękowego, nie zawsze zresztą poprawnie zapisanego i przeniesionego na matrycę.

W kwestiach więc technicznych — podobnie zresztą, jak i repertuarowych, do których jeszcze dojdziemy — **nie zmienia się nic od lat.** Jeśli zaś się zmienia, to nie na wiele, a i zazwyczaj — na gorsze. Producenci płyt zużywają za to wiele energii na tworzenie i umacnianie swoistej mitologii, typowej zresztą nie tylko dla tego wycinka naszego życia społeczno-gospodarczego. **Głównym elementem tej mitologii są — rzecz jasna — trudności obiektywne.**

3.

Trudność obiektywna numer jeden — to ponoć kiepski surowiec: masa plastyczna na płyty, a ściślej — granulat wytwarzany przez zakłady w Pionkach. Zwraca na to uwagę ponownie nowo mianowany dyrektor „Polskich Nagrań", Włodzimierz Pospiech. Dyrektor obwieścił też, że udało się uzyskać z Ministerstwa Kultury i Sztuki ekstraordynaryjny limit dewizowy na zakup granulatu ze Związku Radzieckiego.

Ośmielam się jednak twierdzić, że ta próba udowodnienia Pionkom produkcyjnego partactwa zakończy się fiaskiem. Z kilku powodów. Jednym z nich jest fakt, że Rosjanie sami mają kłopoty z jakością techniczną swoich płyt. Płyta u nich płycie nierówna, jak nierówne tworzywo tworzywu. Wiem, że na niektóre edycje „Melodia" specjalnie selekcjonuje granulat, zwłaszcza na wydania eksportowe, stąd ogromna nieraz różnica między tą samą płytą radziecką kupowaną w Moskwie, a w Warszawie. To po pierwsze, a po drugie, mimo iż „Melodia" jest jedyną firmą płytową — zgodnie zresztą z nazwą: Wszechzwiązkowa Firma Płyt Gramofonowych Ministerstwa Kultury ZSRR — pracuje jednak w oparciu o kilka tłoczni, z jakich największymi są aprielejewska i leningradzka, najlepszą natomiast — Moskiewski Zakład Doświadczalny, którego z kolei moce produkcyjne są z samej natury ograniczone.

Nie tam więc szukać nam rozwiązań, które byłyby sprawdzianem dla Pionek. Zwłaszcza, że te same Pionki z powodzeniem sprzedają swój granulat... zachodnim firmom płytowym, ostatnio producentom z RFN. Rzecz więc tu chyba nie w jakości granulatu, lecz w dalszej jego obróbce. Zresztą pewnie nie tylko. „Polskie Nagrania" twierdzą — na przykład — że pionkowskie tworzywo przedwcześnie zużywa w ich tłoczni matryce. Kto wie zatem, czy nie powinny się one przyjrzeć lepiej i samym... matrycom.

4.

W taki oto sposób przeszliśmy do kolejnej fazy powstawania płyty, a tym samym — do kolejnego mitu.

Kolejni dyrektorzy „Polskich Nagrań" — włącznie z najświeższym, urzędującym od listopada — jako **panaceum na wszelkie dolegliwości naszej fonografii wymieniają nową tłocznię, gigantyczny nowoczesny zakład o wydajności 30 mln płyt rocznie, który powstaje na warszawskiej Woli.**

Według ówczesnych zapowiedzi sprzed lat pięciu — od dwóch już lat powinniśmy produkować po 30 mln płyt rocznie. Niestety, coś się obsunęło, coś się pośliznęło... „Polskie Nagrania" nie przestały jednak obiecywać.

Nie dałem się ponieść euforii z okazji obietnic sprzed lat, nie daję się ponieść — i dzisiaj, nie tylko z powodu smutnych doświadczeń. Spójrzmy bowiem realnie na szanse tej inwestycji.

Jest ona jedną z trzech, jakie prowadzić ma resort kultury. Dwie pozostałe, a raczej — dwie pierwsze, to budowa Biblioteki Narodowej w Warszawie i nowoczesnej drukarni książek w Gdańsku. Już same tytuły inwestycyjne przesądzają o hierarchii, w której nieszczęsną tłocznię dzielą od priorytetu właśnie dwa miejsca.

„Polskie Nagrania" nie powinny nam i sobie robić próżnych nadziei, że nasz przemysł fonograficzny zostanie uzdrowiony raz na zawsze tą wielką inwestycją. Po pierwsze bowiem długo jeszcze na jej produkcję będziemy musieli czekać, po drugie zaś — gigantyczna tłocznia nie rozwiąże niczego, jeśli w samym przemyśle fonograficznym nie dokona się zasadniczego przełomu. Tymczasem **nasi drodzy producenci spod znaku „Polskich Nagrań" najwyraźniej są gotowi siedzieć z założonymi rękami i przeczekać spokojnie tych pięć i więcej lat, aby potem knocić po staremu, tylko na większą skalę.**

Foto: R. Łucyszyn

Cała ta nowa tłocznia okazuje się być już nie mitem, lecz pokaźnym zbiorem klechd i podań. Interesująca demaskacja jednej z legend przytrafiła się zresztą samemu dyrektorowi Pospiechowi w wywiadzie udzielonym miesięcznikowi „Jazz":

— Słyszałem, że tłocznia „Pronit" nie wykorzystuje w pełni swoich mocy produkcyjnych. Czy nie można skorzystać z jej usług?

— Chętnie zamówilibyśmy u nich tłoczenia — odpowiada dyrektor „Polskich Nagrań" — **ale „Pronit" podlega resortowi chemii i koszt wydania longplaya jest u nich wyższy niż w naszej „Muzie". Natomiast kierownictwo „Pronitu" chętnie odkupiłoby od nas jeszcze więcej taśm, ale tylko z muzyką rozrywkową i to gwarantującą dobry zbyt. A my przecież też musimy na czymś zarabiać, kierować się rachunkiem ekonomicznym.**

Okazuje się więc, że **można w naszym kraju wyprodukować znacznie więcej płyt, niż to robimy obecnie. A nie jest do tego wcale potrzebna nowa tłocznia, lecz zerwanie z partykularyzmami, rządzącymi naszą fonografią.** Przedziwny to rachunek ekonomiczny, skoro w świetle przytoczonych słów przypomina on żywo postępowanie psa ogrodnika. Niech mi się taśmy z nagraniami zdeaktualizują całkiem we własnym archiwum, byłem tylko nie dał konkurentowi zarobić za dużo.

5.

Nowa tłocznia nie jest zresztą warunkiem sine qua non nie tylko dla zwiększenia ilości płyt gramofonowych, lecz nawet i poprawienia ich jakości, co jest kolejnym, uporczywie lansowanym przez przemysł fonograficzny mitem.

Gdyby wszystkie nasze płyty były złe pod względem technicznym, można by w to uwierzyć. Na szczęście, tak nie jest.

Robimy płyty fatalne, robimy i znośne, a nawet — od czasu do czasu — zupełnie dobre. Dotyczy to zarówno poziomu nagrania, jak i jakości technicznej. Różnice i rozbieżności występują nie tylko między poszczególnymi tytułami, lecz — co gorsza — między poszczególnymi partiami tego samego nakładu. Nie istnieje w naszej fonografii pojęcie gatunkowości, a powinno: zdarza się bowiem pierwszy gatunek, bywa drugi i trzeci, nagminne są jednak pozagatunki.

Charakterystyczne przy tym, że nasze tłocznie — zwłaszcza „Pronit" — walczą o dobrą jakość w sposób szczególny: zużywają masę czasu i energii na udowodnienie klientowi, że nie ma racji, reklamując wybrakowany towar. Między księgarnią a tłocznią wędrują więc przesyłki tych samych płyt do czasu, kiedy jedna strona się zmęczy. A męczy się z reguły księgarnia, która w końcu rezygnuje i zwala defekty na stertę, czekając z nimi na kolejną przecenę.

Cóż jednak ma począć, jeśli cała partia — kilkadziesiąt czy kilkaset sztuk — płyt jest jednym wielkim defektem? Defektem zbiorowym, a nie jednostkowym? Na porządku dziennym zdarzają się całe nakłady, w których jedna strona każdego egzemplarza jest dobra, druga natomiast — cała trzeszczy. — Na bezrybiu i rak ryba! — podśmiewają się producenci i knocą dalej.

Tak, ale miało być o poprawie jakości bez ogromnych inwestycji.

Proszę bardzo. Raz mi się tylko zdarzyło być w tłoczni „Muzy" w Warszawie, przy ul. Płockiej. Wystarczyło. Wspominam tę wizytę, jak istny koszmar. Radziłbym pracownikom naszej fonografii odbyć co prędzej wycieczkę do tłoczni „Amigi" czy „Supraphonu", gdzie płyty produkuje się w warunkach iście laboratoryjnych gdzie białe fartuchy i ochronne rękawiczki.

Rozumiem, że nasze tłocznie pracują w fatalnych warunkach lokalowych, że park maszynowy jest po części (ale tylko po części!) wysłużony i przestarzały. **Nie pomogą jednak przestronne hale fabryczne i supernowoczesne urządzenia, jeśli równocześnie nie zadba się o przestrzeganie kardynalnych reżimów technologicznych: czystości, porządku, dyscypliny.** Drobny pyłek, który osiądzie na matrycy — to zagrożenie dla jakości płyty. Drobny pyłek — istna parodia! Miewam okazję w zaprzyjaźnionej księgarni oglądać świeżo rozpakowane przesyłki: na powierzchni płyt nader często widnieją ślady tłustych palców pakowaczki. Wystarczy?!

Daleki jestem, oczywiście, od hamowania inwestorskich zapędów naszych producentów. **Bezsprzecznie przemysł fonograficzny należy ciągle do najbardziej zaniedbanych i zacofanych. Nie usprawiedliwia to jednak biernego czekania na zamek na lodzie, jakim jest ciągle jeszcze osławiona tłocznia na Woli.** Na szczęście, nasza fonografia co rusz się modernizuje, wymienia, bądź uzupełnia park maszynowy. **Pora jednak, żeby z tych — kosztownych przecież — przedsięwzięć zaczęło coś dobrego wynikać. Poza ciągłymi obietnicami!**

6.

Jeśli się nawet doczekamy odpowiedniej jakości płyt gramofonowych, to bez spełnienia kolejnego warunku — pozostaną one tym, czym są obecnie, czyli absolutną tandetą. Warunkiem zaś następnym są koperty do płyt, czyli — mit kolejny.

Czy nasza poligrafia nie jest w stanie zrobić porządnej okładki? Czy nasze płyty muszą być wyposażone w papierowe szmaty, które nadają się na opakowanie jednorazowego użytku, a nie na trwałą kopertę płyty gramofonowej?

Podobno — nie. Fonografia przy takiej okazji krytykuje zawzięcie Łódzką Drukarnię Akcydensową, która jest potentatem w produkcji kopert.

Czy zarzuty są słuszne? Zacznijmy od jakości druku. **Projekty okładek i ich wykonanie — wbrew potocznym opiniom — nie odbiegają od światowego standardu.** Tak, same „wydruki" trafiają się nam wręcz znakomite. Fatalny jest tylko karton, na którym są drukowane. Znów nie tak: **karton jest znakomity, tyle że nie na te cele.** Gramatura papieru nie przekracza tu 200 gramów, podczas gdy szanujący się producenci płyt używają kartonu o gramaturze 350—400 gramów, jednostronnie kredowego, a przypominającego już grubością tekturę. Tak, **ogromne ilości takiego kartonu zużywa na opakowania przemysł spożywczy i kosmetyczny, oświetleniowy i motoryzacyjny, a także wiele innych branż, które mogłyby z powodzeniem poprzestać na zwykłej folii czy papierze o mniejszych gramaturach.** Zwłaszcza, że opakowania produkowanych przez nie towarów mają charakter jednorazowy i kończą swój krótki żywot w koszu na śmieci, podczas gdy okładka płyty służyć ma całymi latami.

A więc zupełny nonsens.

Jak więc wygląda sprawa papieru? Czy winić tu należy poligrafię czy fonografię? Kto ustala parametry techniczne kartonu?

— Papier zamawia poligrafia — odpowiada dyrektor Łódzkiej Drukarni Akcydensowej, **Witold Rzążewski. — Sprawa nie jest jednak taka prosta. Dla „Polskich Nagrań" robimy rocznie 6,5 mln kopert do płyt. Wbrew ponawianym nieustannie zarzutom, ta sfera produkcji ma u nas pełny priorytet. Nieprawdą jest, że opakowania do płyt wypierane są u nas przez opakowania, czy etykiety do artykułów spożywczych lub kosmetyków. Nieprawdą też jest, że od nas zależy, na czym będziemy drukowali jedne czy drugie opakowania. Na zakup papieru na okładki do płyt ministerstwo przyznaje corocznie określone limity; za te same pieniądze można kupić mniej papieru o większej gramaturze, lub też więcej — o gramaturze mniejszej.**

A więc znów — w imię źle pojętej gospodarności — przedkłada się ilość nad jakość. Do czego to prowadzi? Do ogromnego marnotrawstwa. **Doprawdy bowiem szkoda znakomitej — głównie szwedzkiej — farby drukarskiej i znakomitego skądinąd — fińskiego głównie — papieru na tandetne opakowania jednorazowego użytku, jakimi są polskie koperty do płyt.**

Właśnie, i te koperty są podobno głównym antyeksportowym bodźcem naszej fonografii.

Czy jednak nasza poligrafia upora się z tym grubszym kartonem? Drążmy temat dalej.

— Raczej tak — stwierdza **Adam Grzelak,** dyrektor techniczny tej drukarni. — **Na kartonie o większej nawet gramaturze drukujemy przecież opakowania dla innych odbiorców, między innymi dla „Wedla", który też do niedawna lokował z podobnych względów zamówienia u zachodnich producentów. Nawet ta maszyna offsetowa, której moce rezerwujemy dla „Polskich Nagrań" dałaby sobie radę z wyższą gramaturą, ma ona bowiem dużą tolerancję. Z samym więc drukiem nie byłoby specjalnych kłopotów. Niezbędna jest jednak odpowiednia sklejarka do kopert, która również formowałaby grzbiety okładek, jakich doczekać się wciąż nie mogą nasi kolekcjonerzy płyt".** Potrzebna jest zatem nowa sklejarka. Do tego dodam jeszcze laminarkę, a więc maszynę uszlachetniającą powierzchnię okładki przez powleczenie jest warstwą tworzywa sztucznego. Fonografia i poligrafia w jednym resorcie się mieszczą, gdyby więc tylko dokonać drobnych przesunięć limitów dewizowych, na długo udałoby się rozwiązać problem okładek. Jasne, że maszyny te kosztują. Sprawdzałem i to jednak: łączny ich koszt nie przekracza ceny przeciętnej podstawowej maszyny drukarskiej, jakich kupujemy dziesiątki. Zresztą, nakłady te spłaciłyby się w krótkim czasie, a i w ogóle — opłaciły sowicie.

Tak oto — problem po problemie — uzdrawiamy sobie teoretycznie naszą fonografię. Niestety, walka z mitami przypomina tu walkę z wiatrakami. Psy szczekają, a karawana idzie dalej. Cóż, niejednemu publicyście przychodzi występować w roli poszczekującego pieska, zwłaszcza gdy zabiera głos w kwestii repertuarowej naszej produkcji fonograficznej, o której w następnej części tego artykułu.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JAK SIĘ ROBI GAZETĘ

W maju gwałtownie rośnie zainteresowanie dziennikarzami. Ponieważ są to dni kultury, oświaty, książki i prasy, biblioteki, kluby i świetlice chcą gościć u siebie również dziennikarzy. Kilkanaście lat temu łódzki oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zorganizował w Łodzi i ówczesnym województwie łódzkim całą serię spotkań z czytelnikami. Wówczas to ktoś zwrócił się też do mnie z pytaniem, czy mógłbym wziąć udział w tych spotkaniach? Mógłbym. — Ale — zapytałem — o czym ja mam tam mówić? — Opowiedz im, jak się robi gazetę — usłyszałem w odpowiedzi.

Opowiedzieć, jak się robi gazetę, wydawało mi się wówczas łatwe i proste. Dziennikarze zbierają informacje, piszą artykuły, notatki, felietony, reportaże, zanoszą to do sekretariatu, tam się rozplanowuje to na makiecie, idzie to do drukarni, wieczorem dochodzą jeszcze depesze agencyjne, wszystko to razem zbiera się do kupy i tak powstaje gazeta. Wziąłem więc makiety, na których rozplanowuje się materiały na poszczególnych stronach gazety, wziąłem szczotki, czyli odbitki kolumn (stron) już odlanych w metalu, wziąłem gotową gazetę i pojechałem do Rszewa, bo tam los wyznaczył mi spotkanie.

Klub był pełny. Wysłuchano spokojnie tego, co miałem do powiedzenia na temat robienia gazety, a później zasypano mnie taką lawiną pytań, że dobrze się kilkakrotnie spociłem nim wybrnąłem z odpowiedzią, i wtedy zrozumiałem, że opowiedzenie o tym, jak się robi gazetę wcale nie jest takie proste. Nie wystarczy zdać sprawę z technicznej strony tej czynności. Trzeba dotknąć wielu spraw, a między innymi koncepcji kształcenia dziennikarzy, organizacji pracy w redakcji, organizacji prasy w ogóle.

Kilka dni temu Wiesław Machejko, który nim osiadł w telewizji pracował w „Głosie Robotniczym" i „Expressie Ilustrowanym", wygłosił płomienne przemówienie przeciw przyjmowaniu do pracy w redakcjach ludzi... prosto z ulicy. Zapomniał tylko, że on sam, wiele lat temu, przechodząc przed redakcją „Głosu Robotniczego" na ulicy Piotrkowskiej, postanowił wejść i zapytać, czy przypadkiem nie znalazłaby się tam dla niego praca. Praca się znalazła...

— Ale — powiedział Machejko — ja przeszedłem znakomitą szkółkę Henryka Rudnickiego.

I w ten sposób dotknął trwającego od wielu lat sporu na temat tego, jak kształcić dziennikarzy. Były swego czasu studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie są na Warszawskim, Jagiellońskim Śląskim i Poznańskim, a mimo to do redakcji przychodzą ludzie, jeśli już nie z ulicy, to z ominięciem studiów dziennikarskich. Z drugiej jednak strony wielu czynnych dziennikarzy zaocznie pogłębia swą wiedzę zawodową.

Studia dziennikarskie cierpią na różne niedostatki. Dopiero od 1979 r. ujednolicono plany studiów magisterskich, ale wobec braku szczegółowych programów są one różnie realizowane. Brakuje poza tym podręczników, skryptów, materiałów pomocniczych. Kształceniem dziennikarzy zajmuje się około 130 osób, w tym dwie trzecie to czynni dziennikarze. Studiuje obecnie około 650 osób, a około 170 powinno w 1980 roku ukończyć studia dziennikarskie.

Nie jestem przeciwnikiem studiów tego typu, ale wydaje mi się, że decydującym momentem w ukształtowaniu dojrzałego dziennikarza odgrywała, odgrywa i będzie odgrywała praktyka redakcyjna. Pamiętam, że swego czasu łódzka instancja partyjna podjęła uchwałę, że do pracy w prasie, radio i telewizji należy przyjmować jedynie kandydatów po studiach dziennikarskich, ale życie wykazało, że nie można sztywno trzymać się tej uchwały. I obecnie mało kto chyba o niej pamięta.

Szkółka Henryka Rudnickiego znana była w łódzkim środowisku dziennikarskim. Sam zresztą ją przeszedłem. Było to w 1962 roku. Pracowałem wówczas w Komitecie Wojewódzkim ZMS, ale współpracowałem z „Głosem Robotniczym", „Dziennikiem Łódzkim", „Odgłosami". Doszedłem wreszcie do wniosku, że byłoby dobrze zająć się dziennikarstwem na dobre, a nie tylko z doskoku. Zaszedłem do Wiesława Beka, który był wówczas zastępcą redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego" i zapytałem, czy nie znalazłoby się dla mnie miejsce w redakcji.

— Owszem — powiedział — ale trzeba trochę poczekać. Proszę w wakacje przyjść na praktykę.

W kilka dni później w Klubie Dziennikarza odbyło się decydujące o moich losach spotkanie. Wiesław Bek przedstawił mnie szefowi „Głosu Robotniczego", Stanisławowi Mojkowskiemu.

— Gdzie go damy? — zapytał Bek.

— A co proponujesz? — na to Moj.

— Dałbym go do działu wojewódzkiego, on dobrze zna województwo.

— E — Moj się skrzywił — on się tam niczego nie nauczy. Oni jednego dnia jadą w teren, drugiego wracają, trzeciego myślą, piątego piszą... Dajmy go do Rudnickiego.

Skóra mi ścierpła na grzbiecie. Słyszałem już o szkółce Henryka Rudnickiego. Wyboru mi jednak nie dano.

Henryk Rudnicki był akurat na urlopie, więc dostałem się pod opiekuńcze skrzydła Henryka Sroczyńskiego, szybkostrzelnego dziennikarza działu miejskiego. Na ogół uważa się, że każdy adept dziennikarskiego zawodu powinien przejść przez ten dział. Tu człowiek uczy się miasta, poznaje fach od najtrudniejszej strony. Praca w dziale miejskim jest ciężka, żmudna i bardzo niewdzięczna. Trzeba biegać od samego rana, wiedzieć, co się w mieście dzieje ciekawego, nie przepuścić żadnego otwarcia, zebrania, narady, jubileuszu, umieć wyłapywać ciekawostki, a wszystko to kończy się kilkudziesięciowierszowymi notatkami podpisanymi najwyżej inicjałami. Poza tym te notatki trzeba było oddać kierownikowi działu do godziny 14.

Kierownikiem był Henryk Rudnicki, zastępował go Henryk Sroczyński. Nie miał dla mnie litości i od razu wziął mnie do galopu. Lipiec był upalny, a komu w takie ciepłe dni chce się pracować. W dziale były chyba tylko trzy osoby ze mną włącznie, więc całą bieganinę po rozpalonym słońcem mieście na mnie zwalono. I słusznie zresztą, dziennikarstwo nie jest bowiem dla rozhisteryzowanych panienek. Dałem sobie jakoś z tym wszystkim radę, co Henio Sroczyński nie omieszkał podkreślić i zauważyć. Ale najgorsze dopiero miało przyjść.

Wrócił z urlopu Henryk Rudnicki, przywitał się ze mną i wezwał do siebie Sroczyńskiego. O przebiegu rozmowy dowiedziałem się w jakiś czas później.

— Co to za palanta dali nam? — zapytał szef działu, a język miał soczysty i umiał posługiwać się mocnym słowem we właściwym miejscu i czasie.

— Daje sobie radę. Będą z niego ludzie — zarekomendował mnie Sroczyński.

— Zobaczymy — mruknął szef i zmienił temat.

Wszystko com od tej chwili napisał, wędrowało spokojnie na krzesło stojące przy biurku. Rudnicki brał do ręki moje materiały i, nawet nie patrząc na nie, kładł je tam ze stoickim spokojem. W dziale nikt tego nie komentował. Miałem do wyboru, albo iść na basen i opalać się, oczekując aż coś się wreszcie z tego co napisałem ukaże, albo pracować, jakby nic mojego nie leżało na krześle. Henryk Rudnicki też wiedział, że mam te dwie możliwości do wyboru i czekał, którą z nich wybiorę. Pracowałem dalej, jakby nie było krzesła przy biurku mojego bezpośredniego szefa i jakby nic mojego tam nie leżało. Po kilku dniach materiały zaczęły szparko płynąć do gazety. Pierwszy egzamin zdałem. Potem było jeszcze kilka.

Henryk Rudnicki był dziennikarzem starego typu. Pracę w prasie zaczął jeszcze przed wojną. Po wojnie wydał „Wolną Łódź", a później pracował w prasie partyjnej. Przeszedł różne szczeble dziennikarskiej kariery i choć sam też wiele miesięcy przesiedział w sekretariacie redakcji, do pracy sekretariatu odnosił się bez nabożności, nazywając jego pracowników „Krasnoludkami". Rozumiał jednak doskonale, co dla dziennikarza znaczy kontakt. Miał swoisty sposób łapania tego kontaktu.

Jego pokój i pokój działu miejskiego, położony obok, miały jeden telefon, tak zwany dyrektorsko-sekretarski. Kiedy ten telefon dzwonił, Rudnicki natychmiast podnosił słuchawkę włączając dużym palcem czerwony guziczek. Informator dzwoniący do działu miejskiego był już na jego linii. Wytworzyła się więc swoista rywalizacja, niektórzy pracownicy działu miejskiego specjalizowali się w przechwytywaniu połączenia, aby ubiec szefa. I czasem im się to udawało.

Henryk Rudnicki dbał nie tylko o taki kontakt z czytelnikami. Dobrze rozumiał znaczenie różnych akcji dziennikarskich. Odgrzebał i wprowadził do Klubu Dziennikarza kapele podwórkowe i miejski folklor. Był to pierwszy koncert tego typu po długim okresie, w którym folklor miejski był w niełasce. Podjął akcję likwidacji „naftowych plam" na energetycznej mapie Łodzi. Okazało się bowiem, że w czasie powszechnej elektryfikacji kraju w samej Łodzi znalazło się sporo miejsc, do których nie docierał prąd elektryczny. Ratował od zapomnienia różne relikty przeszłości, na przykład staroświeckie szafy grające, różne pozytywki i Bóg jeden wie co jeszcze. Myślę, że Adam Lewaszkiewicz, zapalony kolekcjoner, pasją tą zaraził się od Rudnickiego i u Rudnickiego terminował w organizowaniu różnych dziennikarskich akcji przewyższając z czasem mistrza.

Szkółkę dziennikarską przeszedłem u Henryka Rudnickiego, ale właściwym moim nauczycielem był Stanisław Mojkowski. Przyszedł do „Głosu Robotniczego", kiedy gazeta ledwie wegetowała i uczynił z organu partyjnego pierwszą gazetę Łodzi i województwa. Tak, jak powinno być. On to właśnie, kiedy już byłem w dziale partyjno-ekonomicznym, doszedł do wniosku, że powinienem zobaczyć też, jak się robi gazetę od strony „Krasnoludków" i na kilka długich miesięcy posadził mnie w sekretariacie redakcji. Tutaj techniki redagowania uczył mnie znakomity fachman, Sergiusz Kłaczkow. Później Mojkowski dał mi możliwość popatrzenia na dziennikarską robotę w szerszej skali, proponując mi pracę korespondenta „Trybuny Ludu". A później, kiedy wraz z Jerzym Wawrzakiem zaczęliśmy poszukiwać nowego kształtu „Odgłosów", krzywił się na te poszukiwania i miał niewątpliwie rację. Ale myśmy musieli wszystko przewrócić do góry nogami, aby zrobić z tego coś innego, co zresztą robimy w „Odgłosach", ale w innej już skali — do spółki z Jerzym Katarasińskim — do dnia dzisiejszego.

Dziennikarstwo dla mnie nie jest tylko zawodem. Jest to coś więcej. Sposób myślenia. Sposób bycia. Dziennikarzem nie można być od 9 do 16. Dziennikarzem jest się cały czas. Ale różne są style dziennikarstwa. U nas przeważa styl chałupniczy. Dziennikarzy uważa się za wszechwiedzących omnibusów, którzy potrafią (lepiej, czy gorzej) pisać na wszystkie tematy i zawsze. Powoli zdobywa sobie prawo dziennikarska specjalizacja. Jest ona konieczna, choć różnie to układa się w różnych redakcjach i od różnych zależy czynników.

Ewolucja w dziennikarstwie od chałupnictwa do rzemiosła posuwa się wolno. Zbyt wolno — powiedziałbym. Dysponujemy już na przykład magnetofonami, co czasem budzi niechęć rozmówców, bo swobodniej się rozmawia, kiedy dziennikarz robi sobie tylko notatki, a inaczej, kiedy rozmowa jest nagrywana. Słowo zostało utrwalone na taśmie magnetofonowej i można je odtworzyć. Na nic zdają się zapewnienia, że to tylko „notes", że dziennikarz też musi doskonalić sposoby swej pracy. Do mikrofonu mówi się zawsze inaczej. Często pada prośba: — proszę wyłączyć mikrofon, bo to co teraz powiem, nie nadaje się do nagrania. A przecież dziennikarz zawsze gwarantuje pełną dyskrecję swoim informatorom. To nakazuje nam etyka zawodowa.

Dziennikarz, aby mógł dobrze spełniać swoje obowiązki, informować szybko, dokładnie, rzeczowo, musi — niestety — dysponować dobrze wyposażonym warsztatem. Tu już nie tylko liczą się jego umiejętności, ale też wyposażenie redakcji. Nadal nie dysponujemy w Łodzi takimi archiwami i taką dokumentacją, która umożliwiałaby nam jak najlepsze spełnianie naszej roli. Potrzebni są specjaliści od opracowywania dokumentacji, którzy umieliby służyć dziennikarzom fachową pomocą. Potrzebni są specjaliści, którzy umieliby z otrzymanej taśmy z nagraniem rozmów i dyspozycji przygotować w pełni wartościowy wyciąg, mogący wraz z dokumentacją pomocniczą stanowić właściwą podstawę do opracowania artykułu. Ciągle jeszcze zdarza się, że w większości opieramy się na opiniach zasłyszanych od rozmówców i własnych przemyśleniach, nie podbudowując ich należycie możliwie pełną i wyczerpującą dokumentacją. A to obniża jednak wartość naszej publicystyki.

Docent Andrzej Ślisz, który w Instytucie Dziennikarstwa UW jest specjalistą od kształcenia dziennikarzy i wychował ich już całe mnóstwo, twierdzi, że nie można przez całe życie biegać z notesem po mieście i pisywać informacji o wszystkim, że trzeba się w którymś momencie na coś zdecydować. Jedni odchodzą od zawodu, inni uciekają w literaturę, inni szukają dla siebie miejsca w nauce i kształceniu młodych, inni jeszcze obrastają w funkcje w dziennikarskiej administracji. Dla innych wyjściem byłaby specjalizacja. Ale już powiedziałem, co trzeba, aby taka specjalizacja mogła stać się rzeczywistością. Pole manewru jest spore. Warunki — różne.

A więc: jak się robi gazetę?

Nie lubię dziś odpowiadać na to pytanie, bo zdaję sobie sprawę z całej złożoności, skomplikowania i wiem, że nie wszystko rozgrywa się na stole sekretarza redakcji, kiedy ten przystępuje do makietowania numeru. Żeby nie mówić o tym na majowych spotkaniach, napisałem ten artykuł.

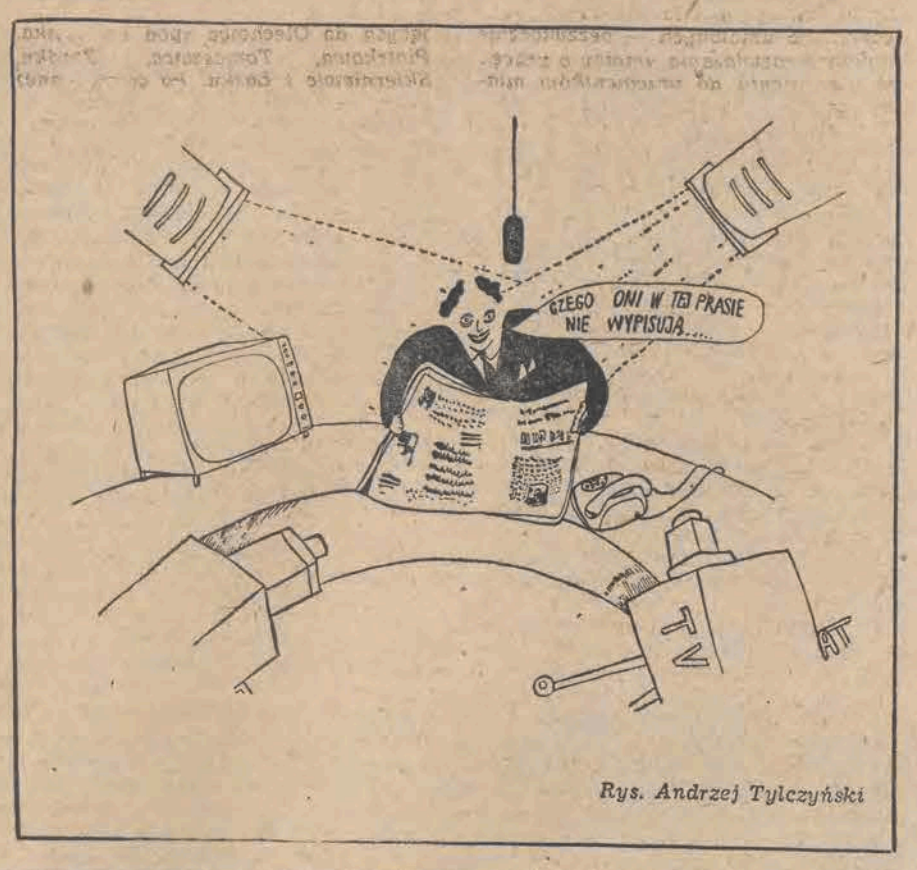

Rys. Andrzej Tylczyński

PIERWSZY

30 maja 1550 roku skryba zanotował w księdze grodzkiej miasta Krakowa, że Łazarz Andrysowic rodem ze Strykowa, poślubiwszy Barbarę, wdowę po Hieronimie Wietorze, przyjmuje krakowskie prawo miejskie. I tak 430 lat temu rozpoczęła się oficjalna działalność pierwszego samodzielnego drukarza i wydawcy polskiego pochodzenia Barbara przepisała na swojego drugiego męża cały majątek, a więc przede wszystkim oficynę drukarską Hieronima Wietora, który przybył z Wiednia w 1517 roku i zyskał sławę jednego z najświetniejszych typografów swoich czasów.

Ale Łazarz Andrysowic też nowicjuszem w sztuce drukarskiej nie był. Do Krakowa przybył w 1540 roku z miasta Strykowa — leżącego dzisiaj w łódzkiej aglomeracji miejskiej — a znanego w owych czasach jako dobra znamienitej rodziny Łaskich. Najpierw Jana — arcybiskupa gnieźnieńskiego, prymasa i kanclerza, a później jego brata Jarosława — ojca, nie mniej znanego, drugiego Jana Łaskiego — pisarza i humanisty, kalwina i zwolennika reformacji, przyjaciela Melanchtona i Erazma z Rotterdamu.

Nie wiadomo jakie były przyczyny przybycia do Krakowa Łazarza Andrysowica. Nie wiadomo gdzie i jakie pobierał nauki. Być może w pobliskich Brzezinach, o których historyk i poeta Maciej Stryjkowski — też zresztą ze Strykowa rodem, ale młodszy od Andrysowica o lat blisko 20 — napisał, że były mu Padwą i Bolonią. Nie ulega jednak wątpliwości, iż przybywszy do Krakowa musiał mieć przynajmniej podstawy ówczesnego wykształcenia. Bardzo prędko stał się bowiem najważniejszym pomocnikiem Wietora, a sześć lat później, po śmierci mistrza, sprawował fachowe kierownictwo oficyny.

Drukował wszystko — od aktów urzędowych poczynając, co było tradycją oficyny Wietora, przez poważne dzieła, aż do serii ulotnych pieśni różnowierczych. Do dziś zachował się zbiór takich pieśni zwany Kancjonałem Puławskim. Znajduje się w bibliotece Czartoryskich w Puławach.

Pracował zresztą także dla kościoła, wydając dzieła antyreformacyjne, modlitwy i psałterze.

Dawna oficyna Wietora była teraz znana jako oficyna Łazarzowa. Ale nie tylko nazwę zmienił nowy właściciel. Rozbudował i unowocześnił zakład, sprowadzając szereg nowych nieznanych krojów czcionek. Na wysokim poziomie stała szata graficzna jego wydań.

Musiał być mistrzem cenionym, bo w 1551 roku nie zawahał się powierzyć, właśnie Oficynie Łazarzowej, druku swojego dzieła Andrzej Frycz Modrzewski, „De Republica Emendanda" czyli „O naprawie Rzeczypospolitej" wyszło spod pras Andrysowica. Drukuje u niego Marcin Kromer. Trzy tomy „O wierze i nauce luterskiej" wychodzą w latach 1551—1553. W 1561 r. ukazuje się „Fidel catholicae confessio" Stanisława Orzechowskiego w wydaniu Andrysowica.

Łazarz Andrysowic współpracował także z największym polskim poetą doby Odrodzenia. W 1561 roku Jan Kochanowski powierzył Oficynie Łazarzowej druk swojego dzieła „O śmierci Jana Tarnowskiego". W tej samej drukarni tłoczono trzy lata później „Zgodę".

Ale nie tymi wielkimi dziełami żyła na co dzień Oficyna Łazarzowa. Drukarzy było wtedy w Krakowie wielu — co najmniej kilka dużych oficyn ostro ze sobą konkurujących. Najpoważniejszym źródłem stałych dochodów był druk oficjalnych dokumentów królewskich. Co prawda otrzymał Andrysowic w roku 1569 serwitoriat królewski z tytułem „Regiae cancellarie calcographus" — drukarz kancelarii królewskiej, ale utracił go wkrótce, bo w roku 1571, jak wszyscy zresztą, poza jednym Maciejem Wierzbiętą.

Wydania wielkich dzieł były drogie, nie co dzień więc znajdowali się chętni klienci. Trzeba było ratować się tanimi drukami masowymi. Takimi były „Artykuły prawa magdeburskiego" napisane przez Bartłomieja Groickiego, podwójciego i pisarza sądu na zamku krakowskim. Wydane po raz pierwszy w roku 1558 i wznawiane później wielokrotnie. Innymi tanimi drukami ratującymi codzienną egzystencję oficyny, były wspomniane już wcześniej zbiory pieśni różnowierczych. Wszak panowanie Zygmunta Augusta, to szczyt potęgi Rzeczypospolitej, ale to jednocześnie największe nasilenie ruchu reformacyjnego. Jak podają współcześni — sam król chętnie tych nowinek słuchał. Mógł więc Andrysowic liczyć na zbyt swoich druków.

Druga połowa szesnastego wieku, to także okres dyskusji humanistycznych nad kształtem językowym literackiej polszczyzny, a Łazarz Andrysowic miał w tej dyskusji głos niemały. Ze znanych 261 druków jego oficyny, 130 wytłoczono po polsku.

Kiedy umierał w roku 1557 nie przypuszczał zapewne, że Drukarnia Łazarzowa przetrwa sto lat. Po śmierci Andrysowica prowadził ją Jan Januszowski, jedyny syn Barbary i Łazarza nobilitowany przez króla Stefana Batorego.

Jan Januszowski, wykształcony humanista, prawnik, pisarz, autor projektu ortografii polskiej, rozwinął jeszcze dzieło ojca. Wprowadził oryginalną polską czcionkę i zastosował ilustracje miedziorytnicze.

Officina Lazari, albo Drukarnia Łazarzowa, zmieniając kolejnych właścicieli, przetrwała pod tą samą nazwą do roku 1648, a sygnety drukarskie — z ręką trzymającą zapaloną pochodnię i z czworokątnym kamiennym obeliskiem — widnieją na wielu znakomitych drukach tamtego okresu.

Pisał Joachim Lelewel:

„Żadna podówczas drukarnia i w piękności, i w liczbie wydrukowanych dzieł, i w ich ogromie nie dorównywała oficynie Łazarza. Ubiegać się może o wielką chwałę z najpierwszymi podówczas w Europie typografiami, tak co do piękności pisma, gustu, dobroci papieru, jako też co do wielkiej poprawności i uczonych widoków, które celniejszym drukarniom podówczas obcymi nie były".

JAROSŁAW WARZECHA

EUGENIUSZ IWANICKI WYBIERAM MNIEJSZE ZŁO

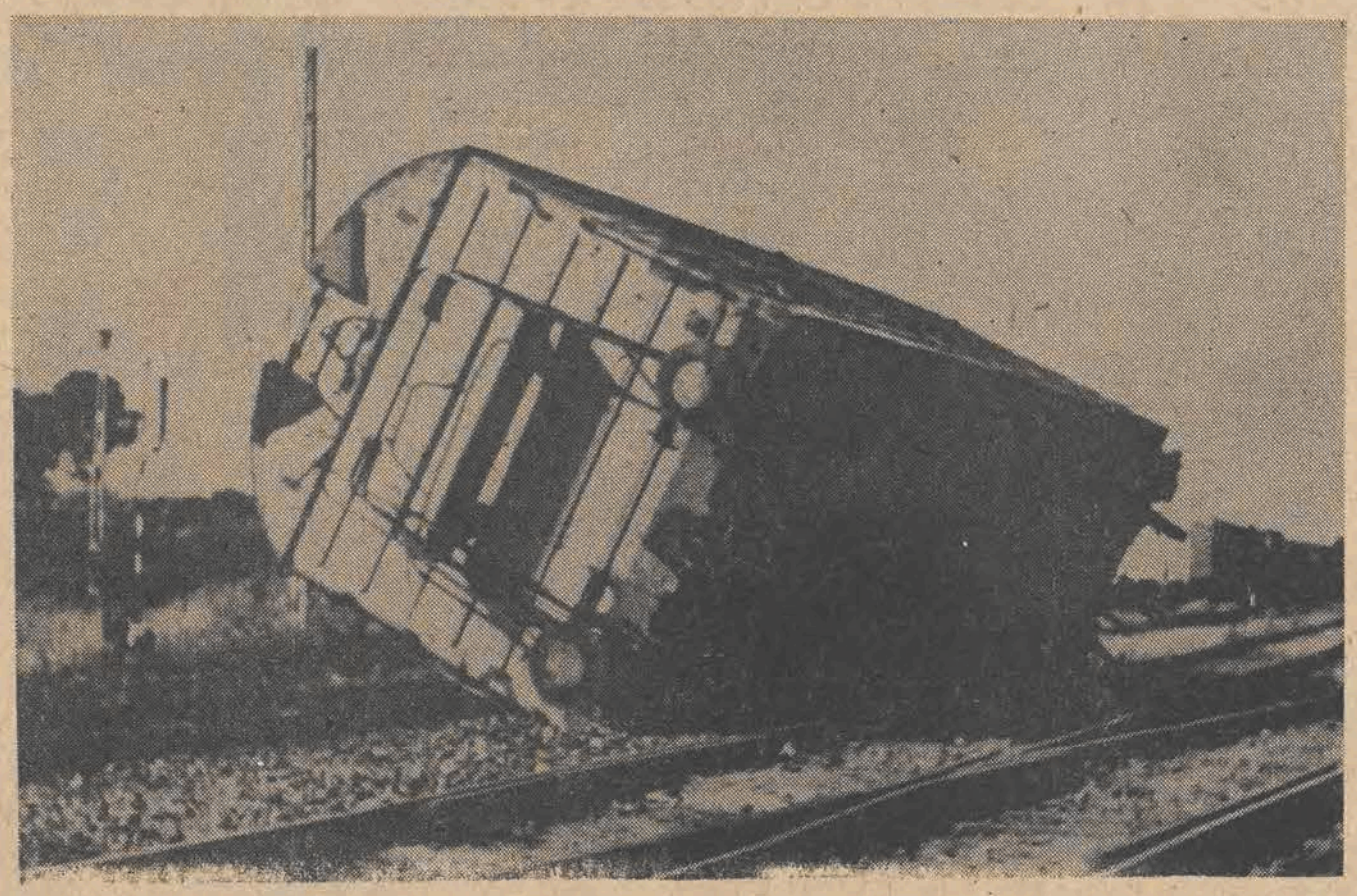

Foto: Z. Bieniecki

Prokurator dla dzielnicy Łódź-Widzew Paweł Wyrwas otwiera pokaźnych rozmiarów teczkę akt prokuratorskich i pokazuje mi zdjęcia przedstawiające leżącego na ziemi mężczyznę w białej koszuli w pasy; na innych ten sam mężczyzna jest podtrzymywany pod ręce przez milicjantów. Sfotografowany człowiek niewiele wie z tego co się z nim dzieje, jego twarz wyraża obojętność i apatię.

— *Czy wie pan kto to taki?* — pyta mnie prokurator.

Przyglądam się uważnie twarzy na fotografii.

— *Niestety, nie.*

— *To naczelnik stacji kolejowej Łódź-Olechów.*

— *Wypadek?*

— *Można to i tak nazwać: wypadek przy pracy. Oto dowody na tę okoliczność, proszę przeczytać.*

„Notatka służbowa. W dniu 17 maja 1979 roku zostałem powiadomiony przez st. sierż. sztabowego M. Wyszyńskiego, że na nasypie kolejowym przy wiadukcie leży w stanie kompletnego zamroczenia naczelnik tutejszej stacji ob. M. M... na miejsce zdarzenia wysłałem sierż Pieleżka, który wraz z M. Wyszyńskim dowieźli nietrzeźwego do tut. komisariatu. Pobrano „probierz trzeźwości" nr 38197, który zmienił barwę wskaźnikową — całkowicie, wskazując na nietrzeźwość badanego. Sierż. Pieleżek przewiózł badanego na pobranie krwi na zawartość alkoholu nr opakowania z fiolką B-219608."

„Akademia Medyczna w Łodzi, Zakład Medycyny Sądowej, ul. Sędziowska 18a, tel. 703-63, 81-304 Łódź. Próbka nr 9492. Nr kontrolny 219608. Do Komis. Kolej. MO Ł.-Olechów. W próbce krwi pobranej dn. 17.V.1979 r. o godz. 16.40 oznaczono metodą Widmarka alkoholu w ilości we krwi 2,59 promille."

— *Co dalej?* — pytam prokuratora.

— *W PKP z tym się nie spieszą. Jedyną karą, jaką poniósł ten człowiek, było odsunięcie go od pracy na stacji. Teraz siedzi w DRKP.*

Pisałem już o pijaństwie na stacji Łódź-Olechów, które podrywa autorytet tych wszystkich kolejarzy dla których praca stanowi szlachetny obowiązek i którzy w kolejnictwie przepracowali po kilka lub kilkadziesiąt lat. Dwukrotnie minister komunikacji wydał okólniki dotyczące wzmożenia walki z nietrzeźwością, ale zostały one wpięte do akt i zapomniane. Oto okólnik ministra komunikacji nr 4 zaleca: *„Z pracownikami.. ujawnionymi w stanie nietrzeźwym podczas pełnienia obowiązków służbowych należy: w odniesieniu do pracowników umownych — bezzwłocznie dokonać rozwiązania umowy o pracę.. W odniesieniu do pracowników mianowanych — bezzwłocznie przedkładać właściwemu zwierzchnikowi służbowemu wniosek o zwolnienie pracownika."* Dalej okólnik zobowiązuje do wyciągania wniosków służbowych w stosunku do tych zwierzchników, którzy dopuścili do służby pracownika nietrzeźwego lub którzy po ujawnieniu nietrzeźwości pracownika w służbie nie spowodowali bezzwłocznego usunięcia takiego pracownika z posterunku pracy.

Rozmawiam z zastępcą naczelnika stacji Łódź-Olechów mgr Andrzejem Karpińskim.

— *To prawdziwa plaga* — przyznaje. — *Jeśli ja osobiście spotykam pijanego, to odsyłam go do domu.*

— *A nie wyrzuca go pan z pracy?*

— *Nie, bo gdy go odeślę do domu, taki pracownik traci natychmiast około 3 tys. złotych. Po pierwsze — traci dniówkę, po drugie — dodatek za uciążliwą pracę za cały miesiąc i po trzecie — traci 20 proc. funduszu nagród.*

— *Nie lepiej zwolnić?* — upieram się, pamiętając o okólniku nr 4 ministra komunikacji.

— *Zwolnić można, tylko skąd wezmę ludzi do pracy?*

— *Podpity manewrowy może narobić sporo szkód, może wykoleić wagon albo co gorsza, sam wpaść pod koła..*

— *Może, na pewno. Ale rozbijanie wagonów, proszę pana, to sprawa złożona. Tu ważą dwa czynniki: ludzie i stan wagonów. Wagony mamy wysłużone, od lat nie remontowane i przy słabym uderzeniu — gdy toczy się z górki rozrządowej na dołek — może ulec rozbiciu. Wagony winny toczyć się, według założeń, z szybkością 3 kilometrów na godzinę. To jest szybkość bezpieczna, przy której nie ma prawa ulec uszkodzeniu ani wagon, ani zawarty w nim ładunek. Ale my nawet nie śmiemy o tym marzyć.*

— *Nie rozumiem.*

— *Gdybyśmy puszczali nasze wagony z przepisową szybkością 3 km na godzinę, to ręczę, że co najmniej połowa z nich zostałaby roztrzaskana. Nasze wagony toczą się z szybkością 1—1,5 km na godzinę.*

— *Wspomniał pan o ludziach...*

— *Właśnie. Są to ludzie przeszkoleni, ale nie zdyscyplinowani. Mamy 70 proc. chłopo-robotników dojeżdżających do Olechowa spod Radomska, Piotrkowa, Tomaszowa, Szadku, Skierniewic i Łasku. Po całodziennej pracy na swoim gospodarstwie taki człowiek w czasie pracy w nocy stara się trochę zdrzemnąć, pospać bodaj parę godzin, bo przecież nazajutrz znów musi wyjść u siebie na pole i orać, siać lub bronować. No i przyśnie, nie założy płozy hamulcowej, rozpędzony wagon z całym impetem walі w inne, stojące na torze. Kraksa, straty, kłopoty.*

— *Oczywiście, pan zwalnia takiego manewrowego?*

Inżynier Andrzej Karpiński uśmiecha się z politowaniem.

— *Nie mogę tego zrobić z dwóch powodów: po pierwsze nie jestem tu naczelnikiem, a po drugie, jak już wspomniałem, brakuje nam ludzi.*

— *Kto jest naczelnikiem stacji?*

— *Nie ma takiego. Od 17 maja ub. roku, kiedy przeniesiono naszego naczelnika do pracy do DRKP, jest tu nas trzech zastępców. Skoro jest nas trzech, to wiadomo, że nie możemy nic planować na wyrost, na przyszłość. Co z tego, że zaczniemy realizować opracowany przez siebie program, zmierzający do poprawy warunków pracy i dyscypliny, skoro przyjdzie ktoś nowy i uchyli nasze decyzje. A tu są sprawy stare, zaszłe, obwarowane przyzwyczajeniami i złą tradycją. Chcąc coś zmienić, trzeba mieć naprawdę całkowite pełnomocnictwo, albo być bodaj naczelnikiem komisarycznym. Inna sprawa — to ludzie. W tej chwili brakuje mi dla potrzeb stacji 35 manewrowych. Ludzi nie ma. Nie mogę wyrzucać człowieka jeśli wypije. Tu praca trwa okrągłą dobę, nie ma czasu na przerwy czy odpoczynek. Do tego praca jest niebezpieczna — człowiek bywa nieustannie zagrożony.*

— *To znaczy, że toleruje pan pijaków.*

— *Proszę mnie źle nie zrozumieć. walczę z nimi, ale muszę to robić delikatnie. Zresztą piją z reguły jedni i ci sami, jak i kradną zawsze ci sami.*

— *Więc wie pan, że kradną?*

— *Wiem, milicja zatrzymuje takich, a potem sąd skazuje ich na więzienie. Liczę jednak na to, że gdy będziemy mieli wreszcie mianowanego naczelnika stacji, wówczas coś się zacznie zmieniać na lepsze.*

— *Wspomniał pan o torach, które są w nie najlepszym stanie...*

— *Nasze tory od dawna wymagają kapitalnego remontu: należałoby wyjąć szyny i położyć tory na nowym podłożu. Obecne tory mają zgniłe podkłady i leżą na miękkim gruncie. W czasie przetaczania wagonów szyny uginają się na złączach, ta, po której toczy się wagon jest wówczas niżej, ta wolna — wyżej. Płoza uderza w tę wyższą, zakleszcza się i wagon wylatuje z szyn. Zdarza się to często. Ale płoza może być wyrzucona nawet na równej szynie, gdy szyna jest zużyta.*

— *Jakie jest z tego wyjście? Zostawić jak jest? Przecież straty notowane na stacji Łódź-Olechów są olbrzymie?*

— *Proszę pana, podejmując tu jakąkolwiek decyzję, ja nie wybieram pomiędzy dobrem a złem, ja po prostu wybieram mniejsze zło. Mam zaległy urlop za ubiegły rok i nie mam kiedy go wykorzystać. Nie wiem czy wykorzystam także tegoroczny.*

— *A co z torami?* — pytam przypominając sobie brud i nieład, jaki przed chwilą oglądałem.

— *Nie mam ludzi. Sądzę jednak, że tu, na Olechowie należałoby dokonać nie tylko sprzątania torów, ale i zacząć sprzątanie to ogólniejsze.*

Przemierzyłem parokilometrowy teren torowisk od tzw. dołka, gdzie są formowane nowe składy pociągów do tzw. górki rozrządowej. Wrażenie jest takie, jakbym trafił na gigantyczne wysypisko śmieci. Na międzytorach i na samych torowiskach leżą sterty desek poczerniałych od deszczu i słońca, kawałki pordzewiałych metalowych części niewiadomego przeznaczenia, pryzmy żółtej siarki, zwały kamieni budowlanych, tysiące puszek po konserwach, wielkie arkusze rdzewiejącej blachy, zwoje zardzewiałych, pogmatwanych drutów, szkło, farby, kupy nawozów rolniczych, pręty, papiery, dziesiątki worków z cementem, części do maszyn rolniczych, elementy z rozbitych wagonów, wiele metalowych drzwi, które zostały wyrwane z wagonów w czasie przetaczania... Wszystko to zalega tu latami, niszczeje, jest rozgniatane przez lokomotywy, przez pędzące z górki wagony, gnije bezpańskie i niczyje, choć gdzieś tam czekano na wapno, na zboże, na nawozy... Panujący brud i bałagan sprawiają przygnębiające wrażenie. Idąc trzeba uważać by nie zapaść się po kolana w pryzmy zgniłego zboża, nie wdepnąć w chemikalia, nie zaplątać się w watę.

Wśród tego niesamowitego krajobrazu, stoją długie składy rozbitych i uszkodzonych wagonów. Widziałem zgniecione żelazne okucia, wybrzuszone boki, rozdarte blachy, roztrzaskane deski odsłaniające worki z jakąś zawartością, oglądałem wagony bez drzwi, pełne szklanych słoików, platformy z leżącymi na nich wywróconymi do góry kołami maszynami rolniczymi, przyjrzałem się rozprutej niby zabawka z plasteliny cysternie napełnionej smołą, wagonom, z których poprzez wyłamane szczyty wysypywał się na tory węgiel...

A wśród tego wszystkiego chodzili obojętni kolejarze w ochronnych, czerwonych kurtkach.

— *Dlaczego tak jest?* — pytam starszego rewidenta Tadeusza Dreksiera, który w kolejnictwie przepracował ponad 33 lata.

— *Prawda jest taka* — mówi, prowadząc mnie wzdłuż toru 270. — *Na „górce" przyjęli wagon cały, a na „dołku" go rozbili. Moi rewidenci — mam ich pod sobą siedemdziesięciu — muszą taki wagon wyłapać ze składu. Wtedy robimy protokół H-1428 uszkodzeń, który jest podstawą obciążenia winnego uszkodzenia wagonu.*

— *Chodzi mi o ten bałagan...*

— *To nie należy do mnie. Niech o to martwią się ci na górze, co biorą większe ode mnie pieniądze. Moim zadaniem jest praca rewidencyjna.*

— *Dużo jest rozbitych wagonów?*

— *W marcu na torze 270 — to tor, gdzie dokonujemy bieżących napraw — naprawiliśmy 395 uszkodzonych wagonów, a te z poważniejszymi usterkami odstawiliśmy do wagonowni PKP Janów-Widzew. W sumie odesłaliśmy tam 120 sztuk.*

— *Gdzie, według pana, leży wina, że wagony są rozbijane?*

— *W ludziach.*

— *Czy mógłby pan wyjaśnić to dokładniej?*

— *Czemu nie, przez tyle lat napatrzyłem się tu na różne rzeczy. Kiedyś to mnie krew zalewała, jak widziałem to marnotrawstwo, ale teraz...*

— *Obojętność?*

— *Jestem bezradny i tyle. Ot, weźmy choćby przykładowo nasz tor naprawczy. My tu dokonujemy, jak mówiłem, bieżących napraw. No więc pracujemy, a od strony stacji ustawiamy tarczę D-1, co oznacza „stój". Jest to nasze zabezpieczenie. Pan myśli, że ktoś na to zwraca uwagę? O, patrz pan, tarcza leży na torach, dwukrotnie przejechana. A przecież ma nas zabezpieczać przed nadjeżdżającym pociągiem. Na torze 270 stoją wagony, ludzie pracują przy kołach, powłazili pod spód, nie mają czasu rozglądać się na boki. Tymczasem od stacji lokomotywa pcha kolejne wagony do naprawy. Ostrzegawczej tarczy nie ma, bo ktoś ją przewrócił. Pchane wagony z impetem uderzają w te naprawiane: trzask, rumor, zgrzyt. Gdyby nie to, że moi ludzie w porę wyskakują spod wagonów, rewidenci na Olechowie wyginęliby doszczętnie. I tak jest od lat, nic się nie zmienia.*

Na marginesie spraw stacji PKP Łódź-Olechów należy wspomnieć o pewnej bardzo istotnej sprawie: do Olechowa nie ma dróg dojazdowych! Trudno w to uwierzyć ale takie są fakty. Praktycznie nie ma możliwości by dojechała tu karetka pogotowia ratunkowego, czy straż pożarna. Jest to enklawa odcięta całkowicie od komunikacji drogowej. Jeśli zdarzy się wypadek, wówczas poszkodowanego wciąga się na lokomotywę i wiezie do najbliższej stacji, mającej połączenie drogowe z Łodzią.

Sądzę, że nadszedł czas by tę enklawę połączyć na dobre z resztą kraju, nie tylko w sensie dosłownym.

EUGENIUSZ IWANICKI

ARCHEOLOG W LABORATORIUM

Archeologom potrzebne jest laboratorium! Tak. Wcale nie pomyliliśmy się. Właśnie archeologom. Korzystają oni coraz częściej z pomocy innych specjalistów, wśród których chemicy odgrywają niebagatelną rolę. Metody chemiczne, zwłaszcza słynna C14, pozwalają określić wiek zabytków, oraz poznać ich strukturę.

Polacy słyną z umiejętności konserwacji obrazów i zabytków architektonicznych. Nieco w tyle pozostaje sztuka konserwacji drewna, tkanin, ceramiki i metali, a więc większości zabytków archeologicznych.

Polscy archeolodzy powoływani przez UNESCO na międzynarodowych ekspertów i koordynatorów badań pracują w kraju niekiedy metodami zgoła chałupniczymi. Brak jest również centralnych archiwów archeologicznych, katalogów, dokumentacji filmowej i fotograficznej. W zbyt małym stopniu korzysta się z pomocy maszyn matematycznych przy opracowywaniu masowych źródeł, a technika wkracza na wykopaliska bardzo powoli.

Tu i ówdzie próbuje się wyjść z impasu. Pionierską rolę w dziedzinie konserwacji zabytków archeologicznych spełnia od lat pracownia łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, kierowana przez mgr inż. Andrzeja Kanwiszera. Z usług tej jedynej w kraju placówki korzystają muzea i uczelnie, a stosowana tu metoda C14 jest jej dodatkowym atutem. Jednakże jedna skromna pracownia nie rozwiąże trudności.

W tej sytuacji pomysł doc. Jerzego Kmiecińskiego, kierownika Katedry Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego wydaje się godzien uwagi. Docent J. Kmieciński proponuje, aby wzorem laboratoriów środowiskowych działających dla innych dyscyplin stworzyć w Łodzi środowiskowe laboratorium doświadczalno-badawcze oraz pracownię konserwatorską tkanin, drewna i ceramiki.

Za takimi rozwiązaniami przemawiają także doświadczenia krajów skandynawskich. Np. w Sztokholmie działa takie laboratorium przy uniwersytecie przy współudziale Urzędu Konserwatorskiego i Muzeum Narodowego. Podobnie w Oslo. W RFN placówka taka obsługuje uczelnie, urzędy konserwatorskie i muzea.

Korzystne doświadczenia z ośmioletniej działalności, co prawda w innej dyscyplinie, ma również Środowiskowe Laboratorium Fizyko-Chemicznych Związków Organicznych i Polimerów w Łodzi. Laboratorium wyposażone dzięki pomocy Zjednoczenia Włókien Sztucznych „Chemitex" i Przemysłu Gumowego „Stomil" posiada cenną aparaturę, na zakup której nie mogłaby sobie pozwolić żadna z placówek osobno. Z prac łódzkiego laboratorium korzystają placówki z całego kraju, a opłaty za usługi dawno już zwróciły koszty włożone w urządzenia laboratorium.

Potrafią fizycy i chemicy, dlaczego nie mogliby spróbować archeolodzy? Tym bardziej, że przemawiają za tym i doświadczenia muzealnej pracowni i obecność w mieście uczelni i specjalistów z różnych dziedzin.

Można by się nawet zastanowić, czy od razu nie organizować laboratorium o charakterze centralnym dla potrzeb archeologów Polski środkowej i Pomorza? Laboratorium mogłoby działać przy Uniwersytecie Łódzkim, lub jako samodzielna placówka. Rozwiązań organizacyjnych może być więcej. W tej chwili rozważamy sam pomysł. I nie ma co ukrywać. Podoba się nam ta nowa specjalność.

M.G.

DEBIUTY POETYCKIE 1977—1979

Dalszy ciąg ze str. 1

nej profesjonalnie. I to by chyba trzeba zawsze debiutantom uświadamiać.

Inny problem — to kryteria oceny tych prób poetyckich, a więc problem krytyki. Kryteria oceny poezji są dziś rozchwiane. Panuje już niemal powszechne przekonanie, że poezją może być wszystko, każdy zapis słowny, którego autor dał wyraz intencji uważania go za utwór poetycki. Przeciw tak znacznemu rozszerzeniu granic tego, co się za poezję uważa, można się buntować, ale trudno zaprzeczyć, że czasem właśnie pomysły skrajne okazywały się płodne, jak o tym świadczą dzieje wszystkich awangard. Krytykowi łatwo zarzucić skostnienie i konserwatyzm, jeśli broni jakichkolwiek tradycyjnych kryteriów poetyckości.

A jednak występujące dziś na całym świecie upowszechnienie sztuki niedawno jeszcze nowatorskiej, rodzi również wyraźne zobojętnienie dla wszystkiego, co torowało sobie niegdyś drogę poprzez szok i sensację, wywołane wrażeniem artystycznego skandalu. Skandale rzadko kiedy już skandalizują, licytacja w ekstrawagancji jest coraz trudniejsza, nowatorstwo coraz częściej staje się pozorne, tzn. po prostu nudne i monotonne. Skłania to do refleksji na temat trwalszych zapewne szans, jakie dają poetom świadomie przyjęte rygory zarówno intelektualne, jak — czasami — formalne. We wskazaniu pożytku płynącego z przyjęcia takich rygorów, widzę dziś m.in. zadanie krytyki.

Dwadzieścia kilka lat temu, w okresie gwałtownego buntu przeciw zawężaniu kryteriów oceny poezji i formalnemu tradycjonalizmowi, akcentowano czasem z nieco jednostronną przesadą, że odrodzenie poezji to przede wszystkim rewindykacja praw niedocenionej wyobraźni. Jest rzeczą niewątpliwą, że wówczas walka z jej tłumieniem była czymś najważniejszym. Później jednak mogliśmy się przekonać, że i inne czynniki są ważne. Wyobraźnia poety to rzecz trudno wymierna, a posłużenie się nią wymaga również czegoś, co należy określić jako kunszt poetycki. **Patrońując debiutantom nie zawsze się od nich wymaga, aby wiedzieli, że poezja jest także sztuką, rzemiosłem, którego opanowanie jest nieodzowne, by nadać blask erupcjom fantazji i treści oddawanych w utworze przeżyć.** Zapomina się, że poezja powinna być dla czytelnika nie mozolnym trudem przedzierania się przez gąszcz oddartych od desygnatu znaków słownych, ale radosną niespodzianką, jaka z nowego spokrewnienia słów i pojęć wynika. Jakże często zniechęca nas dziś do lektury ich konstrukcyjny amorfizm, potok słów pozbawionych ekspresji, obojętnych. Przy tym zarówno nieuzasadnione lekceważenie tradycyjnych środków ekspresji jak rytm, rym czy strofa, jak nieumiejętność posługiwania się tzw. nowoczesnymi, brak zrozumienia czym jest gradacja walorów słowa, przesadne zacieranie granic między językiem poezji i prozy, prowadzą często do rezultatów estetycznie nader wątpliwych. Z drugiej strony nadmierna metaforyzacja języka i jego absolutna hermetyczność (przykład **„Odwróconego światła" Karpowicza** jest tu b. znamienny), wydają się też jako kierunek i wzór zupełnie bezpłodne, wiodące do językowego szyfru, skazującego utwory tego typu na brak czytelniczego odzewu poza grupką łatwych do zaepatowania młodych zapaleńców. Stanowisko **Sandauera** w tej akurat sprawie (w wielu innych się z nim nie zgadzam) wydaje mi się jak najsłuszniejsze.

W obliczu oddziałujących często jeszcze i dziś na młodych poetów fetyszów tzw. bezwzględnego nowatorstwa warto chyba sobie uprzytomnić i powiedzieć bez ogródek, że sztuka nie dzieli się na „starą" i „nową", czy „młodą", że utwory dobre i złe istniały w każdej epoce, jedne i drugie pisywali i starzy, i młodzi, a pojęcie postępu czy rozwoju, a więc także i tzw. „nowoczesności" w sztuce ma sens w gruncie rzeczy bardzo względny. Sprowadza się — być może — jedynie do płodnych w określonych przełomowych momentach starć międzypokoleniowych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że niekiedy wejście w życie nowych roczników **z ich młodzieńczym** zapałem, nowymi artystycznymi deklaracjami i programami, pełni funkcję katalizatora ożywczych przemian. **Taka była zarówno w czasach walki o romantyzm czy modernizm, jak w dobie startu pokolenia 1956, czy tzw. „nowej fali 1970".** Rola takich wystąpień nie wykracza jednak na ogół poza krótki okres fermentu, który rodzą.

Gdy mowa o debiutach poetyckich lat ostatnich, warto zauważyć, że — obok zjawisk ich mnogości — mamy do czynienia z towarzyszącym mu fenomenem bardzo skrzętnej i pracowitej ich rejestracji i prezentacji, będącej dziełem dwóch właściwie ludzi: **Andrzeja K. Waśkiewicza i Jerzego Leszina-Koperskiego,** którzy nie tylko podejmują od szeregu lat trud wydawania pożytecznych i raczej coraz ciekawszych serii studenckich arkuszy poetyckich pn. **„Pokolenie, które wstępuje"**, ale także od pewnego czasu publikują doroczne antologie ogółu debiutów poetyckich. Antologie te wydają mi się cenne z punktu widzenia przyszłych dziejów literatury, ponieważ warto zdać sobie sprawę, że w związku ze szczególną strukturą ruchu wydawniczego debiutów poetyckich, zjawiska tego nie jest w stanie statystycznie uchwycić nawet tak kronikarsko pomyślane wydawnictwo, jak „Rocznik Literacki". Sprawa polega po prostu na tym, że w pewnym momencie otworzono u nas furtkę dla edycji regionalnych i środowiskowych o charakterze niekomercjalnym i spora ilość debiutów poetyckich ukazuje się właśnie w ten sposób, nie trafiając ani do księgarń, ani czasem nawet do bibliografii Biblioteki Narodowej, na której opiera swoje zestawienia bibliograficzne „Rocznik Literacki".

Jakie wnioski ogólne nasuwa lektura poetyckich debiutów z lat ostatnich? Pierwszy — uderzająca rozpiętość wieku debiutujących. Warto zauważyc, że przy wciąż niezmiernie przewlekłym, nawet wciąż przedłużającym się procesie produkcji książek — wraz ze wzrostem liczby debiutów — **obniżył się, jak można wywnioskować z danych biograficznych w antologiach debiutów i not na skrzydełkach tomików, przeciętny wiek startujących poetów.** Przyczyniło się do tego niewątpliwie właśnie wydawanie arkuszy przez instytucje „nieprofesjonalne", stawiające sobie za cel ułatwienie startu najmłodszym, a także dające się w ostatnich latach zauważyć preferencje w wydawnictwach profesjonalnych. Wśród 52 debiutantów z r. 1978 — 19 nie przekroczyło w chwili wydawania ich zbioru wieku lat 25, jeden z debiutantów miał lat 20. Jeśli weźmiemy pod uwagę czas od złożenia książki w wydawnictwie do jej ukazania się, będziemy mogli uznac, że te debiuty miały wyraźnie młodzieńczy charakter. Również w r. 1979 takich debiutów młodzieńczych jest sporo, mamy nawet jeden tomik, który wyd. **„Śląsk"** opublikowało autorce szesnastoletniej, działając zresztą niekoniecznie na korzyść młodziutkiej poetki: opóźnienie debiutu o rok — dwa wyszłoby jej z pewnością na dobre. Jest to jednak wypadek wyjątkowy i ogólnie biorąc obniżenie wieku poetyckich debiutów uznać trzeba za zjawisko pozytywne. Poezja jest przecież domeną młodości w mierze bardzo znacznej.

Jeżeli jednak wskazałem na rozpiętość wieku debiutantów, to miałem na uwadze nie mniej charakterystyczne zjawisko debiutów późnych, nic wspólnego nie mających z tzw poezją młodych. Formalnie są to książkowe debiuty, w istocie chodzi niekiedy o podsumowanie doświadczeń z całego życia. Takim zjawiskiem był np. w r. 1976 debiut **Kazimierza Chmielowca,** a w r. 1977 debiut **Zofii Dormanowskiej** (zbiór **„Rzeka Leta"**): autorka opublikowała pierwszy tom poezji, przeszedłszy na emeryturę. Książka zyskała, nie bez racji, wysoką ocenę krytyki, będąc wyrazem dojrzałej refleksji autorki nad własnym życiem i światem. Wydany w r. 1979 drugi zbiór **Dormanowskiej („Chwila")** w pełni potwierdził sądy o debiucie.

Po kilka późnych debiutów przynosi każdy rok. Nie wszystkie są równie udane, warto jednak zasygnalizować najlepsze. W r. 1978 wyszedł zbiór **Janusza Pasierba „Kategoria przestrzeni".** Autor jest historykiem sztuki, księdzem, profesorem na ATK. Jego walorem jest zarówno umiejętność ujęcia w syntetyczny, obrazowy skrót jednorazowych obserwacji, jak ogólnofilozoficznych refleksji na temat kultury jako świadomej kontynuacji wielkiego dziedzictwa śródziemnomorskich mitów. Innego rodzaju wartościowy późny debiut przyniósł rok 1979. Jest nim tom **Jadwigi Stańczakowej pt. „Niewidoma".** Jego osobliwość stanowi to, że jest on zbiorem wierszy w warstwie formalnej raczej nieoryginalnych, wyraźnie opartych o jeden sugestywny wzorzec, ale zarazem wierszy niepowtarzalnych w warstwie przekazywanych doświadczeń. Model formalny przejęła autorka od Mirona Białoszewskiego. Ale w tej swoistej poetyce rodzajowych scenek i „małych narracji" z codziennego życia autorka przekazuje nam przejmujące doświadczenia osoby, która przed wielu laty utraciła wzrok i pisząc postanowiła z własnej sytuacji człowieka, który nie widzi, uczynić centralny motyw twórczości, dać coś, co sama nazwała „opisem niewidzenia". Dodajmy, że w jej wypadku mamy do czynienia z wyjątkowo dramatycznym nałożeniem się tragedii osobistej na ogólną. Autorka przeżyła tragedię warszawskiego getta i traciła wzrok właśnie w latach okupacji. Przeżycie tragedii ogólnej określiło stosunek do trwałej tragedii osobistej. Jeszcze po latach fakt, że nie ma głodu i wojny, odczuwa autorka jako „kawałek nieba"

Wspólny rys późnych debiutów: walory swe zawdzięczają one z reguły kulturze, wiedzy i doświadczeniu autorów, nie zaś ich inwencji formalnej. Wszystkie wkraczają w określone do pewnego stopnia formalne wzorce: **Chmielowiec** — niemal bez reszty w model poetyki awangardowej Przybosia. **Dormanowska i Pasierb** — w model ściszonej liryki refleksyjnej, który w pewnym uproszczeniu nazwałbym „Herbertowskim", **Stańczakowa** — we wzór Białoszewskiego. Są to więc debiuty treściowo dojrzałe, natomiast pod względem formy wyraźnie kontynuacyjne. Można by oczywiście powiedzieć, że nie jest to cecha szczególnie wyróżniająca, bo absolutna oryginalność formy to zjawisko w ogóle w sztuce rzadkie. Niemniej wydaje się, że dojrzałość tych wierszy wynika często właśnie z ich doskonałego wejścia w formy zastane, podczas gdy nieznośne czasem niedojrzałości debiutów młodzieńczych — z miotania się i poszukiwań, które mogą nic nie dać, ale mogą też i zrodzić formy w jakimś stopniu nowe.

Wyodrębniając zjawisko debiutów zdecydowanie późnych, wolę sygnalizować pewne wyróżniające się w moim odczuciu indywidualności. Choć oczywiście, obserwując debiuty dwu-trzech lat ostatnich, można zauważyć dystans najmłodszych wobec będącej w ofensywie w pierwszej połowie lat 70 **„nowej fali 1970"** z jej postulatami społecznego zaangażowania, opisu rzeczywistości zewnętrznej, prozaizacji. Następcy głoszą **„nową prywatność"**, częściej wkraczają w strefę przeżyć osobistych i refleksji egzystencjalnej, częściej też nawracają do tradycyjnych, poetyckich kanonów.

Inne zjawisko, na które warto zwrócić uwagę: rosnąca rola nie tylko ułatwiających start poetyckiej młodzieży wydawców nieprofesjonalnych, ale także niektórych wydawnictw terenowych. Jeszcze do niedawna, do wyjątków należały debiuty naprawdę ciekawe, pojawiające się poza kilku wydawnictwami, stanowiącymi coś w rodzaju „renomowanych firm": **PIW, Czytelnik, Wydawnictwo Literackie.** Sytuacja ta zdaje się ulegać zmianie. Kilka bardzo interesujących debiutów, wydanych w roku 1979 w znakomicie prowadzonej przez **Swietłanę Kruk** serii wyd. **„Pojezierze"**, ciekawe arkusze debiutantów w seriach **Lubelskich Prezentacji Poetyckich** — to sygnały dla krytyki, że nie może poprzestawać na lekturach centralnych oficyn. A sprawa nie jest do prześledzenia łatwa, jeśli zauważymy, że w takim np. roku 1979 **PIW** wydał jeden debiut poetycki, **Czytelnik i Wydawnictwo Literackie** po trzy, ale już **Iskry** wydały ich 10, wyd. **„Pojezierze"** — 7, tyleż **Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, seria III Lubelskich Prezentacji Poetyckich** na rok 1979 — to 6 tomików (również po 6 wyszło w dwu seriach poprzednich, w latach 1977 i 1978), wreszcie **ZG SZSP** w samym roku 1979 opublikował w trzech kolejnych seriach **„Pokolenie, które wstępuje"**. — 18 arkuszy poetyckich.

W związku z publikacjami wydawnictw nieprofesjonalnych warto zasygnalizować jeszcze jedno zjawisko, które **A.K. Waśkiewicz** nazwał „strategią debiutu podwójnego". Polega ono na tym, że młody poeta wydaje z początku arkusz w jednej ze studenckich czy też środowiskowych, zamkniętych serii, a potem zbiór w wydawnictwie profesjonalnym, gdzie przedrukowuje — obok innych — także wiersze z arkusza. I o tyle ma rację i pełne do tego prawo, że arkusze, wydane w 200—300 egzemplarzach, są całkowicie poza obiegiem księgarskim. Powstaje jednak problem, co uważać za właściwy, książkowy debiut. Sam staję przed tym problemem stale, bo arkusze studenckich serii nie zawsze do mnie dochodzą. To poczucie niedocierania ich nisz konakładowych publikacji poetyckich nawet do stosunkowo wąskiego grona miłośników poezji rodzi gorycz u młodych poetów, niejednokrotnie buntujących się przeciw zjawisku, które sami nazywają „młodopoetyckim gettem".

Chcą z niego wyjść, chcą, by głos ich usłyszano. Ale jak moją to zrobić? **Władysław Zawistowski,** poeta z ruchliwego i pełnego inicjatywy środowiska gdańskiego, jeden z inicjatorów **grupy sytuacyjnej poetów i artystów „Wspólność"**, autor arkusza poetyckiego **„czyli ja"** (1976) i tomiku **„Płonące biblioteki" (Wyd. Morskie,** 1978), napisał w odpowiedzi na ankietę autorów „Antologii debiutów poetyckich '76", że może rację miał ktoś, kto powiedział: „żeby u nas zaistnieć jako poeta, trzeba albo mieć znajomości, albo uprawiać publicystykę".

Mógłbym powiedzieć, że na samym Zawistowskim mi się to sprawdza. W tomiku jego znalazłem kilka interesujących wierszy, np. z uczuciem rozrzewnienia przeczytany przeze mnie wiersz **„Rok 1962"**, gdzie autor, sam urodzony w r. 1954, pisze o czasach, gdy miał lat osiem (a ja blisko pięćdziesiątkę...) jak o epoce zgoła zamierzchłej. Jednakże wiersze jego znacznie mniej zmobilizowały moją uwagę, niż wydrukowany w „Polityce" doskonały **„List otwarty młodego literata" do Artura Sandauera.** Wtedy sobie pomyślałem: cóż to za świetny, utalentowany, niezwykle inteligentny młody człowiek! A wiersze? Wiele mi tłumaczą naiwności młodzieńczego programu grupy „Wspólność". Te filipiki o „niezniszczalnej hydrze Skamandra"! Postawangardowy epigonizm młodych poetów gdańskich jest, niestety, od wielu lat ich grzechem głównym. Wiedzą, że powinni odrzucić kanony dawne. Ale nie umieją stworzyć nowych. Nawet klasyków czczonej awangardy nie potrafią dobrze kontynuować.

A przecież to nieprawda, że młody poeta nie może „zaistnieć" dzięki wypowiedzi właśnie poetyckiej. Ta sama grupa **„Wspólność"** przypisuje do siebie szczecińskiego poetę, **Stanisława Zajączka,** który w roku 1975 debiutował błyskotliwie znakomitym zbiorem **„Ja i mój kumpel Meegeren"** i od razu został zauważony, choć nikt go nie znał i przedstawił się on tylko utworami poetyckimi. Spośród debiutantów roku 1977 wyłowiłem, wyłącznie na podstawie lektury samych poetyckich tekstów i uznałem za wybitnie interesujące cztery debiuty: **Aliny Biernackiej („Ziemie polarne"), Ewy Filipczuk („Gra), Anny Janko („List do królika doświadczalnego")** i **Czesława Szczepaniaka („Mieliśmy białe ściany").** Otóż jest znamienne, że wszystkie te pozycje wyszły spod piór młodych poetek i poetów nie powiązanych z żadnymi młodopoetyckimi grupami, a nawet czasem to swoje samotnictwo podkreślających **(Ewa Filipczuk** w odpowiedzi na ankietę w antologii debiutów '77: **„Do manifestów i wypowiedzi programowych czuję pewną niechęć, jako że rzadko bywa, aby znajdowały one rzeczywiście potwierdzenie w praktyce literackiej").** Osiągnięcia tej czwórki bardzo różnych poetek i poetów widzę zarówno w strefie manifestacji odrębnych osobowości, jak — w trzech wypadkach na cztery — w strefie pewnej oryginalności środków ekspresji. Tylko u **Szczepaniaka,** który dramatyzm swoich wierszy zawdzięcza głównie zawartemu w nich materiałowi autobiograficznemu, ekspresja ta ma charakter raczej spontaniczny, choć i tu świadoma akceptacja form Różewicza polega zapewne na przejęciu od niego przekonania, że wiersz — nie bacząc na konwencję — powinien docierać bezpośrednio do centralnych problemów egzystencji człowieka. Twórczość **Biernackiej** kształtowała się przede wszystkim na wzorach poezji nowszej, awangardowej, zwłaszcza na Białoszewskim. Świadczą o tym w jej wierszach takie cechy jak prozaizacja, kolokwializmy, operowanie paradoksami, rodzaj humoru. Wiersze **Ewy Filipczuk** są znacznie bardziej zakorzenione w dawniejszych tradycjach polskiej liryki, pobrzmiewa w nich ton romantyczny i klasycyzujący zarazem. W obu wypadkach te dwa style korespondują z postawami życiowymi: postawą przekorną i autoironiczną u **Biernackiej,** refleksyjną i bardziej marzycielską u **Filipczuk.**

Na ich tle interesującą wydała mi się odmienność startu **Anny Janko,** u której uderza ostrość środków ekspresji i surrealistyczny typ wyobraźni. O ile przy tym u **Biernackiej** problematyka miłosna została zdegradowana, tu mamy do czynienia z jej dramatyczną amplifikacją i hiperbolizacją. W drugim zbiorze poetki z 1979 roku uderza podobny niepokój, nerwowość, przekorny sarkazm, świadomie przeakcentowane obnażenie drapieżnej, egoistycznej woli życia, zaspokajania biologicznych pragnień młodości. Eksponowany jest także strach, świadomość, że własna młodość to kategoria przemijająca. Znamienny jest tytuł tej drugiej książki: **„Wykluwa się staruszka"** i kilka wierszy o starości, które tom otwierają. Wiersze **Anny Janko** nie mają, jak zauważyłem, dobrego przyjęcia u rówieśników. Wyróżnienie młodej poetki przez **Sandauera** umieszcza się wśród argumentów mających świadczyć o przypadkowości jego sądów na temat młodej poezji. A przecież coś w tych wierszach jest. Może rówieśnicy mieszają ocenę wierszy ze stosunkiem do osoby? Może w ocenach ich wchodzi w grę właśnie zaangażowanie w młodopoetyckich grupach, ruchach, programach?

Bardzo dobrą opinię w młodszej krytyce zdobył sobie natomiast podwójny debiut **Urszuli Małgorzaty Benki** (arkusz **„Chronomea"** w r. 1977 i tom **„Dziwna rozkosz"** w r. 1978). Występujące w wierszach **Benki** połączenie czarnego humoru i persyflażu, kokieteryjnie wdzięczny mariaż Gałczyńskiego z Witkacym, mogą wydać się odświeżające po prozaizacjach i metaforycznych szyfrach „nowej fali 1970". **Benka** to nawrót do poetyzacji i do kameralnych form humoru, które jednak już i przedtem były charakterystyczne dla niektórych poetów środowiska wrocławskiego (np. **Janusz Styczeń**).

Tymczasem wśród niektórych niedawnych debiutantów pogłosy „nowofalowe" jeszcze rozbrzmiewają, np. w **„Poemacie ulicznym" Waldemara Gańskiego,** który zresztą o tyle dla poetyki „nowej fali 1970" jest nietypowy, że — dając dość bezpośrednie, młodzieńcze przeżycie codzienności w warszawskich dekoracjach dość tandetnej i pozornej „wielkomiejskości" — przypomina mi bardziej wczesne wiersze poetów „Kwadrygi" niż np. poetykę autorów „świata nieprzedstawionego".

Tu warto zauważyć jedno dość znamienne złudzenie. **A.K. Waśkiewicz,** charakteryzując (i oceniając jako „wartościowy") debiut **Marka Pękali,** pt. **„Życiowy obowiązek" (Wyd. Literackie,** 1977), widzi w nim nie bez racji echo stylu „nowej fali", lecz formułując to używa określenia: poezja „mówiąca wprost". Wydaje mi się to nieporozumieniem: postawangardowy stop prozaizacji ze zgoła Peiperowską metaforyzacją nigdy nie miał ani u autorów „Świata nieprzedstawionego", ani u ich kontynuatorów charakteru „mówienia wprost". Tom **Pękali** jest, jak i tamte zbiory, interesujący, gdyż można w wierszach poety odnaleźć dość dobitny wyraz jego stosunku do świata, refleksję nad sensem własnej egzystencji, odbicie osobistych dramatów i przeżyć młodości, ale jest to prozaizacja swoista, skrzyżowana z retorycznym barokiem Peipera, Fika czy Czuchnowskiego i z „mówieniem wprost" nie ma nic wspólnego.

Znacznie już bliższy efektów „prostoty" wydał mi się — jeśli mamy pozostać przy debiutach r. 1977 — zdecydowanie interesujący zbiór **Jerzego Gizelli „Obustronne milczenie".** Wskazuje on na żywy zmysł satyryczny, umiejętność operowania groteską oraz stylem zwartym i oszczędnym.

Pogłosy poetyckiej szkoły lingwistycznej spotykamy też nadal u niektórych debiutantów lat ostatnich, np. w zbiorze **Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego „Dom ust",** zrodzony wyraźnie z urzeczenia urodą samych struktur językowych, podobnie w podwójnym debiucie **Sergiusza Sterna-Wachowiaka** (arkusz

„Śpiewające rynny" i tom **„Może usłyszysz"**), a w r. 1979 w debiucie **Mieczysława Kurpisza „Dochodzenie do głosu"**. Mekką młodych poetów-lingwistów stał się ostatnio **Poznań**, gdzie działa główny — po wyjeździe **Karpowicza**, teoretyk „szkoły", **Edward Balcerzan**. Również debiut bydgoskiego poety, **Krzysztofa Solińskiego „Sen pod powieką języka"** (1978) należy do tego nurtu.

W masie debiutów roku 1978 także wyróżniłbym nie przedstawicieli grup czy nurtów, ale niezależnych samotników. Należą do nich na pewno **Tomasz Jastrun (tom „Bez usprawiedliwienia", PIW)**. Zbiór ten brałem do ręki nie bez obaw, czy nad startem autora nie zaciążyła wielka indywidualność i dzieło ojca. **Młody Jastrun** potrafił jednak już w tomie debiutanckim zaznaczyć odrębność swojej poetyki, której model świadczy także o nieuleganiu fascynacjom i abominacjom grup rówieśniczych czy też pokolenia bezpośrednich poprzedników. Może najbliższy jest mu lakonita Różewicza i klarowne parabole w stylu Herbertowskim. Wiersze cechuje duża rozpiętość problematyki — od egzystencjalnej i społeczno-historycznej po kameralny liryzm osobisty. Dojrzałość myślową tego zbioru stwierdzić trzeba nie bez pewnej melancholii, gdyż — pomijając kilka wierszy osnutych na motywach wspomnień dzieciństwa czy lat szkolnych — są to utwory zamykające w sobie pewną sumę gorzkiej wiedzy o świecie, której wolałoby się nie odnajdywać u poetów startującej generacji: np. świadomość, że „człowiek jest celą śmierci", albo to, że pochylając się nad łóżeczkiem dziecka młody poeta już myśli o tym, że ono dojdzie „tam /gdzie teraz jestem/ i gdzie nie ma niczego/ o czym mógłbym myśleć bez lęku". Trzeba zaznaczyć, że dziś **Tomasz Jastrun** jest już autorem drugiego zbioru **(„Promienie błędnego koła"**, 1980), który rokowania debiutu nie tylko w pełni potwierdza, ale wydaje się osiągnięciem w skali większej, niż ta, którą mierzymy sukcesy poetów początkujących.

Zupełnie inny charakter i szansę popularności w dobrym tego słowa znaczeniu ma w moim odczuciu zbiór **Małgorzaty Gołąbek** pt. **„Zimne ognie"**. Przynosi on ładne i pełne wdzięku erotyki, łączące liryzm z humorem i poetyckim kunsztem w stylu, w którym dopatrzeć się można najlepszych wzorów, np. Szymborskiej. Nie tylko zresztą erotyki, ale i wiersze, które by można określić jako studia psychologiczno-obyczajowe na temat sytuacji kobiety czy też dziewczyny współczesnej zjednują konkretnością obrazu i wyczuciem walorów słowa. Jakże dobrze rozumiem żal autorki, która w odpowiedzi na ankietę redaktorów antologii „Debiuty poetyckie 1978" skarży się, że wydawnictwo **(MAW)** pominęło całkowicie jej osobę, decydując o oprawie graficznej książki, która jest skandaliczna. Agresywnie brzydkie i w dodatku nie korespondujące ze stylem książki rysunki są tu czymś nie tylko zbędnym, ale wręcz przynoszącym szkodę, zniechęcającym do lektury.

Jak wspominałem, wcale nie na ostatnim miejscu plasują się w roku 1979 debiuty niektórych wydawnictw regionalnych. W serii wyd. **„Pojezierze"** zatrzymują np. uwagę krytyka przynajmniej cztery spośród siedmiu wydanych, debiutanckich książek: zbiór **Kazimierza Brakonieckiego** pt. **„Zrosty"** przynosi wiersze wizyjne, przejaw duchowych niepokojów poety żarliwie poszukującego środków wyrazu dla odczuwanej potrzeby transcedencji. Wiersze, będące echem poważnych lektur i zainteresowań filozoficznych i literackich, świadczą o znacznej kulturze 27-letniego autora, a także o jego dużej wrażliwości i bogatej wyobraźni. Interesujący wydaje mi się też zbiór **Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej** pod zaczerpniętym z Rilkego tytułem **„W przerwie pomiędzy światem a zabawką"**. 26-letnia autorka jest nauczycielką i w jej nacechowanych również dużym bogactwem wyobraźni wierszach istotnym momentem wydaje się pogłębiona refleksja nad przeradzaniem się dziecięcej fantazji w dojrzewającą, nieposkromioną ciekawość świata. W wierszach uderza też wrażliwość plastyczna i dar przetwarzania życiowych obserwacji w wizję poetycką.

Ciekawe pomysły paradoksalnych, zaskakujących formuł dla wyrażenia własnych stanów duchowych i stosunku do świata cechują inteligentne miniatury poetyckie **Bogusława Falickiego** (zbiór **„Generalna próba ucieczki"**). Wreszcie **Jan Leończuk** w zbiorze pt. **„Żalnik"** zamieszcza ładne wiersze, nawiązujące w swej tonacji i motywach do ludowych pieśni i klechd z polskich i białoruskich rejonów Białostocczyzny. Gdybym chciał wskazać na jakieś pokrewieństwo poetyckie jego wierszy, wymieniłbym Józefa Czechowicza i St. Swen-Czachorowskiego. Z wcześniejszych tomów serii wyd. **„Pojezierze"**, wydanych jeszcze w r. 1978 zwraca uwagę motywami dość zresztą powierzchownie pojętej egzotyki tomik **Selima Chazbijewicza „Wyjście w baśń"**, którego autor pragnie odnaleźć swoją tożsamość w tatarskim rodowodzie, poddając ów motyw nieśmiałym mitologizacyjnym zabiegom.

Inną ciekawą regionalną serią debiutów są, jak wspomniałem, **Lubelskie Prezentacje Poetyckie**. Z arkuszy z r. 1979 szczególnie zainteresował mnie debiut **Jana Klimeckiego („Zanim otworzę usta")**, który pracując jako robotnik w kozienickiej elektrowni postanowił pisać o własnym życiu i pracy bez schematów i pomijania problemów świadomości. **„Dzień po dniu /słowo do słowa do wiersza wiersz / bez barwnej metafory i cudzych masek /bez oglądania się wstecz/ aż upadnie potoczne mniemanie /że poetę można spotkać w rynsztoku lub między chmurami"**. Niektóre wiersze tego młodego intelektualisty w robotniczej bluzie mają wymowę skromnego głosu konkretnej prawdy psycho- i socjologicznej (np. **„Podmiot nadliryczny", „Wewnątrz infrastruktury", „Przyjaciołom", „Kolegom z elektrowni w K."**

Z różnych powodów ciekawe są i inne arkusze tejże serii: tomiki **Urszuli Jaros („Pokoje kobiet")**, **Adama M. Kulika („Pejzaże z panem Lemonem")**, **Wacława Oszajcy („Zamysł")** **Wojciecha Krawczyka („Gramatyka pozorów")**, młodziutkiego **Waldemara Zadrożnego („Apokalipsa Jana W.")**.

Interesująca jako głos **„Pokolonia, które wstępuje"** jest najobfitsza z serii debiutanckich arkuszy, ukazująca się pod tą właśnie nazwą i patronatem **ZG SZSP**. Tu już nawet trzeba rezygnować z wyliczenia nazwisk, musiałoby się ich bowiem wyliczyć aż 18, tyle bowiem debiutanckich arkuszy wydano w samym roku 1979. Wszystko studenci i asystenci z całej Polski, w wieku od lat 22 do 27, przeważnie poloniści, ale są też studenci ASP, pedagogiki, ekonomii. Każdy arkusz poprzedzony autorską autoprezentacją, zaopatrzony też w notę wprowadzającą przez poetę lub krytyka z kręgu patronujących młodopoetyckiemu ruchowi. Sądzić, rokować na podstawie tych arkuszy jeszcze trudno, ale można mieć pewność, że za rok — dwa większość z debiutujących w niej wyda tomiki w wydawnictwach profesjonalnych. Od arkuszy tego typu, arkuszy serii **„Generacje"** i **„Pokolenie, które wstępuje"** zaczynało przecież wielu znanych dziś poetów młodszego pokolenia.

A jakim wyróżniającym się debiutom patronowały w minionym roku wydawnictwa profesjonalne? Jedyny debiut pod firmą **PIW**, tom **Anny Winowieckiej** pt. **„Kraina"**, zaznajamia nas z autorką bardzo młodą (22 lata w chwili publikacji książki), lecz zdradzającą niewątpliwie bardzo własne, poetyckie widzenie świata, a także spojrzenie na samą siebie, z pozoru bardzo autoironiczne, w gruncie rzeczy raczej analityczne i serio. Zapleczem tej poezji, której maską bywa często żart i groteska, jest napięta niekiedy aż do bólu wrażliwość, lęk przed doznaniami zbyt silnymi, który poetka wyraża w takich wierszach, jak np. **„Piękno"**, **„Nie kochaj mnie"**, **„Przeczucie"**. W centrum tej liryki leży problematyka egzystencjalna i tęsknota do prawd ostatecznych (mówią o tym np. takie wiersze, jak **„Zamiast"**, **„Dziś powiem wam prawdę"**. W widzeniu świata przez poetkę dużą rolę odgrywa czynnik fantazji o podłożu irracjonalnym. Nie wszystko podlega tu intelektualnej interpretacji, słowa mają często wymowę symbolu lub magicznych zaklęć, np. w tytułowym wierszu **„Kraina"**.

Z debiutów **Wydawnictwa Literackiego** szczególnie zafrapował mnie tom **Aleksandra Migo „Monolog po sezonie"**. Podobnie jak kilka lat temu ciekawy debiut szczecińskiego poety, **Stanisława Zajączka**, zbiór ten dowodzi trwającej inspiracyjnej funkcji modelu neoklasycznego. Wiersze **Migi** są dowcipnymi fantazjami, w których patyna starych konwencji przeplata się z niespodziankami odświeżających je współczesnych realiów. Jest tu i dowcip, i pewna przewrotność, i kultura słowa, i bogactwo obrazów.

Z siedmiu debiutów **Młodzieżowej Agencji Wydawniczej** wyróżniłbym zbiór **Macieja Cisło** pt. **„Plastykowe języki"**. Przynosi on cykl wierszy utrzymanych w jednolitej tonacji stylistycznej i próbujących dać coś na kształt syntetycznego spojrzenia na świat i cywilizację współczesną, oglądaną z perspektywy jej masowego odbiorcy i obiektu oddziaływania. Jest w tych wierszach coś z aury musicalu i jarmarcznego nabożeństwa w stylu Jesus Christus Superstar, z aury estrady, lunaparku i wiecu, a równocześnie w paru miejscach — coś z refleksji nad językiem w stylu Białoszewskiego.

Wśród dziesięciu zeszłorocznych debiutantów wyd. **„Iskry"** przeważa inteligencja wiejska i terenowi działacze. Najciekawsze wydały mi się zbiory **Henryka Sekulskiego („O cierpliwym wędrowaniu")** i **Wiesława Zielińskiego („Zabawa w dorosłych")**. Odrębność nie wynika z jakiejś odkrywczości poetyckiego widzenia świata, lecz z tego, że wiersze ich są wyrazistym zwierciadłem określonych doświadczeń i zainteresowań. **Sekulski**, wiejski działacz ZSL, ale równocześnie humanista z wyższym wykształceniem, traktuje temat wiejski — jak trafnie rzecz ujmuje **P. Kuncewicz** w posłowiu do jego zbioru — raczej jako genealogiczny, symboliczny pretekst. Patronami jego klasycyzującej poetyki i ekspresyjnej energii słowa wydają się Grochowiak i Bryll, a obok wierszy o Bartoszu Głowackim i Jakubie Szeli przejawia upodobanie do motywów mitologicznych. **Wiesław Zieliński** poświęca niebanalny wiersz markizowi de Sade, inny zaś pt. **„Święty Piotr arbiter"** dedykuje „kolegom sędziom piłkarskim". Jest bowiem nie tylko poetą, ale i działaczem sportowym.

Z debiutów **Wyd. Łódzkiego** wspomnieć trzeba **„Chłopca z różą" Wiesława Trzeciakowskiego**, tom aforystycznych miniatur, które w zeszłym roku na łódzkim festiwalu poezji otrzymały I nagrodę za najlepszy nie publikowany tom poetycki. Zbiór **Tomasza Soldenhoffa „Koniec poezji"**, debiut poprzedzony wydanym w r. 1977 arkuszem poetyckim, mógłby stać się tematem dyskusji na temat dopuszczalnych granic licencji językowych w utworze poetyckim, ale niezależnie od tego ujmuje nutą gniewnego, młodzieńczego buntu i żywym zapisem sytuacji życia współczesnego. Zbiorem aforyzmów, przypowieści i grotesek pt. **„Fomentum"** debiutował też interesująco w **Wyd. Łódzkim** młody filmowiec, **Ignacy Szczepański**. Materiał fantazji, które proszą się o analizę freudowską, przynosi debiut poznańskiej poetki, **Anny Kwietniewskiej „Po tamtej stronie wiersza"**.

O wnioski ogólne z lektury debiutów, zwłaszcza wnioski kategoryczne w rodzaju „poezja się skończyła" czy „dwudziestolecie międzywojenne było lepsze" (A. SANDAUER) łatwiej komuś, kto z poezją młodych zetknął się wyrywkowo i powierzchownie, niż komuś, kto pracochłonne zadanie zorientowania się w tych lekturach potraktował serio. Mówiąc bowiem serio, lektura ta jest pod jednym względem pokrzepiająca, niezależnie od tego, czy natrafimy w niej na świetne zapowiedzi, czy nie. W tej masie przejawów niewątpliwej wrażliwości, kultury i talentów w zalążku odzwierciedlają się dążenia tych spośród młodych, którzy doznają przemożnej potrzeby zamanifestowania własnej indywidualności, a także — potrzeby autentycznego poszukiwania własnej, osobiście sformułowanej prawdy. Także — ucieczki od sloganu, fałszu, zakłamania i brutalności. Czasem wydaje się mniej ważne, czy ich próby są doskonałe. Więcej znaczy to, że budzą oni zaufanie autentyzmem i żarliwością swoich dążeń.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Referat wygłoszony podczas XIII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

MINIATURY

ROZMOWA

Rozmawiam z moją nigdy nie wygasłą dumą, a rozmawiam ostro, bo mam z nią na pieńku — głowę. Wiem — przetrwa mnie i zaświadczy. Już oni mi to załatwią. Najpewniej będą to przyjaciele — ten i ów, szczególnie ów.

Moja duma mówi: biorą mnie głodem, jak średniowieczne twierdze, średniowiecznymi metodami.

Milcz — mówię mojej dumie, a duma mi na to — milcz. I tak rozmawiamy sobie od rana do wieczora i z powrotem. I z powrotem.

DZIEŃ OJCA

Ten dzień, jak co dzień jest Twój. I trwa to od lat, od moich wszystkich lat, może od narodzin Boga Ojca, który nie ma lat i narodził się nigdy?

Czczę Cię każdym poruszeniem ręki i myśli, każdym krokiem, samym swoim istnieniem, w którym jest Twój sens. Ale silniej bije serce, kiedy widzę znów tę przestrzeń spomiędzy Twych skruszałych, twardych dłoni.

* * *

Umierają przyjaciele, wykruszają się, jak spróchniałe zęby, umierają na drugą stronę ulicy. Odnajduję ich czasem w pożółkłych papierach — krzywo skłamane twarze, z ich brzuchów wypełzają pieniądze, z głów butwieją sprawy i interesy. W kryształowym oku jednego z nich widzę siebie. Śmieszny, bezradny człowieczek obnaża zęby, kręci się, szuka, przestępuje z nogi na myśl...

Siedzę pośrodku miasta, w kawiarni, między lśniącymi protezami — na razie się nie zacisną. Rozmawiam, jak to dzisiaj między przyjaciółmi — nie słuchając nawet własnych słów, bo i po co? Wsłuchuję się w trzask ziaren w klepsydrze. A Judasz już na jutrznię dzwoni.

SPALONY

Odszedł człowiek, odszedł w krwiobieg natury z woli człowieka, rozpłynął się w nieustanny czarny obłok, plamę, powietrze. Odtąd jesteśmy zaczadzeni. Jak psy węszymy każdy zefirek, każde poruszenie powietrza. Nasze serca, to już nie zwykłe mięśnie, nie organa najczulsze, to peklówka, wędzonka wieku.

Nie znałem go, nie pamiętam nawet cienia, jedynie właściwości, którą mogłem uchwycić, lecz on pozostał, czuję go w naszej atmosferze, ciągle jest nam wszechobecny.

U północnej ściany świata jawi się płonący nietoperz, strzęp świszcze rozpięty na drutach pod napięciem, żywa uliczna pochodnia przed gmachem, pałacem obojętności. Nie zagłuszy go big-beat, ani kląskanie gąsek i bałałajek, gdy nas woła.

Nie ocali nas słowo, ani kropla u czoła, która dotąd nie wyparowała. Cóż nas, nas marnych może jeszcze ocalić? Może ten w piersi węgielek?

OPOWIEŚĆ DZIADKA

Pamięci Józefa Ligockiego

Zimę przyśniłem i ze snów zimowych — dziad wyszedł cały okutany w mrozy. Wąs iskrzył szronem, dźwięknęły okowy, nic nie powiedział, tylko patrzył w oczy. A mnie rumieniec wstydu palił, jak gdybym przy kominie leżał na rdzewiejącej szabli, smakował mięsa i do kielicha zbyt często dolewał.

Wicher wył w kominie, jak gdyby niósł echa — katowanego w oddali człowieka. I oddech tłumu chrapliwy słyszałem, spod śniegów co waliły ciężko — zwałem, na nasze pola, już dawno nie nasze i głos kobiety, świst bicza, stuk kopyt i dzikie wycie jakiejś obcej roty. Aż huk obudził mnie jak z harmatstu — pękły lody na rzece, lecz huk był ze snu.

Władek powracał właśnie z tajnych ćwiczeń w lesie. Karego trzeba by ujeździć lepiej, żeby nie poniósł w ogniu. Wstałem — robota paliła się w rękach, wojenna mi się marzyła piosenka, chłopi w opłotkach zaprzęgali konie, kobiety stały w progach oniemiałe, a gdzieś tam przy borze — wstawały w barwach narodowych zorze.

KTÓRY NIE WIE

Oto jest, który nie wie. Nie wie. Jakże on dobrze nie wie, jak dobrze wie, że nie wie — dokładnie, precyzyjnie, bezlitośnie. On mówi, że nie wie, albo nie mówi, rzadko się zdarza, żeby nie wiedział, że nie wie, raczej metodycznie nie wie. Moje krzesło słyszało, jego but, twój guzik, a on nie wie. I dlatego go lubi kapusta.

Kiedy taki odejdzie nawet nie śmierdzi, bo odchodzi, jakby go nie było, a był jak ta woń nieobecna.

Kiedyś miałem o nim obszerną korespondencję od licznych grobów, szpitalnych łóżek, więziennych zydli. Więcej opowiedziała mi o nim jego tłusta, ufryzowana nieobecność. Nie powiem pal go licho — nie wie, to nie wie. Nie powiem...

CÓŻ MNIE Z NIM DZIELI?

Daleki, ciągle daleki od obecności — nie mam z nim nawet wspólnego języka. On boi się dotknięcia światła, ja próżnię odzieram ze słów, stoję po drugiej stronie z obnażonym do połowy snem, z ręką na furdymencie. Przytłoczony nocą, pracuję przeciw niej w mieście jeszcze nie oswojonym, w powietrzu bez powietrza, zanurzony w rzece bez wody, nieznużony, nie zauważony, obnażony. W gruncie rzeczy nie nazwany, aby było wygodniej. Spotykam się tu czasami z nikim, rozmawiamy o niczym, ale nie z nim, nigdy nie o nim.

Zbyt wysoko światło i pamięć we mnie.

Osłonięty nikłym płatem czasu — drżę na wspomnienie jutra — wystygły od ciszy, aż zgiełkliwej pośród pustych ulic. I nie mam mu nic do zaofiarowania, ani do odebrania. Pogróżki zaś zostaną tylko pogróżkami — opadłymi z zimowych drzew, nocą.

KAMIENOWANY

Szedł skrajem nocy, aż go naszedł zza węgła jesieni i kamień i gwizd. Odtąd czuje jak coraz wyżej wzbiera dźwięk powietrza, jak opada go kamienny pył, a każdy rad by dorzucić coś od siebie.

Kamienieje więc od gwizdu, nasłuchuje od kamienia i tłumieje od cierpienia — kamienowany.

— Wysłuchaj go głuchy Panie, odpuść im ich winy, zlituj się nad nieświętymi.

Zniósłby może tę Pompeję, ten Wezuwiusz i ten gwizd, ale porósł niesłuchany, podniósł się kamienowany we własny pomnik.

* * *

Z przeszłości się wydobyć, jak z rzeki zatrzaśniętej nad tobą we śnie, ze stepowych równin, lasów, owych ogrodów, domostw uładzonych przez czas i szrapnele. Stanąć nad równiną, jak nad sobą się staje w godzinie rozpaczy, trwać i trwać pośród cieni myśli, przodków i drzew.

Czy trwać tylko przeciw odmianom klimatu? Czy trwać tylko przeciw przeciwnościom losu i ludzi? A czy nie ładzimy miejsca narodzin jutra, gdy nad sobą się pochylamy zanurzeni w przeszłości?

SPADEK

Zofii Szczepan

Z krawędzi zimy śniegiem obrzeżonych potok otwiera przestrzeń na lodów ostrokoły. Tam świeca w śniegu, za zaspą wyganie i mróz gwiazdy krzesze.

Taką nocą, zimą u przerębli ciemność czerpali wiadrami pełnemi i biały szkwał jak dom aniołów im się mienił.

Idąc z ziemi skąd parowała pożoga i krew — rozwijali, rozkwitali czarną żagiew z śmierci w śpiew. Każdy krok im w mrozie oddzwonił — przeszłe pogonie i konie. Ślady trzech królów odeschły ze krwi, bo czas był taki, jakby Bóg się śnieżnie zamyślił, zapomniał i odmrażał tylko rzeczne dzwony.

LIST II

Droga Odwago,

w pierwszych słowach mojego listu donoszę Ci, że jestem niezdrów, czego i Tobie nie życzę. Twoja propozycja wzrusza mnie i onieśmiela, a zarazem przepełnia radością i szczęściem.

Nie przejmuj się tym, że Cię szkalują, że spłynie to i na mnie. Od dawna odżegnują mnie od rozsądku, rozumu, dobra, nawet uczciwości, zdrowia, szczęścia, od wszystkiego najlepszego, czego i Tobie życzę. Znasz przecież z imienia i nazwiska to stado żon tchórza.

Uszyłem już sobie ślubny garnitur, mam wreszcie krawat i lakierki. Zamówiłem też ogromny bukiet prawd — białych i czystych, jak skrzydło Anioła. Zbieram jeszcze grosze na zupę przed podróżą, na dobre i na złe, z Tobą, choćby nam nawet przyszło zgnić z naszym ślubnym bukietem.

Wbrew wszystkiemu i wszystkim będę siał z Tobą wiatr — wiedząc co z tego wyrośnie, a gdy będzie słońce i pogoda, nie wódź nas na pokuszenie i zmiłuj się nad nami, choć to niekonieczne. Czekaj na mnie cierpliwie, chciałem napisać — Odwagi. Twój

— Współczesny

ZADAWANIE PYTAŃ

Rozmowa z WITALIJEM GORIAJEWEM

Niemłody już mężczyzna o wyglądzie Ernesta Hemingwaya. Podobieństwo jest uderzające. Na ustach błąka się łagodny uśmiech. Rocznik 1910, urodził się w Kurganie, w byłej guberni tobolskiej. Od pięćdziesięciu lat mieszka w Moskwie

— Czym jest dla pana sztuka?

— Odpowiem na to pytanie tak, jak bym odpowiedział na nie sześćdziesiąt lat temu. A przecież mam za sobą kawał życia. I wiem, że przez te lata sztuka była dla mnie wszystkim. Bo sztuka to nic innego, jak przekazywanie dobra, które niesie ocalenie człowiekowi. A sztuka zaczyna się tam, gdzie człowiek zaczyna dziwić się światu. Bo to zdziwienie jest zarazem początkiem widzenia. A jeśli artysta dziwi się szczerze, zaraża swoim widzeniem innych. Mnie zresztą zawsze pociągała sztuka stawiania pytań, na które często sam nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Dlatego jako ilustrator książek nigdy nie podjąłem się rysunków do powieści Tołstoja, Turgieniewa czy prozy Czechowa. Są to pisarze, którzy dają gotowe recepty na życie. Ilustruję tylko tych autorów, którzy stawiają pytania. I jeśli z upodobaniem sięgam po Dostojewskiego, to przede wszystkim dlatego, że u niego granica między dobrem i złem jest zawsze nieostra, nieokreślona. Takie pytania stawia także Puszkin w swoich małych tragediach. I ja staram się je postawić swoimi rysunkami. Wiem z doświadczenia, że czytelnik potrafi je zapamiętać.

— Czy znaczy to, że uważa się pan w pierwszym rzędzie za ilustratora książek? Przecież przywiózł pan do Polski prace, które każą spojrzeć na pana jako na wszechstronnego artystę. Podkreśla to zresztą radziecka krytyka.

— Malarstwo sztalugowe uprawiam od jakichś piętnastu lat. Mam w dorobku oleje, tempery, nawet akwarele, pociąga mnie także rysunek z natury. Nie brak mi chyba także widzenia satyrycznego, skoro przez wiele lat pracowałem w „Krokodylu". Ale mniej więcej dwanaście lat temu stwierdziłem, że ludzkie niedoskonałości znacznie lepiej przedstawia Gogol, niż piórko naszych rysowników. Do ilustrowania jego książek nie stosuję szerokiej gamy kolorów, bo i Gogol jej nie stosuje: szeroka jest u niego tylko idea powieści. I tę ideę staram się jakby uwypuklić, ale tak, żeby czytelnikowi dać coś do myślenia. Żeby po przeczytaniu książki, oglądając moje rysunki, stwierdził: coś chyba przeoczyłem. Na przykład w „Martwych duszach" narysowałem czarne muchy na białym polu na białej kostce cukru. Te muchy symbolizują urzędników na balu u gubernatora. Rysuję zresztą w każdych okolicznościach, także w czasie podróży, choć staram się być systematyczny w pracy. Wstaję o siódmej rano i do dziesiątej szkicuję w mojej pracowni. A kim jestem w oczach krytyki, tego doprawdy nie wiem. Myślę, że zawsze robiłem to samo: przedstawiałem otaczający mnie świat, ukazywałem przyrodę, także pejzaż wewnętrzny człowieka jako ilustrator Dostojewskiego. Jednocześnie robiłem prace o charakterze bardziej osobistym, doskonaląc się warsztatowo. Mam w dorobku kompozycje rytmiczne, sceny rodzajowe. W tym nurcie jest wiele z eksperymentu: gra rytmów, linii. Moimi mistrzami byli Michaił Wrubel i Aleksiej Faworski. Chylę także głowę przed talentem Picassa.

— Wiem, że ma pan dość niezwykłą biografię. Czy może pan powiedzieć, jaka była pańska droga do Moskiewskiego Instytutu Poligraficznego? Kiedy pan zrozumiał, że musi zostać artystą?

— Raczej rysownikiem. Widzi pan, jako młody człowiek, mieszkając jeszcze na Dalekim Wschodzie w miejscowości Czyta, występowałem w balecie jako solista. Jakby tego było nie dość pracowałem także w cyrku. Można więc powiedzieć, że wcześnie otarłem się o środowisko artystyczne. Ale zrezygnowałem z kariery na tych polach na rzecz uczelni technicznej. Co prawda pełna jej nazwa brzmiała: Wyższy Instytut Techniczno-Artystyczny. W 1929 roku przyjechałem do Moskwy na egzaminy. Tylko miałem to nieszczęście, że pisywałem także wiersze. I z moimi próbkami poszedłem do Włodzimierza Majakowskiego. Bardzo stremowany poprosiłem go o ocenę. A Majakowski był w sprawach poezji bezlitosny. Nie zostawił na mnie suchej nitki. Ale jego stosunek zmienił się natychmiast, gdy zobaczył przypadkowo moje rysunki. Uważałem, że są gorsze niż wiersze i wstydziłem się je pokazać. Tymczasem Majakowskiemu spodobały się one na tyle, że zmusił mnie do zdawania na uczelnię artystyczną, rozporządził nawet dokumentami, które złożyłem w uczelni technicznej. Przyjaźniłem się z nim aż do jego tragicznej samobójczej śmierci. Jako student pierwszego roku robiłem wystrój plastyczny wystawy „20 lat pracy Majakowskiego"; sam mnie o to poprosił.

— Więc to Majakowski zdecydował, że powinien pan zostać rysownikiem. Czy ta rekomendacja ułatwiła panu w jakiś sposób życiowy start? Jakie były społeczne mechanizmy kreowania artystów w tamtych latach?

— Trzeba wiele pracować, żeby zwrócić na siebie uwagę, a dopóki człowiek jest nieznany, znaczy w środowisku artystycznym bardzo niewiele.

W roku 1934 skończyłem wydział plakatu, ale choć już od dwóch lat należałem do Związku Plastyków Radzieckich, nie potrafiłem utrzymać się w Moskwie. W 1935 roku znalazłem zatrudnienie na parostatku „Propagandzista", należącym do oddziału politycznego Ludowego Komisariatu Floty Rzecznej. Zaczynał się właśnie ruch stachanowski, był to okres obfitujący w wiele wydarzeń politycznych. Płynęliśmy Wołgą zatrzymując się w wielu miejscowościach, robiłem od ręki satyryczne plakaty wykpiwając niekorzystne zjawiska. To praca na „Propagandziście" dała mi przepustkę do „Krokodyla", z którym zacząłem współpracować od 1937 r.

— Ma pan kapitalną skalę porównawczą. A jaka jest dzisiaj sytuacja debiutującej młodzieży artystycznej w Związku Radzieckim? Czy trudniej tym młodym pokonywać przeszkody niż w przypadku pokolenia, do którego pan należy?

— Chciałbym przede wszystkim stwierdzić, że w ostatnich latach wzrosło w Związku Radzieckim zainteresowanie sztuką i to nie tylko starych mistrzów, ale i plastyką współczesną. Po prostu ludzie lepiej żyją, stać ich na więcej i nie chcą mieć w domach pustych ścian. To zainteresowanie rzutuje na ruch wystawienniczy. Wystawy są od jakichś ośmiu lat znacznie ciekawsze, pojawiło się wiele ciekawych indywidualności. Nie bez wpływu na tę różnorodność propozycji są kontakty osobiste z artystami zagranicznymi, które wzajemnie nas wzbogacają.

Ale zwrócić na siebie uwagę swoją sztuką nie jest chyba łatwiej, niż pięćdziesiąt lat temu. W samej Moskwie do Związku Plastyków Radzieckich należy blisko 4000 artystów. Drugie tyle należy do innych oddziałów. Żeby wstąpić do Związku Plastyków, trzeba mieć dwie indywidualne wystawy. Zdarza się więc często, że człowiek dobrze po trzydziestce uchodzi w swoim środowisku za tzw. młodego artystę.

Należę do kolegium redakcyjnego miesięcznika „Junost" („Młodość"). Mamy przy redakcji niewielką galerię, w której robimy 4—5 wystaw w roku. Prezentują na nich swoje prace debiutanci, odbywają się dyskusje. Prócz tego dwa razy w roku robimy wystawy młodych, którzy już należą do Związku Plastyków. I akcja ta cieszy się sporym powodzeniem.

Istnieją także w Związku Radzieckim specjalne domy pracy twórczej, często przebywają w nich także artyści z innych krajów. Młodzi dostają w tych domach wszystko: mają zapewniony bezpłatnie pobyt, otrzymują papier, farby. Na zakończenie dwumiesięcznych turnusów odbywa się wystawa. Na pewno jest to interesująca forma mecenatu nad młodymi; zresztą mecenat powinien ulec rozszerzeniu. Ale żaden mecenat nie podpowie artyście jak swoją sztuką ma zbawić człowieka.

— Na wystawie, którą pan przywiózł do Polski, znajduje się między innymi cykl rysunków wojennych. W jakich okolicznościach one powstawały? Czy tworzył je pan rzeczywiście na froncie?

— Podczas wojny zostałem zmobilizowany i trafiłem do zwykłej, bojowej jednostki. Dopiero później zorientowano się, że przydatniejsze może być moje piórko niż karabin. W ten sposób trafiłem do żołnierskiej gazetki satyrycznej „Frontowyj jumor" („Humor Frontowy"), której byłem faktycznym redaktorem, choć nominalnie piastowałem funkcję sekretarza redakcji i kierownika artystycznego. Z wojennych przygód chciałbym wspomnieć jedną, dosyć chyba śmieszną, choć wesołych zdarzeń na wojnie raczej nie ma. Wespół z moim przyjacielem, poetą Aleksandrem Twardowskim, który publikował wówczas w „Czerwonej Gwieździe" swego „Wasyla Tiorkina", odwiedziliśmy pewnego razu żołnierzy w okopach. Przedstawiłem Twardowskiego, który cieszył się ogromną popularnością u czytelników, a Twardowski przedstawił mnie. Zapytałem żołnierzy, czy otrzymują „Frontowyj jumor". Podano mi zaraz egzemplarz gazetki, niestety bez okładki, na której znajdował się mój rysunek. Żołnierze byli zakłopotani, okładkę zużyli na skręty. To nasunęło mi pomysł wydania kolejnego numeru „Frontowego Humoru" z perforowaną okładką. Jej górna część była podzielona na kwadraciki z napisem: „Na skręty". Dolną część zajmowała spora karykatura Hitlera z napisem: „Do użytku intymnego".

Z Aleksandrem Twardowskim odbyłem całą kampanię wojenną, braliśmy udział w wyzwalaniu północno-wschodniego skrawka Polski, a zwycięstwo świętowaliśmy w Królewcu. Przechowuję jak cenną pamiątkę zdjęcie, na którym wraz z Twardowskim i Olegiem Wieriejskim spełniamy toast za koniec wojny.

— Czy ta wojenna wędrówka była jedynym pana spotkaniem z Polską? Wydaje się to wprost nieprawdopodobne.

— Dzisiejszą Polskę znałem aż do tej chwili właściwie tylko z lotniska na Okęciu. Latałem wiele, do różnych krajów, a do Polski było mi jakby za blisko. Cieszę się więc, że jest mi dane poznać także wasz kraj. Oczywiście trudno mi w tej chwili o jakieś precyzyjne przedstawienie moich wrażeń. Widziałem zresztą niewiele. Ale podobają mi się okolice Łodzi, barwne stroje chłopek, a przede wszystkim konie, furmanki, które coraz trudniej spotkać pod Moskwą. A jako malarz mam sentyment do koni. Spodobał mi się także pejzaż i spotkania z ludźmi, szczerymi, otwartymi w rozmowie. Mam skalę porównawczą, bo wiele podróżowałem. I z pobytu w Polsce jestem bardzo zadowolony.

— A którą ze swych podróży uważa pan za najpłodniejszą artystycznie? Która dała panu najwięcej doświadczeń jako artyście?

— Podróże potwierdzają moje zainteresowanie życiem i otaczającym nas światem. Jako dziecko marzyłem na przykład, żeby zobaczyć Cejlon. W szkole rozrysowywałem mapy, przenosząc je na duże arkusze. Kiedyś, wodząc palcem po wykreślonym właśnie przeze mnie południku, natrafiłem na Cejlon i zapamiętałem to. Dzisiaj jestem wiceprezydentem Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Cejlońskiej i znam nieźle tę wyspę, zrobiłem na niej wiele rysunków.

Jako dziecko, pod wpływem lektury „Tomka Sawyera", marzyłem też o zobaczeniu Missisipi. Czyta leży także nad rzeką — Selengą — na której przeżywałem swoje własne przygody Tomka Sawyera. I oto zaproponowano mi zrobienie rysunków do tej powieści. Kiedy pracowałem nad ilustracjami, cały czas stało mi przed oczami moje dzieciństwo. Niedługo potem pojechałem do Stanów Zjednoczonych i przekonałem się, że rysując z wyobraźni Missisipi nie popełniłem zbyt wiele błędów.

Płynąłem po Missisipi, jak Sawyer, bocznokołowym parostatkiem. Potem zjeździłem niemal całe Stany Zjednoczone samochodem, aż do Zachodniego Wybrzeża. Zrobiłem serię rysunków „Amerykanie u siebie", prezentowałem je w Moskwie, ukazały się w specjalnym albumie. Rysunki moje prezentowały także liczne gazety amerykańskie. Poznałem przy okazji wielu amerykańskich plastyków i pisarzy. Zaproponowano mi ilustracje do „Tragedii amerykańskiej" Dreisera. Zrobiłem także rysunki do „Światłości w sierpniu" Faulknera. A po powrocie zrobiłem ilustracje do „Huckelberry Finna" Twaina.

— Część z tych rysunków zaprezentuje pan polskiemu widzowi na swojej wystawie. A który dział ekspozycji chciałby pan polecić szczególnie?

— Chciałbym, aby widzowie zwrócili uwagę na dział zatytułowany przez mnie: „Mój dom". Umieszczone w nim prace przedstawiają moją rodzinę, moich przyjaciół, a także pejzaż, który mnie otacza. Krąg moich przyjaciół jest bardzo szeroki, od sąsiadów, aż po ludzi bardzo znanych. Zaprezentuję na przykład portret nieżyjącego już poety chilijskiego Pabla Nerudy, z którym zetknąłem się w Mediolanie.

— Nad czym pan obecnie pracuje?

— Nad ilustracjami do „Młodzika" Dostojewskiego. W bohaterach tej książki rozpoznaję dzisiejszych młodych ludzi. A w najbliższym czasie ukażą się „Martwe dusze" Gogola z moimi ilustracjami, o których już tutaj mówiłem.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Witalij Goriajew: „Robienie na drutach". 1972.

POEZJA

Rys. Grzegorz Stańczyk 73.

ROMAN GORZELSKI

POKALANIE

Kto kala swoje gniazdo kalamburem wart rękawicę ryżu walonek piwa
szpilkę koktajlu nasturcję ołowiu a przede wszystkim serce sera
mówił pastor stojąc po pas w ambonie i nic w tym dziwnego lato
lato się na głowę muchy niewierne nie miały wstępu do świątyni
dlatego chuchały przed drzwiami na śniadanie spóźnione bo przecież
niedziela była palmowa a zielone świątki prawie co dzień odprawiało
się jak się patrzy heta wiśta wio kary na ciebie nie ma ludzie stoją
koniom obrok zadany jak pokuta muchy latają głodne a pastor gada
para jaj wodnych z gęby żaby w pień wycięta skóra się bliźni a tu
górnik strzela chłopak też a dziewczyna w śmiech bo doustnie
się zabezpiecza tylko kościół ma za złe odpust się kończy deszcz
może spadnie ciepło nastanie to będzie używanie siano się podkręci
do góry z rycyną przyrządzi śledziki doda jak święta miłości to nie
można inaczej boby się przodkowie w grobach poprzewracali i jezdnie
byłyby nie do użycia dlatego niech każdy torrero pilnuje swojego byka
a real madryt górnika jak chce pokonać na nasz węgiel ma oko bo to
największa przeszkoda polityczna zresztą pastor jak coś mówił to
nie był taki głupi i swoją rację miał tylko po co rodzynki rozsypał po
co po co po co

WYCHOWYWANIE MŁODZIEŻY

Kiedy matka dowiedziała się o tym co dziewczyna zrobiła
do deski ją przybiła młotek pożyczyła u kowalskiego
z deskami trudniej ale jakoś nałowiła ich nieco w stawie bo przez noc
napadało trochę to nie to co dawniej wiatr siał i rosły
teraz tylko żelazo się udaje i to na glebie pszenicznej na to
ojciec przybiegł i nuż ją pytać a co a kto a jak w kajak jął jej
zaglądać i nim skończył sam do matki pognał ciemny błękit
porozrywał na niej a jak się uspokoił leciwy szyby wstawiać począł
by wnętrze uspokoić należycie samoloty krążą po pokoju jak much
zgraja i nie ma na to ratunku bo czasy takie a tu dziewczyna
do deski przybita śmieje się zacofani mówi do starych kary na
ciemnotę oderwijcie już bo jasiek nadejdzie i co mu powiem wstyd
ropuch lepiej usmażcie jaja że jej suknia splamiona okwiatem
żagiel muszę sobie poprawić na głowie woły winem napoić i gwoździe
w wodzie wymoczyć na deser sto lat mi minie niedługo a jankowi
sto pięć stąd natura ciągnie nas do lasu i akrobacje z nami
wyczynia rachunki prowadzi madrygały rysuje gały wytrzeszcza
czy już a wy tu deski i gwoździe sposób wychowania sprzed potopu
krosty na gębie lepiej mi wyciśnijcie a potem gdakać będziemy
jak pan bóg przykazał amant mi z marsa wraca nuże do rękodzieła
bo zbrzydła mi już ta zielona zabawa na gwoździu wisieć amen

OSTATNIE CHWILE ŻYCIA

Gdy Ajajaj doszedł do wniosku że życie jest krótkie
postanowił przemokłe pestki ponadziewać na palce sowom
noc poszarpać aż do samego słońca na skargę pójść gdyby
mu się to niepoudawało toteż urżnięty w cztery litery
chciał je wykorzystać pierwszej zdjął był już podwiązki
ale w ostatnim momencie zapomniał o co mu chodzi
drugiej i trzeciej z rozpaczy nawymyślał i dopiero przy
czwartej rozum w garść chwycił i nuże ją okładać pałką myśli
aż stróż się obudził wrzasku narobił wstydu się najadł Ajajaj
klapie nogami i szare komórki na drutach wiąże szydełkuje
aż kurz leci bluźni pluje charczy kaszle na trąbce gra bluesa
albo co święta krowa mu się przypomniała rąbnął jej w róg
i odpędził na zawsze twój paks wobiskum

ZE ŚPIEWEM W ŚWIAT

Rozmowa z doc. RAJMUNDEM AMBROZIAKIEM, dziekanem Wydziału Wokalno-Aktorskiego Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi oraz dyrektorem i kierownikiem artystycznym Państwowego Teatru Muzycznego.

— Słyszałem parokrotnie jak akompaniował pan solistom. Odniosłem wtedy wrażenie, że dostrzegam więź łączącą pana ze śpiewakiem, więcej — jakieś nieuchwytne, a przecież wyraźne wzajemne oddziaływanie.

— Rzeczywiście, istnieje taka więź, musi istnieć, a raczej — powinna istnieć. Jest ona warunkiem artystycznego sukcesu solisty.

— I akompaniatora?

— Naturalnie.

— A zatem można powiedzieć, że sukces solisty jest także sukcesem akompaniatora.

— Można. I tak jest w istocie, chociaż pozornie należy on tylko do solisty. W gruncie rzeczy jest on niepodzielny.

— Dlaczego mimo rysującej się przed panem wirtuozowskiej kariery pianistycznej, wybrał pan zawód akompaniatora i pedagoga?

— Akompaniator jest też pianistą. Można być pianistą solistą i pianistą kameralistą. Jest to taka sama kariera, jak każda inna, aczkolwiek utarło się mylne pojęcie, że akompaniator jest pianistą drugiej kategorii. Żeby być dobrym akompaniatorem, trzeba być przede wszystkim dobrym pianistą, mającym w dodatku tę umiejętność czy intuicję, jak niektórzy muzycy to nazywają — współdziałania z solistą. A zatem wcale nie minąłem się z moją pasją muzyczną, jestem pianistą i pedagogiem i uczę studentów trudnej sztuki akompaniowania. A dlaczego wybrałem zawód pedagoga? No cóż, odpowiada mojemu usposobieniu, lubię go, lubię pracę z młodzieżą, sprawia mi satysfakcję przekazywanie mojej wiedzy i doświadczenia młodemu pokoleniu muzyków.

— Sądzę, że daje to panu nie tylko satysfakcję, ale jest także częstokroć przedmiotem zrozumiałej dumy, jak choćby z powodu sukcesu studentki Wydziału Instrumentalnego łódzkiej PWSM, pańskiej uczennicy — Teresy Czekaj — która została laureatką I nagrody na dopiero co zakończonym w Łodzi Międzyuczelnianym Konkursie Muzyki Kameralnej dla Pianistów Kameralistów. Proszę przyjąć szczere gratulacje. Akompaniuje pan tylko śpiewakom?

— Nie, nie tylko. Ale blisko trzydzieści lat interesuje mnie wokalistyka i zawsze fascynował mnie akompaniament wokalny.

— Czy to jest pańska specjalność pedagogiczna?

— Poniekąd. Jestem z zawodu muzykiem kameralistą, uczę studentów klasy fortepianu jak należy akompaniować, a także prowadzę zespoły kameralne. Ale to jest jeden kierunek mojej specjalności pedagogicznej. Obok tego, jako akompaniator, pracuję ze śpiewakami-studentami, jak również wybitnym polskimi solistami nad artystyczną interpretacją utworów wokalnych.

— Więc jest pan pianistą akompaniatorem i ponadto zna pan wokalistykę.

— Owszem. Z tym, że moja pierwsza specjalność jest dyplomowana, a druga nabyta drogą, jeśli tak można powiedzieć, zaspokajania moich szczególnych zainteresowań, rozbudzonych obserwacją pracy wybitnych polskich pedagogów wokalistów.

— Wyszkolił pan wielu śpiewaków...

— Przepraszam, że panu przerwę, ale muszę zaprzeczyć: nie można tak powiedzieć. Główną rolę w szkoleniu śpiewaków odgrywa nauczyciel śpiewu, ten, który uczy ich właściwej emisji głosu, właściwego jego ustawienia. Włączam się do tego procesu szkolenia w odpowiednim czasie, gdy praca nad utworem wchodzi w stadium artystycznego cyzelowania. I tutaj ogromne usługi oddaje mi dobra znajomość wokalistyki. Natomiast można powiedzieć, że akompaniowałem chyba ze dwudziestu paru znakomitym polskim śpiewakom i śpiewakom na licznych konkursach zagranicznych, na których zbierali wielkie laury.

— Sprawia to panu z pewnością wielką satysfakcję.

— O, tak. Bardzo dużą.

— Jest pan dziekanem Wydziału Wokalno-Aktorskiego, który uchodzi za najlepszy wśród wszystkich PWSM w kraju. W jaki sposób zapracował sobie wydział na tak wysoką ocenę?

— Nasz wydział cieszy się aż tak dobrą opinią? Miło mi to usłyszeć. Staramy się pracować możliwie najlepiej, bardzo nam zależy, zarówno pedagogom jak i studentom, na dobrych wynikach w pracy, mamy takie ambicje. Trudno by mi jednak było obiektywnie ocenić efekty działalności Wydziału, patrząc na nie od wewnątrz. Niemniej, mogę chyba powiedzieć, że na dydaktyczne osiągnięcia wydziału wpłynął właściwie realizowany program studiów. Nasi studenci raczej pracują niż studiują. Od 1974 roku słuchacze Wydziału Wokalno-Aktorskiego wystawiają pod kierunkiem pedagogów po dwie premiery rocznie w dwóch łódzkich teatrach: w Teatrze Wielkim i w Teatrze Muzycznym. W sumie mieliśmy tych premier już kilkanaście. Od samego początku studiów słuchacze naszego Wydziału zaznajamiają się praktycznie ze sceną, z procesem przygotowywania sztuki własnymi siłami przy współpracy teatrów. Słowem — aktywnie zapoznają się z pracą w teatrze.

— Czy w podobny sposób pracują wszystkie wydziały wokalno-aktorskie PWSM w kraju?

— Owszem, ale nie tak intensywnie. W Łodzi, dzięki bliskiej współpracy z teatrami, dajemy tych przedstawień najwięcej i oczywiście z ogromnym pożytkiem dla studentów.

— Jakie to były premiery?

— W Teatrze Wielkim: „Wesele Figara", „Cosi fan tutte", „Verbum Nobile", „Sprzedana narzeczona", „Baron cygański", „Krakowiacy i górale", „Straszny dwór". Teraz wystawiamy „Traviatę". A w Teatrze Muzycznym: „Moulin Rouge", „Mikado", „Kabalista", „Nitouche", „Gejsza", „Popłoch wśród dziewcząt".

— Czy można mówić o łódzkiej szkole wokalistyki?

— Proszę pana, o łódzkiej szkole wokalistyki mówi się już od lat. Z Łodzi zawsze emitowaliśmy najpiękniejsze głosy na cały kraj, ba, na cały świat. Z naszej szkoły wyszły takie znakomitości wokalne jak Teresa Żylis-Gara, Teresa Wojtaszek-Kubiak, jak Delfina Ambroziak — laureatka tegorocznej Nagrody Miasta Łodzi, i inni. Niedawno mury szkoły opuściło dwóch utalentowanych śpiewaków: Włodzimierz Zalewski — laureat Łódzkiej Nagrody Srebrnego Pierścienia i Kazimerz Kowalski. Ponadto wychowankowie naszej szkoły śpiewają: Grzegorz Caban w Operze Wiedeńskiej, Alina Borkowska w Komische Oper w Berlinie, Andrzej Malinowski w operze w Saarbrücken w RFN, Urszula Waluś w jednej z oper w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Tę listę mógłbym wydłużyć. Pragnę także podkreślić, że nie ma w Polsce opery i operetki, w których by nie występowali soliści — absolwenci naszego wydziału. Nawet w teatrach dramatycznych w kraju nie brak absolwentów naszej szkoły. Zawdzięczamy to znakomitemu gronu pedagogów naszego wydziału, którzy kontynuują dzieło zapoczątkowane przez tak wybitnych profesorów, jak Olga Olgina Mackiewicz i Grzegorz Orłow. Sądzę, że w tym kontekście można śmiało mówić o łódzkiej szkole wokalistyki.

— Ta niekłamana sława naszej PWSM powoduje z pewnością duży napływ kandydatów na studia.

— Rzeczywiście tak jest. Napływają do nas chętni z całej Polski: od Szczecina aż po Przemyśl. W różnych latach, przeciętnie, od 5 do 8 kandydatów na jedno miejsce. Niestety, i my mamy limity przyjęć.

— Na te godne uznania wyniki pracy składają się chyba nie tylko właściwe metody dydaktyczne. Musi jeszcze oddziaływać jakiś inny element. Jaki?

— Śmiem twierdzić, że jest to element wychowawczy, stworzenie na wydziale klimatu twórczej pracy, życzliwości, przyjaźni i koleżeńskości, przy zachowaniu wszystkich atrybutów autorytetu pedagogów i uczelni. Ów szczególny klimat panujący w szkole tworzy mocną więź absolwentów z nauczycielami, ze szkołą, a nawet z Łodzią. Cały ten zespół czynników wywiera pozytywny wpływ na wyniki w nauce.

— O ile mi wiadomo kładziecie duży nacisk na ćwiczenia ruchowe przyszłych wokalistów. Ponoć są one nawet dość intensywne...

— Współczesny aktor, w tym także wokalista, musi być w dobrej kondycji fizycznej. Dawno minęły czasy statycznych spektakli. Dzisiejszy widz żąda na scenie ruchu, dynamiki. Nasi przyszli wokaliści przechodzą kurs tańca, gimnastyki artystycznej, szermierki. Niech mi pan wierzy, ta zaprawa wcale nie jest łatwa. A bardzo potrzebna. Włodzimierz Zalewski nie wykonałby z taką swobodą tańca Zor-

„O łódzkiej szkole wokalistyki mówi się już od lat".

Foto: R. Łucyszyn

by, gdyby nie miał w tym zakresie dobrego przygotowania. Aktor musi być sprawny fizycznie. Nawiasem mówiąc, dzisiejszy widz żąda także realizmu na scenie. Stukilowa Mimi w „Cyganerii", umierająca na scenie na gruźlicę, może wzbudzić tylko wesołość.

— Dużo studentów studiuje na wydziale?

— Liczba ich waha się w granicach 60—70.

— Kandydaci rekrutują się z absolwentów średnich szkół muzycznych?

— Skądże znowu. Przyjmujemy kandydatów bez specjalnego przygotowania muzycznego. Muszą mieć tylko dobrą aparycję, dobre warunki głosowe, słuch muzyczny i świadectwo dojrzałości. W ciągu sześciu lat musimy z nich „zrobić" artystów. Nie wszyscy kończą szkołę, ale odsiew podczas studiów jest minimalny. Wstępne egzaminy konkursowe są bardzo ostre i przechodzą je tylko najzdolniejsi; późniejsze studia nie są już dla nich przeszkodą trudną do pokonania.

— Jak długo pracuje pan w PWSM?

— Dwadzieścia pięć lat. Zaczynałem tutaj pracę jeszcze jako student tej uczelni.

— Szkoła mieści się wprawdzie w ładnym pałacu pofabrykanckim, ale sądzę, że warunki lokalowe na tego rodzaju uczelnię nie są tu najlepsze.

— To prawda, ale przyzwyczailiśmy się do tego pałacu. Nie jest to wygodny lokal, ale jakoś dajemy sobie radę. Na pewno przydałby się większy. Brakuje nam przede wszystkim sali koncertowej, z której mógłby korzystać nie tylko Wydział Wokalno-Aktorski, ale chór i orkiestra naszej uczelni.

— Z początkiem kwietnia tego roku objął pan funkcję dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Muzycznego w Łodzi. Czy oznacza to, że opuszcza pan Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną?

— Czy sądzi pan, że mógłbym opuścić uczelnię, z którą jestem tak zżyty, w której praca stanowi treść mojego życia? Funkcję dyrektora będę pełnił obok zajęć w szkole. Lubię ten teatr i współpracuję z nim już od 1975 roku, od czasu, gdy wystawialiśmy tutaj naszą pierwszą szkolną premierę. Znam więc i cenię pracujące tu zespoły.

— Czy ma pan swoją wizję Teatru Muzycznego?

— Chcę, żeby to był dobry teatr. Teatr, na którego scenie będą wystawiane operetki, musicale, wodewile, ale w którym stale obywatelstwo zdobędzie sobie przede wszystkim piękny śpiew.

— Sądzi pan, że takie przeobrażenie może się dokonać w jakimś niezbyt odległym czasie?

— Tak. Tak właśnie sądzę. Wierzę w zespół, który tutaj zastałem, nie wątpię, iż z chęcią powróci do śpiewu. Zresztą jest tu sporo absolwentów naszego Wydziału. Trzeba powiększyć balet, orkiestrę, chór — zespoły widzą konieczność tych zmian i chętnie taki trud podejmą. Są ambitne, uzdolnione i stać je na to, żeby stworzyły świetny teatr. Moim marzeniem jest powrót do dobrego imienia operetki, która zaraz po wojnie szeroko rozwinęła skrzydła w Łodzi, w „Lutni" przy ul. Piotrkowskiej, gdzie ujrzało światło dzienne wiele znakomitych premier. Były to doprawdy piękne dni łódzkiej operetki. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że i dzisiejszy Teatr Muzyczny nie ma swoich wiernych wielbicieli, czy też że narzeka na jakiś większy brak frekwencji.

— Mimo wszystko trzeba na to czasu, tym bardziej, że — jak sądzę — trzeba by i bazę materialną teatru nieco podbudować.

— To w dużym stopniu zależy od zespołu. A władze bardzo idą nam na rękę, już dziś odczuwam pomoc i życzliwość łódzkiej instancji partyjnej i władz miejskich. Jestem przekonany, że na efekty nie trzeba będzie zbyt długo czekać.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

OPERETKA

PIĘKNA NIEZNAJOMA

... wcale nie musi być zawoalowaną damą. Ta, którą przedstawił nam ostatnio Teatr Muzyczny jest prostą dziewczyną o wdzięcznym i egzotycznym imieniu Pericola.

„Pericola" to tytuł niemal zupełnie dziś zapomnianej, a więc kilku co najmniej pokoleniom w ogóle nieznanej operetki **Jakuba Offenbacha**, której łódzką inscenizację, pierwszą od osiemdziesięciu niemal lat, śmiało nazwać można wydarzeniem zbliżającego się ku końcowi sezonu w Teatrze Muzycznym.

Sięganie po utwory dawno nie grywane niesie ze sobą element znacznego ryzyka. Ich staroświeckiego wdzięku nie zawsze starcza na zrównoważenie tych słabości muzycznych, bądź niedostatków dramaturgicznych, dla których onegdaj odłożono je do lamusa. Bywa więc i tak, że próba ponownego wprowadzenia na scenę jakiegoś zapomnianego utworu potwierdza jedynie słuszność podjętej przed wielu, wielu laty decyzji o wycofaniu go z repertuaru. Do rzadkości należą sytuacje, w których ponowne, a bardzo na ogół ostrożne zabiegi — określamy to modnym słowem — rewaloryzacyjne, przynoszą efekt budzący miłe zdumienie i najwyższe uznanie.

Próba przywrócenia naszej scenie operetki o niezwykłych przygodach pięknej Pericoli uwieńczona została pełnym sukcesem wszystkich twórców ostatniej premiery w Teatrze Muzycznym. Na sukces ten złożyło się zaufanie do kompozytora, znaczna inwencja autorów inscenizacji i coraz większa — jakże miło to stwierdzić — sprawność całego zespołu artystycznego tej sceny.

„Pericolę" skomponował Offenbach w 1868 roku. Paryż znał już wtedy jego „Orfeusza w piekle", „Piękną Helenę", „Życie paryskie" i „Wielką księżnę Gerolstein". Osiągnięte w tych operetkach szczyty kompozytorskiego kunsztu podziwiano na wielu scenach. Kapryśny, beztroski i rozbawiony Paryż szukał coraz to nowszych i coraz bardziej emocjonujących wrażeń. Uroda „Pericoli" musiała wydać mu się dosyć oczywista. Myślę też, że francuskiej publiczności bliższe były operetkowe salony i takiż Olimp niż najbardziej nawet egzotyczna, a może właśnie przez to odległa od otaczającej ją rzeczywistości, peruwiańska zabawa z okazji imienin wicekróla.

Publiczność polska oglądała „Pericolę" w sześć zaledwie lat od jej paryskiej prapremiery. W kolejnej, dwadzieścia lat dzielącej ją od polskiej prapremiery drugiej inscenizacji tego wcale pokaźnego dzieła, jedną z trzech głównych partii kreował sam Rufin Morozowicz, w trzeciej zaś — słynna Adolfina Zimajer, ale i to nie przyniosło tej operetce cenionego twórcy należnego jej powodzenia i uznania.

Tego uznania „Pericola" godna jest na równi z innymi, wciąż pozostającymi w repertuarze muzycznych scen, operetkami mistrza Offenbacha, który także i tutaj dał dowody swojej kompozytorskiej perfekcji i wielkiego muzycznego talentu. „Pericola" ma bardzo ciekawą muzykę, która raz to skrzy się wesołością, innym zaś razem wzrusza bliską łez łagodnością brzmienia i głębokim liryzmem. Libretto, którego autorami są **Ludovic Halevy** i **Henri Meilhelac** umiejętnie łączy elementy liryczne z pogodnym dowcipem, który w epoce krynolin mógł się co prawda wydać dwuznaczny, ale który z całą pewnością dodawał „sprawie Pericoli" owej niezbędnej w operetce pikanterii i frywolnego wdzięku.

Twórcy najnowszej inscenizacji „Pericoli" bardzo wyraźnie i niezwykle umiejętnie podkreślili wszystkie jej walory i nader zręcznie zatuszowali drobne niedostatki **Zbigniew Pawelec** czuwający nad muzyczną stroną przedstawienia zadbał o jej szlachetność, uzyskując efekt bliski ideałowi i wydobywając z prowadzonej przez siebie orkiestry takie brzmienie, jakiego w tym teatrze doprawdy jeszcze nie słyszałam. Muzycy t o w a r z y s z y l i śpiewakom, a sposób i efekt takiej pracy nie tylko nie umniejszył ich znaczenia i udziału w kształcie artystycznym całego przedstawienia, ale wręcz uczynił ich jego równoprawnymi twórcami i partnerami solistów.

Aleksander Długosz swoją sprawną i niezwykle kulturalną reżyserią przydał wartkości akcji nazbyt chyba w dziele Offenbacha rozbudowanej. Cenne wydało mi się nader dyskretne, ale widoczne podkreślenie istniejących w „Pericoli" tych elementów wymowy społecznej, które pod warstwą czystej rozrywki udało się Offenbachowi „przemycić" do najlżejszej z muzycznych form teatralnych. Podobała mi się także oszczędnie stosowana zasada zatrzymywania na krótkie chwile wartkiego toku scenicznych zdarzeń. Zasada ta pozwalała widzowi cieszyć oczy urodą scen najbardziej znaczących dla rozwoju akcji. Znaczna część swojej atrakcyjności zawdzięcza inscenizacja scenografii, której autorem jest **Wojciech Zieleziński**. Scenografię tę można co prawda posądzić o grzech pewnej niejednorodności stylistycznej, ale tak przecież charakterystyczne dla Ameryki Południowej przemieszanie wszystkich wpływów kulturowych czyni z owej niejednorodności nadrzędny dla całej scenografii walor plastyczny i tym samym rozgrzesza jej autora.

Wewnętrzna dynamika przedstawienia i fakt, że ma ono gorący rytm, jest zasługą **Włodzimierza Traczewskiego** (choreografia). Jeśli zaś o urodzie i wdzięku całego spektaklu mowa to swój największy w nich udział ma wykonawczyni tytułowej roli — **Hanna Matyskiewicz**. Pół roku temu podziwialiśmy tę młodą bardzo artystkę w charakterystycznej roli szelmowskiej swatki, obecnie objawiła nam się jako wspaniała Pericola i... prawdziwa gwiazda (nie waham się użyć tego określenia) operetkowej sceny. Hanna Matyskiewicz obdarzona ślicznym głosem (którego skala — mam nadzieję — jeszcze się powiększy) i atrakcyjną urodą nie tylko świetnie śpiewa i tańczy, ale prezentuje też znakomite aktorstwo. Z uwagą i przyjemnością śledzić będę dalszy rozwój tej niewątpliwie bardzo utalentowanej śpiewaczki. Jak zwykle nienaganny wokalnie **Edward Kamiński** w roli zakochanego w Pericoli Piquilla z umiarem partnerował swej młodszej koleżance, a **Henryk Trybuś** i **Jerzy Nejman** sprawnie zawiązali akcję, która dalej, już bez większego udziału kreowanych przez nich postaci potoczyła się licznymi meandrami wiodącymi do szczęśliwego końca. Podobały się także **Małgorzata Wilk**, **Teresa Mulawa** i **Arletta Włodarczyk** w rolach trzech pełnych wdzięku kuzyneczek prowadzących winiarnię. Zasłużone oklaski zebrał **Jan Padkowski** (wicekról Peru). Entuzjazm widowni wzbudził **Stanisław Marian Kamiński** w roli Starego więźnia oraz **Czesław Grącki** i **Jerzy Czaplicki** jako przezabawni Notariusze. Ciekawie zaprezentował się chór (przygotowany przez **Romana Paniutę**). Zgromadzona na premierze publiczność długimi brawami nagrodziła sprawność (i urodę) zespołu baletowego.

Łódzka inscenizacja „Pericoli" to ambitne i wartościowe przedstawienie. Wróżę mu długi żywot i wielkie powodzenie.

EWA PANKIEWICZ

ŁOWICKIE DNI MUZYKI

Festiwale muzyczne klasyfikować można w rozmaity sposób. Ze względu na ich tematykę, sposób realizacji, zasięg oddziaływania, charakter profesjonalny lub amatorski; kryteriów jest sporo. Jedno z możliwych dotyczy również dynamiki rozwoju. Obserwowanie naszego życia muzycznego prowadzi do wyodrębnienia w tym względzie dwu jakby grup imprez. Pierwsza to festiwale utrzymujące od lat określony kształt i poziom artystyczny (ów poziom wprawdzie nie zawsze bywa najwyższy), grupę drugą tworzą natomiast imprezy, które się jakoś przeobrażają, zmieniają (co prawda bywa, że i, niestety, na gorsze).

Festiwali w Polsce przybywa. Jeszcze nie tak dawno mówiło się w związku z tym o „festiwalomanii". Obecnie głosy te jak gdyby umilkły. Publicyści muzyczni wydają się być zgodni w mniemaniu, że zalety „ruchu festiwalowego" silniejsze są od jego ewentualnych mankamentów. Bo też niewątpliwie są festiwale autentyczną manifestacją artystyczną przede wszystkim tam, gdzie nurt życia kulturalnego jest na co dzień nieco słabszy, zaś w dużych ośrodkach stanowią choćby i formę ucieczki od monotonii stereotypowych koncertów filharmonicznych.

Rzecz jasna — im festiwali więcej, tym wymagania w stosunku do nich powinny być wyższe. W szerszym kontekście: ogólnokrajowym, a tym bardziej międzynarodowym, liczyć się mogą dziś tylko przedsięwzięcia najciekawsze, przemyślane zarówno w całościowej koncepcji artystycznej, jak i w szczegółach, imprezy oryginalne, odrębne treściowo i formalnie (wspomnieć można o wysuwanym postulacie, aby każdy festiwal był kompozycją wyższego rzędu, „metakompozycją"). Naturalnie o ostatecznym kształcie takiego zjawiska muzycznego decyduje wiele czynników. Do najważniejszych należą sprawni organizatorzy i pomysłowe kierownictwo artystyczne.

Nie miejsce tu, by rozwodzić się obszerniej nad istotą festiwalu. Postawmy już raczej pytanie konkretne, nasuwające się w związku z imprezą uwidocznioną w tytule. A zatem — czym są doroczne, w tym roku dziesiąte już, „Łowickie Dni Muzyki"; jakie jest ich miejsce na krajowej mapie muzycznej?

Przed próbą odpowiedzi wypadałoby może napisać wpierw o samym Łowiczu, o jego tradycjach muzycznych sięgających w głąb historii, szczególnie silnych w wieku XVII. Jeśli pomijamy ten wątek, to dlatego, że rozwinął go nie tak dawno na innych łamach dość wszechstronnie warszawski muzykolog, dr Tadeusz Maciejewski (m. in. w: „Z przeszłości muzycznej Łowicza" — Łowicz 1978, „Łowicka tabulatura organowa" — Ruch Muzyczny nr 12/1979), omawiając działalność wybitnych twórców związanych niegdyś z tym miastem, takich jak Mikołaj Zieleński, Marcin Mielczewski, Damian Stachowicz, opisując łowickie kapele (np. kolegiacką, pijarską, prymasowską) i analizując wykonywane przez nie utwory, przedstawiając dzieje lokalnej tabulatury organowej z XVI w. znajdującej się od dłuższego czasu w zbiorach Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Ograniczamy się więc jedynie do „słowa o festiwalu".

„Łowickie Dni Muzyki" zainicjowane zostały w 1971 r. przez Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Muzycznej, czyli polską sekcję międzynarodowej organizacji „Jeunesses Musicales", stawiającą sobie za cel popularyzowanie muzyki wśród młodszej części społeczeństwa i opiekę nad muzykami rozpoczynającymi karierę artystyczną (realizowane bywa zatem hasło „młodzi dla młodych"). Przypomnijmy, że pierwsza edycja „Dni" miała wyłącznie charakter przeglądu dorobku studentów łódzkiej i warszawskiej PWSM. Była jeszcze dość skromna wykonawczo. Ale następne lata przyniosły stopniowe poszerzenie grona odtwórców — tak solistów, jak i zespołów. W 1972 r. śpiewali np. na recitalach Adela Winiarska i Zdzisław Krzywicki, wystąpił też zespół wokalny „Bel Canto" i orkiestra „Pro Musica". W r. 1973 dzieła klasyków prezentował (w ramach swego jubileuszowego, setnego wieczoru) Kwartet Wilanowski. W kolejnym roku popisywały się m. in. duety kameralne: Mirosław Ławrynowicz — skrzypce i Krystyna Makowska — fortepian a także wiolonczelista Stanisław Firlej grający wraz z pianistką Anną Wesołowską.

W programie koncertowym z r. 1975 czytamy: „... Prezentujemy więc w „Łowickich Dniach Muzyki" dużą różnorodność wykonawców i programów starając się przedstawić w ciągu tygodnia koncertowego przekrój muzyczny twórczości różnych epok. Kilkakrotnie już organizowana impreza okazała się społeczeństwu miasta potrzebna (...) Duże zainteresowanie i pomoc władz województwa, wspaniała atmosfera towarzysząca łowickiej imprezie, od lat ściągają na wiosnę do Łowicza młodych muzyków i zespoły, a z każdym rokiem wzrasta jej ranga artystyczna". Ów wzrost rangi artystycznej udokumentowany mógł być w tymże roku interesującymi produkcjami solistów (m. in. Włodzimierza Zalewskiego — bas, Jerzego Pelca — flet, skrzypka Stefana Czermaka) oraz zespołów (Capelli Cracoviensis, Polskiego Tria Renesansowego, Zespołu Pieśni Dawnej z Częstochowy, Warszawskiego Kwartetu Puzonowego).

Nie rezygnując z przedstawiania najmłodszych, wypływających dopiero na szersze wody muzyków (zdobywających niekiedy dopiero później większą popularność), organizatorzy zwiększali coraz wyraźniej udział znakomitych artystów profesjonalnych, gwarantujących niejako wiernym już imprezie melomanom bogate przeżycia estetyczne. Wymieńmy niektóre z nazwisk i zespołów pojawiających się na afiszach dalszych „Łowickich Dni Muzyki". Pianiści — Kiejstut Bacewicz i Tadeusz Chmielewski, skrzypkowie — Roman Lasocki i Lucyna Szczepańska, wiolonczelista Bernard Polok, śpiewacy — Magdalena Bojanowska i Michalina Growiec. Zespoły instrumentalne: „Fiori Musicali" z Bydgoszczy, Trio Krakowskie, Warszawski Kwintet Akordeonowy, Warszawski Sekstet Dęty. Chóry: „Ars Antiqua" z Warszawy, Cantores Minores Wratislavienses, Wrocławscy Madrygaliści. W ubiegłym roku (IX Dni Muzyki) wystąpiły już tylko renomowane zespoły (partie solistyczne realizowali zaś ich członkowie): Capella Cracoviensis, Warszawska Orgiestra Kameralna „Jeunesses Musicales", Łódzki Kwintet Akordeonowy, Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses, „Theatrum Antiquo Modo", kwartet smyczkowy „Varsovia", warszawski kwintet dęty „Da Camera", Zespół Pieśni Dawnej z Częstochowy.

Nie będzie więc jedynie kurtuazyjnym ukłonem w stronę organizatorów stwierdzenie (a oto dalsi organizatorzy poza SPMM: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach, Wojewódzki Dom Kultury w Skierniewicach, Urząd Miejski w Łowiczu, Muzeum Narodowe Oddział w Łowiczu i Nieborowie, Skierniewickie Towarzystwo Muzyczne, Ludowy Instytut Muzyczny — „Collegium Musicum"), że zauważalną cechą omawianej imprezy jest systematyczny wzrost poziomu artystycznego w dziedzinie wykonawczej. Rzut oka na minionych dziewięć lat potwierdza tę obserwację, przekonuje też, że „Dni" zyskują na atrakcyjności z innego jeszcze powodu. Otóż — co nie ulega kwestii — festiwal wyraźnie ewoluuje również w sensie treściowym, tematycznym, zmierza zdecydowanie w obranym nieprzypadkowo kierunku. Uwydatnia się coraz bardziej integralność, ideowa spójność łowickich prezentacji, krystalizuje się ich indywidualny kształt. Co stanowi ową wiodącą ideę? Co wpływa na wybór takich a nie innych form i gatunków tworzących program? Otóż — jak nietrudno się domyślić — ideę przewodnią tworzy muzyczny barok — dzieła powstałe w XVII i pierwszej połowie XVIII wieku m. in. właśnie tu, w Łowiczu, na użytek działających na tym terenie zespołów wokalnych i instrumentalnych. Świetne tradycje lokalne, badane skrupulatnie przez dr Maciejewskiego, ożywają dzięki zapoczątkowanym w 1979 r. wykonaniom „muzycznego baroku łowickiego", że przypomnimy inauguracyjny koncert IX „Dni.", na którym kompozycje Felkewica, Karwalskiego i Sarmantniego grała Capella Cracoviensis pod dyr. St. Gałońskiego. Takich prawykonań pozazdrościć mogą inne festiwale!

Na cóż warto jeszcze zwrócić uwagę? Chyba na to, iż specyficzny koloryt łowickich prezentacji wynika również z ich ścisłego powiązania z zabytkową architekturą. Głównym miejscem koncertów są barokowe (a jakże!) budowle: dawny gmach misjonarzy — obecnie siedziba Muzeum w Łowiczu, przepiękny pałac nieborowski, odrestaurowana ostatnio, bogata w wystroju Kolegiata. Dwa pierwsze obiekty projektował nb. jeden z najwybitniejszych architektów działających w Polsce w XVII w. — Tylman z Gameren, Holender z pochodzenia. Pracował on na zlecenie kardynała Michała Radziejowskiego, tego samego, który w swej rezydującej w Łowiczu kapeli zatrudniał włoskiego kompozytora Giovanniego B. Lupariniego z Florencji. Można chyba bez przesady powiedzieć, że w tej historycznej scenerii muzyka ujawnia swe szczególne powaby i przyciąga jakby ze zdwojoną siłą. A że przyciąga skutecznie — o tym świadczy znakomita na ogół frekwencja na koncertach. Także w skierwniewickim Pałacu Prymasowskim oraz Sali Resursy w Żyrardowie, które od 1977 r. objęto występami festiwalowymi.

Artystyczne i społeczne cele „Łowickich Dni Muzyki" są niewątpliwie dobrze realizowane. Chociaż... pomysłodawca, animator i artystyczny kierownik łowickiego festiwalu — Jarosław Stępowski (przewodniczący łódzkiego oddziału SPMM) — nie jest jeszcze w pełni zadowolony z dotychczasowej formuły. Rok temu uzyskał on aprobatę władz województwa skierniewickiego na dalsze wzbogacenie profilu „Łowickich Dni Muzyki". Co z tego wyniknie? No cóż, tegoroczny festiwal (23—26.V.) w całości poświęcony będzie barokowi, wystąpi szereg znakomitych solistów i zespołów (m. in. po raz pierwszy niemiecki „Löve-Quartet", wrocławska orkiestra kameralna „Leopoldinum", Zespół Kameralny Instrumentów Dętych PR i TV w Warszawie, orkiestra „Con Moto Ma Cantabile', prezentowana też będzie po raz pierwszy forma oratoryjna: „Weihnachts Oratorium" J. S. Bacha z udziałem orkiestry filharmonii częstochowskiej).

Impreza, o której piszemy, zajmuje już trwałą pozycję w kalendarzu krajowych inicjatyw kulturalnych. Wiele wskazuje na to, że zyska jeszcze na znaczeniu. Wypada chyba tylko na zakończenie zachęcić także i łódzkich melomanów do odwiedzenia Łowicza i skorzystania z tej ciekawej oferty artystycznej.

JANUSZ JANYST

ROMANTYCZNE I ZIELONE

W związku z zapytaniami Czytelników wyjaśniamy, że drukowane w poprzednich numerach dwa odcinki prozy Macieja Józefa Kononowicza pt. „ROMANTYCZNE I ZIELONE" są fragmentami powieści pod tym samym tytułem, która ukaże się wkrótce nakładem Instytutu Wydawniczego PAX.

DWA TYGODNIE W SIEDEM DNI

Tydzień przedzielony świętem to jakby dwa zminiaturyzowane tygodnie: dwa dni świąteczne, dwa przed i dwa poświąteczne. Taki rytm czasu z jednej strony, niby dekoncentruje tok naszych rutynowych działań, z drugiej, intensyfikuje je i przyspiesza. Pozorna to może dialektyka. Aby ją jakoś podeprzeć (naukowo) przydałby się choć jeden przypis z książki amerykańskiego (koniecznie) socjo-psychologa, tym bardziej, że od tego wstępnego uogólnienia chciałbym przejść na podwórko telewizji. A jak wiadomo, u nas o telewizji należy pisać odwołując się do amerykańskich książek, zwłaszcza kiedy mowa o pozytywnych (częściej negatywnych) skutkach wpływu programu TV na odbiorcę, głównie młodocianego. Mniejsza. Nie o tym ma być ten felieton.

Owym dwóm tygodniom w miniaturze, które przeżyliśmy w ciągu siedmiu dni, TVP pragnęła dotrzymać kroku. Jej program układa się wedle określonej amplitudy: początek tygodnia rozpoczyna się na ogół „w stanie niskim" (czasem podwyższa go poniedziałkowy teatr), stan ów podnosi się nieco w czwartek (bo oto kryminał dla szerokiej widowni, „Pegaz", „W minutę po premierze", niekiedy dobra „Premiera w dwójce", w piątek sięga dna („Studio Gama"), aby osiągnąć swój zenit w programie sobotnio-niedzielnym („Studio 2", „Studio 8", „Tylko w niedzielę"). Taka amplituda programowych atrakcji związana jest z oczywistym następstwem pracy i czasu wolnego odbiorców, choć oceniając ją z innej strony można by widzieć w niej przyczynę niejakiej inercji, łatwych przywyknień i nazbyt zakorzenionej tradycji. Na przykład, gdy układ kalendarza zmieni tok tygodnia (jak było to na przełomie kwietnia i maja), a na dodatek wprowadzi uroczyste, państwowe święto, telewizja dostaje zadyszki. Ucieka się wtedy do wzorów niby to od lat wypróbowanych. Dwuczęściowy film Jana Rybkowskiego „Album polski", bodaj od czasu swego powstania, rokrocznie obsługuje a to 1 Maja, a to Święto Odrodzenia. W tym roku spinał klamrą pierwszomajowe obchody. Podobnie ma się rzecz z filmami Jerzego Passendorfera. Nie inaczej z programami „Pieśni ludowej i folkloru", z tzw. „Koncertem 1-majowym". Rozumiem, że Święto Pracy jest swoistą tradycją o określonej randze. Nic przecież jednak nie przeszkadza, aby tę tradycję wzbogacać, dodawać nowe wartości, a nie powielać ją. Również i konwencja pochodu 1-majowego stwarza tyle wielorakich możliwości, że można byłoby wymagać od autorów transmisji telewizyjnej obrazu w pełni oddającego charakter tej masowej manifestacji.

Zadyszka o której mowa, przejawiła się i także w nieoczekiwanym nagromadzeniu audycji muzycznych. Czegoż i kogoż to można było posłuchać! I Renata Danel, i Kapela Czerniakowska, i Karel Gott (w trzech odcinkach), w sobotę aż dwukrotnie program „Na estradach świata", w którym rywalizował Michel Fugain i Big Bazar z zespołem Manfred Mann's Earthband, żeby wymienić tylko niektóre. Był przecież jeszcze „Wtorek melomana", Neville Marriner, rytmy Jerzego Milliana, madrygały Claudio Monteverdiego, Telewizyjny koncert życzeń muzyki poważnej i Koncert dyplomantów krakowskiej PWSM z Debussym i Brahmsem. Widać z tego wykazu (proszę sprawdzić, że niepełnego) jakąś konieczność intensyfikacji „planu przerobu" audycji muzycznych... Jedną z nich obejrzeliśmy nie bez przyjemności. Myślę tu o programie z Henrykiem Czyżem w roli gospodarza, który zainicjował nowy cykl „Co dalej laureacie?". Odpowiadała na to pytanie Ewa Podleś. Program był o tyle atrakcyjny, że może nazbyt bijący w oczy blask wschodzącej gwiazdy (tak to z primadonnami bywa) umiejętnie i taktownie tonował Henryk Czyż. Dzięki temu i gwiazda wypadła sympatycznie i brzęk licznych medali, zdobytych przez nią na konkursach, nie zagłuszył w ostatecznym efekcie muzyki.

Zakłócony porządek telewizyjnego tygodnia sprawił, że piątek stał się czwartkiem z „Pegazem" i Teatrem Sensacji, który był właśnie powrócił na małe ekrany. Po obejrzeniu sztuki (?) G. Coopera „Wieczór z nieznajomym" wielu z telewidzów najpewniej rzekło: „bodaj by nie wracał". Tym razem padło na Kraków. Wiadomo, solidna firma. Jednak zawiodła zaufanie nasze i Naczelnej Redakcji Teatru Faktu i Sensacji. Bo cóż to było. Obyczajowy obrazek konfliktów znudzonego sobą małżeństwa? Psychologia czy horror (zresztą urwany wpół gestu?). Wprawka aktorska czy reżyserskie ćwiczenie? Jak to się mawia — coś na kształt świdra. I aktorzy, choć wypróbowani, nie wiedzieli jak w tym wszystkim się znaleźć, zwłaszcza T. Huk — wariat-morderca, spragniony rodzinnego ciepła. Zresztą nie każdy może grać książkę telefoniczną, a tekst Coopera nawet się do literackich wartości dzieła Urzędu Poczt i Telekomunikacji nie umywał.

Z nowości programu TV warto zwrócić uwagę na niedzielny „Dzień Wrocławia". Początkowo myślałem, że jest ten zamysł odzewem na krytykowaną powszechnie centralizację programową TVP. Oto sądziłem, oddaje się ośrodkowi regionalnemu dziesięć godzin, aby mógł w pełni zaprezentować swoje telewizyjne działania. Okazuje się jednak, iż łatwiej przedstawić jest w TVP Dzień Syryjski (na przykład) niż „Dzień" miasta oddalonego od Warszawy o kilkaset kilometrów. Wrocław miał szczęście, bo obchodzi właśnie 35 rocznicę wyzwolenia. Okazja ta niestety zadecydowała o okazjonalności programu: w 3/4 to powtórki („Prawo i pięść" — równie dobrze nadaje się do „Dnia Zielonej Góry", „Zobaczymy się w niedzielę", „Salome", „Rzeźby mistrza Piotra", „Sprawa", „Kosa"). Ale nie narzekajmy. Może ów „Dzień Wrocławia" będzie początkiem kolejnych „Dni" innych ośrodków?

GRZEGORZ GAZDA

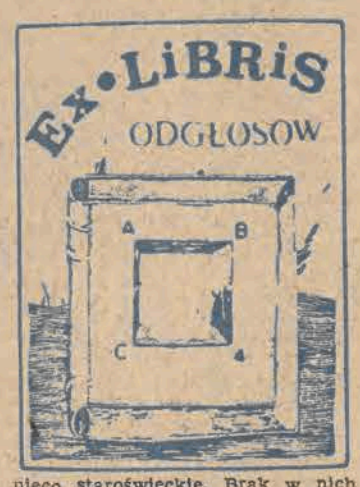

MYŚLIWSKIE OPOWIEŚCI

Kiedy zobaczyłam w księgarni książkę Edwarda Kopczyńskiego „Myśliwskie opowieści", byłam bardzo zdumiona faktem, iż nie ukazała się ona dawno, kilka lat temu. Namiętność Edwarda Kopczyńskiego jest tak szeroko znana że fakt pojawienia się literackiej wersji jego przygód stał się czymś naturalnym.

Książeczka jest niewielka, zawiera osiem krótkich opowiadań. Pierwsze wrażenie, jakie nasunęło mi się w trakcie czytania tych uroczych opowieści, to to, że są one nieco staroświeckie. Brak w nich jakiejkolwiek cywilizacji, tylko ludzie, lasy i zwierzęta. Bohaterami są wspaniali mężczyźni w pięknych, barwnych strojach, świetnie posługujący się bronią, używający soczystego i obrazowego języka, na dokładkę — mają świetne maniery. To pierwsze wrażenie potęguje jeszcze sposób narracji i umiejętnie prowadzona akcja. Wszystko toczy się lekko, wolno, na tle malowniczo opisanych i nie skażonych cywilizacją lasów, pól i zagajników. Dla współczesnego czytelnika, mieszkającego najczęściej w zadymionych miastach, gdzie rytm życia wyznacza zegar, pędzących w pogoni za straconym dniem, oglądających las nieco zakurzony i zaśmiecony w krótkich chwilach wytchnienia, a zwierzęta jedynie w telewizji, kinie, albo albumach, lekturą „Opowieści" jest prawdziwym wypoczynkiem, a jednocześnie niezła porcją wiedzy na temat naszego coraz częściej już skażonego środowiska. A ponieważ książka wyniknęła z prawdziwej pasji i miłości autora do myślistwa i przyrody, czyta się ją z prawdziwą przyjemnością.

We wszystkich opowiadaniach narrator występuje w pierwszej osobie, a więc jest jednocześnie osobą działającą. I gdyby była to zawsze ta sama osoba, książka nabrałaby większej autentyczności. Natomiast, gdy bohater raz jest lekarzem, raz inżynierem, w jednym opowiadaniu człowiekiem schorowanym, a w innym młodym mężczyzną, doznajemy wrażenia, jakby całość kompozycyjna nie była dość spójna.

Książka wydana została przez KAW, w ładnej oprawie graficznej, sporo zastrzeżeń budzi jakość fotografii. Są one tak nieostre i rozmazane, że trzeba się domyślać często, co na nich jest.

Edward Kopczyński, „Myśliwskie opowieści". KAW, Łódź 1980, str. 78, cena zł 15.—

CYRK FANTASMAGORIA. ZWIERCIADEŁKA

Od wielu już lat, nie tylko u nas, ale na całym świecie, rynek wydawniczy cierpi na brak dobrej literatury dziecięcej. Wykorzystuje się po raz któryś tam z rzędu poczciwego Brzechwę i Makuszyńskiego, natomiast coraz trudniej o nowe utwory, które autentycznie zainteresowałyby dzieci. Tym cenniejsza wydaje się więc inicjatywa KAW wydawania literatury dziecięcej, pisanej przez autorów nie zawsze piszących jedynie utwory dziecięce.

I w tym cyklu szczególnie chciałabym polecić dwie książeczki łódzkich twórców, które ukazały się ostatnio. Są to Mariana Miszalskiego „Cyrk Fantasmagoria" i Tadeusza Gicgiera „Zwierciadełka. Fraszki szkolne, harcerskie sportowe".

Marian Miszalski debiutuje tą książką jako pisarz dziecięcy. Jest to debiut bardzo udany. Opowieść o cyrku, napisana ładnym, prostym, nie pozbawionym humoru językiem, na pewno spodoba się dzieciom. Sympatyczni ludzie i zwierzęta, zabawne sytuacje, wszystko postawione trochę na głowie i nieco nierealne (tak, jak w prawdziwym cyrku), do tego cała oprawa, na poły podniosła na poły komiczna sprawiają, że „Cyrk Fantasmagoria" jest jednocześnie realny i baśniowy. To pomieszanie odpowiada psychice dzieci, które są bardzo realistyczne i konkretne i cała ich wyobraźnia opiera się na drobiazgowej obserwacji rzeczywistości. Historyjka o wydarzeniach cyrkowych jest kanwą, do której Miszalski wplata odrobinę dydaktyzmu: odwołuje się do opinii rodziców, poleca dzieciom naukę różnych czynności, chodzenie do przedszkola, itd. — ale zrobione jest to w ładnej formie i w sposób nie wzbudzający u dzieci sprzeciwu. Przy okazji charakteryzowania zwierząt autor wytknął także niektóre przywary czeste u dzieci.

Na koniec słówko o wyglądzie graficznym książeczki. Ilustracje są autorstwa Marka Iwańskiego i urzekają barwnością, humorem, ruchem. Do tego dodać należy staranne wykonanie typograficzne i mamy udaną, godną polecenia całość.

„Zwierciadełka" Tadeusza Gicgiera, to, jak sam tytuł wskazuje, zbiór fraszek szkolnych, harcerskich i sportowych. Część z nich drukowaliśmy okazjonalnie w „Odgłosach". I o ile w niewielkiej ilości, w gazecie, były udane, to tutaj, w takim zagęszczeniu i w takiej ilości ginie nieco ich dowcip, ciętość i ostrość. Tym niemniej wiele z nich na pewno zyska popularność wśród młodzieży, wiele z nich wykorzystanych zostanie niewątpliwie podczas letnich ognisk i wieczornic, trafnie bowiem charakteryzują uczniowską rzeczywistość, szkolne kłopoty i problemy.

Marian Miszalski, „Cyrk Fantasmagoria", KAW, Łódź 1979, str. 35, cena zł 16.—

Tadeusz Gicgier, „Zwierciadełka. Fraszki szkolne, harcerskie, sportowe", KAW, Łódź 1979, str. 39, cena zł 10.—

GRAŻYNA SZYPOWSKA

Ciąg dalszy ze str. 1

Nadany w telewizji zachodnioniemieckiej 31 sierpnia, a więc w przeddzień kolejnej rocznicy Września. Od roku pisałem o zbrodniach hitlerowskich, korzystając przede wszystkim z akt toczących się procesów oprawców z III Rzeszy. Przebywając w salach sądowych i obserwując przebieg toczących się przewodów, stykałem się z historią, której mnie i mojej generacji nie było dane przeżyć. Jednakże tej historii prawie dotykałem ręką. Słuchałem wstrząsających zeznań świadków, oglądałem dokumentalne zdjęcia będące kolejnymi dowodami popełnionych zbrodni. Widziałem, jak siedemdziesięcio-, osiemdziesięcioletni staruszkowie na pytanie: czy świadek rozpoznaje?, odpowiadali: tak, rozpoznaję... A następnie drżącą ręką wskazywali oskarżonego.

Widziałem, jak wcześniej, ci z ławy oskarżonych b[illegible] śledztwa. Świadkowie otrzymywali kilkanaście zdjęć, wśród których było TO i trafiali bezbłędnie. Potem jeszcze szereg konfrontacji. I znowu bezbłędnie wskazywali.

Słyszałem w trakcie procesów szlochanie ludzi dorosłych, widziałem łzy w oczach młodych. I myślałem, że II wojna światowa pojęcie faszyzmu zdyskredytowała doszczętnie, a ruch w stylu *nazi* — pomimo dochodzących do mnie informacji o podnoszących głowy neohitlerowcach — raz na zawsze zostanie wyrugowany z naszych codziennych myśli.

I wtedy zobaczyłem te *dzielne* grupy maszerujące w tamtym stylu, bezpieczne, niezagrożone, ba, ochraniane przez policję — jak za dawnych lat. Stwierdziłem, że idea *nazi* nie tylko żyje, odradza się, ale i przybiera na sile, mocno ugruntowując swoją pozycję w świadomości zachodnioniemieckiego społeczeństwa. W telewizji zaprezentowano szeroką paletę ugrupowań młodzieżowo-faszystowskich, liczących od kilkuset do kilku tysięcy członków. Zobaczyłem sale wykładowe, w których otrzymują solidną porcję narodowosocjalistycznej ideologii, udekorowane portretami Hitlera i odsiadującego wyrok w dzielnicy Berlina Zachodniego — Spandau — Rudolfa Hessa, którego jeden z młodych nazistów określił w wywiadzie dla telewizji jako *największego bojownika o pokój*.

Na własne oczy zobaczyłem ich w styczniu 1979 roku, w czasie, gdy zachodnioniemiecka telewizja wyświetlała odcinkowy amerykański film *Holocaust*, o zbrodniach popełnionych na Żydach. Neofaszyści zorganizowali wtedy manifestację pod hasłem *sprawiedliwości dla Adolfa Hitlera*. Ubrani w czarne koszule, kaski i wysokie buty, nieśli makiety oślich łbów i transparenty z napisami: *Jestem osłem, nadal wierzę, że Żydzi byli gazowani w Oświęcimiu*.

W pierwszym numerze *Sterna* z 1980 roku przeczytałem o działającej w RFN od roku 1974 *Wehrsportgruppe Hoffman, Sturm 7 — grupie sportu obronnego*, nawiązującej nazwą *Sturm* do nomenklatury SS. Członkowie grupy, mającej siedzibę na zamku Ermreuth koło Norymbergi, są umundurowani w uniformy SS, a jakże — z trupimi główkami a uzbrojeni nie tylko w broń osobistą, ale i w 2-tonowy czołg, sprawne działko przeciwlotnicze. Lista sprzętu, którym dysponują, jest dłuższa: wojskowy jeep i kilka motocykli, miny, granaty, aparatura do nurkowania. Do tego popiersie Hitlera, zdjęcia Rommla i Rudla, szeroki zestaw literatury hitlerowskiej... Na dziedzińcu zamkowym przeprowadzają ćwiczenia. Wszystko w tamtym stylu:

— *Heil Hoffman* — wrzeszczą.

— *Kim jesteśmy?* — pyta wtedy ich wódz, Karl-Heinz Hoffman, który na co dzień twierdzi że „Europę trzeba na nowo uporządkować".

— *Grenadierami Europy.*

— *O co walczymy?*

— *O zwycięstwo ruchu!*

— *Kto naszym wrogiem?*

— *Bolszewizm i kapitał!*

I dalej już wszyscy razem: *Młody naród powstaje gotowy do szturmu. W górę sztandar, kamraci...*

I teraz, gdy patrzę na te napisy, myślę o nich, także o zbliżającym się maju... Aryjskość, humor, cechy nordyckie zostały im przekazane i — pomimo klęski — zostali wyposażeni w mistycyzm, posłannictwo i misję dziejową, uzurpując sobie realizację *Drang nach Osten*. Już teraz ich wystąpienia są gwałtowne, brutalne, a z czasem ich charakter jest coraz bardziej antydemokratyczny i antysemicki...

Deputowany socjaldemokrata Heinz Pensky: *Podczas gdy policja i Urząd Ochrony Konstytucji angażują wszystkie swoje siły do walki z ekstremizmem lewicowym, grupy neofaszystowskie potajemnie rozbudowują swoje arsenały...* I jeszcze minister sprawiedliwości, Vogel, w wystąpieniu do socjaldemokratów. *Intensywne uzbrajanie się, jakie obserwujemy obecnie w kołach neofaszystów, powinno być rozumiane w następujący sposób: w szeregach prawicowych ekstremistów są ludzie zdecydowani nie cofnąć się przed morderstwem...* Chciałoby się powiedzieć: panie ministrze, a jak wygląda pańskie podwórko? Czy pan nie wie, że Związek Antyfaszystów RFN (VVN) wniósł w br. do prokuratury generalnej RFN skargę na wspomnianego już K-H. Hoffmana? I że prokuratura odmówiła wszczęcia śledztwa twierdząc, że grupa nie popełniła żadnych przestępstw karnych, których ściganie leży w kompetencji prokuratury generalnej? Dlaczego pan, panie ministrze, nie interweniował?

I teraz nadchodził maj... Kolejny maj. Jaki będzie maj w Berlinie Zachodnim czy nad Renem? Czy znowu odbędą się *Dni Ojczyzny* organizowane przez odwetowe związki przesiedleńcze pod hasłem *praw człowieka również dla Niemców*, tak, jak co roku we wrześniu — miesiącu dla nas najbardziej bolesnym? Czy odwetowcy spod znaku Hupki i Czai będą znów wygłaszać prowokacyjne przemówienia i śpiewać rewizjonistyczne pieśni, wspominając Breslau, Danzig, Posen, Krakau — *prastare niemieckie miasta*? Czy znowu Hupka, który został ponownie szefem *Ziomkostwa Ślązaków*, i którego od polakożerczej strony przedstawiać nie trzeba — wygłosi napastliwe przemówienie przeciwko dialogowi Polska — RFN i postępującemu procesowi normalizacji, oskarżając przy tym oczywiście rząd bońskí o *brak odwagi dla prawdy*? Żądając przedstawiania w podręcznikach szkolnych granic Rzeszy Niemieckiej z 1937 roku?

Jak wyglądała ubiegłoroczna, 34 rocznica upadku III Rzeszy. Ten dzień w kraju nad Renem niczym się nie wyróżniał. Normalny, roboczy dzień. W telewizji cicho, w radio — też. Bez najmniejszego publicystycznego czy dokumentalnego echa w środkach masowego przekazu. Wyłom w prasie zrobiła tylko *Unsere Zeit*, organ Komunistycznej Partii Niemiec. Kurt Bachman pisał w artykule wstępnym: *Od dziewięciu lat mamy korzystny układ z ZSRR, nieco krocej — podobne z Polską i NRD. W układach tych zarówno istniejące granice jak i stosunki powojenne uznane zostały za nienaruszalne dziś i w przyszłości.* I to był jedyny głos. Jednak o spotkaniach i mityngach, które odbywały się w dniach następnych prasa pisała szeroko. O obradującej 11—12 maja 1979 roku w Bonn federalnej konferencji delegatów *unii wypędzonych i uciekinierów w CDU/CSU*, o odbytym w Münster *wielkim federalnym spotkaniu* ziomkostwa *Wisła-Warta*, o takimż samym w Düsseldorfie, o obchodach 30-lecia *Górnoślązaków*. Ta impreza odbywa się zresztą od 16 lat pod opiekuńczymi skrzydłami rządu krajowego Nadrenii-Westfalii. Miasto Arolsen z tego landu gościło 500-osobową grupę byłych SS-manów z 3 dywizji pancernej *Totenkopf*, zaś 25 maja członków samopomocowej organizacji Waffen SS (Hilfsgemeinschaft auf Gegenseitigkeit e. HIAG), do której należy 40 tysięcy byłych SS-manów. To przecież rzecznik HIAG, Karl Weibel, we wrześniu 1976 roku w Würzburgu oświadczył: *Nigdy nie będziemy się wstydzili tego, co zrobiliśmy w minionej wojnie...* Zresztą popatrzmy:

Arolsen. Byli SS-mani maszerują spod barokowej rezydencji książąt Waldeck i Pyrmot w kierunku grobów poległych towarzyszy. Wokół nich rozlega się bicie dzwonów i muzyka orkiestry dętej. Po blisko czterdziestu latach od wybuchu a 35 od zakończenia wojny obchodzą uroczyście *powrót swojej dywizji w rejon uformowania i przygotowania przed kampanią francuską*. Po nich maszerują członkowie korpusu pancernego *Grossdeutschland* i formacji *Brandenburg*... Taka uroczystość jest powtarzana co roku...

I tak dalej, i tak dalej, przez cały rok. Nadszedł wrzesień 1979 roku. Oto niektóre momenty z wrześniowych rozmyślań nad Renem.

Helmut Schmidt, w telewizyjnym wystąpieniu w dniu 1 września: *Przed czterdziestu laty Hitler rozpętał w imieniu Niemców II wojnę światową. Trwała ona prawie sześć lat, zabito 55 mln ludzi. Doszło do niesłychanych zbrodni. Na koniec podzielono Niemcy. II wojna zaczęła się od niemieckiej napaści na Polskę, co zapoczątkowało najstraszliwszy rozdział w długiej historii cierpień narodu polskiego. Cele wojenne Hitlera wybiegały daleko poza dotychczas wyobrażalne cele polityki imperialistycznej. Chciał on zdobyć bądź uczynić z nich niewolników niemieckich panów... Wojna przeciwko Europie, która w wyniku niemieckiej napaści na ZSRR i przez wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym stała się wojną światową, ta wojna Hitlera stała się w końcu wojną przeciwko Niemcom...* Dla Schmidta niewyobrażalne jest, *by mogły kiedyś powrócić w niemieckie posiadanie ziemie, które dzisiaj nie są już więcej zasiedlone przez Niemców...*

Herbert Wehner, szef frakcji parlamentarnej SPD w Bundestagu, na łamach *Augsburger Allgemeine Zeitung: Uroczyste deklaracje z okazji 1 września będą mało warte, jeśli wszyscy nie podejmiemy uporczywie i za pomocą konkretnych własnych kroków starań o wniesienie wkładu w pogłębienie odprężenia...* I dalej: *Niemcy nie mogą się rozgrzeszać z cierpień, które w ich imieniu zadano niezliczonej liczbie ludzi. Niemcy mają szczególne zobowiązanie, jeżeli chodzi o zabezpieczenie pokoju.*

Minister obrony, Hans Appel. *Polityka wschodnia ostatnich dziewięciu lat była dawno już potrzebną konsekwencją naszej winy, popełnionej przed 40 laty w postaci polityki stosowania przemocy...* Jednocześnie minister wykorzystuje rocznicę jako okazję do opublikowania *białej księgi* anonsującej nowe zbrojenia Bundeswehry... Dorzucić można byłoby kilka pozytywnych wypowiedzi i na tym już je zakończyć... Bo oto wkroczyli już następni:

Prezydent RFN, Karl Carstens, który w wieku 23 lat był członkiem NSDAP, w orędziu swoim wspomniał, że agresja była sprawą tylko Wehrmachtu. Nie wspomniał jednak dokładnie, kto na kogo napadł. Nadmienił, że większość żołnierzy wierzyła, że walczą za ojczyznę i wiedziała, lub domyślała się jednak, że równocześnie utrzymuje przy życiu niesprawiedliwy system. I na końcu wystąpienia wymowne. *Myślę jednak, że nie powinniśmy tak patrzeć jedynie na nasz kraj. Świat pełen jest również dzisiaj aktów przemocy...*

Przewodniczący CDU, Helmut Kohl, też zabrał głos: *Nic nie godzi bardziej w Niemców, niż oskarżenie, że nie odżegnali się na zawsze od hitlerowskiej ideologii przemocy.*

Strauss z kolei przypomniał w tych dniach, na marginesie sporu o ustawę podatkową, że pojęciem *kraj* należy rozumieć Niemcy w granicach z 1937 roku...

W prasie zaś było wiele perfidnych kłamstw, oskarżeń, insynuacji. Przytoczę tylko niektóre z nich. 31 sierpnia 1979 roku stacja telewizyjna Südwestfunk w Stuttgarcie nadała audycję pt. *Ciągle słyszy się tylko o zbrodniach wojennych.* Tytuł można zostawić bez komentarza. Zaś *Der Spiegel* napisał o czterodniowym seminarium na temat nazizmu, w czasie którego *30 młodych ludzi zapoznano także z rozdziałem, który był tabu w historii Niemiec, a mianowicie z okrucieństwami popełnionymi na ludności niemieckiej na terenach za Odrą i Nysą... National-Zeitung* w numerze z 31 sierpnia daje tytuł na pierwszej stronie: *Oto, jak naprawdę doszło do wybuchu II wojny światowej, polskie masowe zbrodnie na narodzie niemieckim — jak Hitler chciał zapobiec wojnie — teraz prawda wypływa na wierzch...* Prawicowa *Frankfurter Allgemeine Zeitung: Jest nie tylko fałszywe i niebezpieczne zmuszać Niemców w latach 80 do roztrząsania ich części winy w rozpętaniu wojny, gdyż to na długą metę mogłoby prowadzić do psychicznej deformacji.* I dalej: *Naród niemiecki w jego powojennych generacjach nie jest zobowiązany do samoudręki, tylko do znoszenia z pewną godnością wielkich ciężarów, jakie wynikły z wojny...* FAZ zamieściła także relację dwu dyplomatów brytyjskich z podróży do Polski, latem 1939 roku. Stwierdzili oni rzekomo, że Polska posiadała zaborcze plany wobec Niemiec, że pragnęła przyłączenia Prus Wschodnich i przesunięcia granicy na zachód. A także, że w wypadku wojny ludność niemiecka zamieszkała w Polsce, miała być wymordowana. Chociaż pismo nie formułuje konkluzji, intencje są jasne...

Po wrześniu napisałem: *Nie byłbym obiektywny, gdybym nie wymienił pierwszych od lat cech zwiększonego zainteresowania społeczeństwa zachodnioniemieckiego okolicznościami wybuchu wojny i wynikającymi z niej wnioskami. Dużą rolę odegrały tu prasa, radio, telewizja. Nie stanowiło to jednak liczącej się przeciwwagi dla nurtu zapomnienia lub stawiania historii na opak.*

Mijały miesiące, ubarwione rewizjonistycznymi wystąpieniami i wzmożoną aktywnością także grup neofaszystowskich...

Tuż przed 35 rocznicą zakończenia wojny Erwin Schoenborn zakłada we Frankfurcie nad Menem kolejną w RFN neonazistowską partię. Jej nazwa brzmi — o ironio — Narodowosocjalistyczna Demokratyczna Partia Robotnicza, czyli po prostu NSDAP! Jej szef kierował poprzednio *Bojowym związkiem niemieckich żołnierzy* i za działalność propagującą nazizm odpowiadał przed sądem, który nie wydał jednak, i tym razem, skazującego wyroku...

I w tym duchu do 35 rocznicy zakończenia wojny zbliża się nad Renem młodzież. Cóż oni mogą o tej wojnie powiedzieć? Dla nas, Polaków, wojna ta tworzyła najbardziej tragiczny rozdział w historii Polski; wiemy także, że i świata. Jednocześnie wytworzyła u nas dumę z postawy naszych ojców i matek, ich bohaterstwa i ofiarności... Tam, za Łabą, z niemiecką dokładnością rewizjonistyczne i neofaszystowskie ugrupowania czy nawet ministerstwa oświaty w niektórych landach, wpajają młodzieży dumę z postawy ich ojców — dzielnych rycerzy Września, uwalniając w ten sposób młodzież od *wschodnich fałszów.*

Idą dalej: uwalniają od prawdy o Westerplatte, Warszawie, Majdanku, Łambinowicach, Treblince, Sobiborze... *Uczniowie szkół niemieckich niewiele lub zgoła nic nie wiedzą na temat przyczyn i źródeł hitleryzmu* — to zdanie z konferencji we Frankfurcie, zorganizowanej przez Związek Zawodowy Pracowników Wychowania i Nauki (GEW). Profesor Fischer: *Szkoła zawiodła w tej dziedzinie, a winę za to ponoszą także podręczniki szkolne, w których jest bardzo niewiele lub zgoła nic na temat narodowego socjalizmu. Istnieją w nich nadal sformułowania będące pozostałością okresu „zimnej wojny", kiedy stawiano znak równości między faszyzmem a komunizmem.*

Dzieje się tak z woli oficjalnych organów państwowych i nie trzeba oglądać murów z neonazistowskimi napisami, maszerujących bezpiecznie grup, żeby to stwierdzić. W 1980 roku młodzież może kupić *Mein Kampf* z woli Trybunału Konstytucyjnego, który orzekł, że jej sprzedaż nie koliduje z prawem. I do woli oglądać może swastykę (na okładce) i Führera (w środku). Rząd Dolnej Saksonii wyraził zgodę na rozprowadzenie w szkołach tego landu podręcznika z reprodukowanymi w środku hackenkreuzami... W szkołach hanzeatyckiej Bremy, za zgodą władz resortu spraw wewnętrznych, rozprowadza się wśród uczniów obszerną ankietę o jednoznacznie faszystowskiej treści... Brak prawdy w podręcznikach szkolnych lub pomijanie wielu faktów, brak odpowiedniej pracy wychowawczej w szkołach, którym towarzyszą inne negatywne zjawiska społeczne — wszystko to wytwarza klimat sprzyjający neonazistom. Przychodzą im z pomocą wydawnictwa, publikując książki, drukując płyty i filmy z pieśniami i przemówieniami Hitlera. W tym klimacie wytwarza się w świadomości młodzieży obraz nieudanej przeszłości, w tym także spojrzenie na minioną wojnę...

Znakomicie tę sytuację określił młody historyk Karl-Heinz Janssen: *Elementy śladowe pięćdziesięcioletniej epoki imperialistycznej można jeszcze spotkać tu i tam w państwie (RFN — przyp. W.O.) i społeczeństwie. Należy na nie baczyć.*

WACŁAW OPACKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

Dwudniowe spotkanie w Paryżu przedstawicieli partii komunistycznych i robotniczych Europy, które odbyło się z inicjatywy FPK i PZPR, zakończone zostało przyjęciem apelu do narodów naszego kontynentu w obronie pokoju. Czytamy w nim m.in.:

„Środki zniszczenia i śmierci nagromadzone, bądź wycelowane w nasz, tak gęsto zaludniony kontynent, stanowią wielkie zagrożenie naszego wspólnego losu...

Wielki uszczerbek w sprawie pokoju i odprężenia, w sprawie wzajemnego zaufania i współpracy międzynarodowej wyrządzają również rozpętane ostatnio kampanie psychozy wojennej...

Planuje się zainstalowanie w samym sercu Europy nowych arsenałów nuklearnych, zamierza się zniszczyć dorobek odprężenia..."

I dalej:

„My, komuniści, jesteśmy bez reszty oddani sprawie pokoju, pragniemy rozbrojenia, współpracy i przyjaźni między narodami. Dlatego głosimy: pokój jest naszą wspólną sprawą i nasze wspólne działanie zapewni jego zwycięstwo".

Apel nawołuje do wspólnego działania na rzecz: anulowania lub faktycznego zawieszenia realizacji grudniowych decyzji NATO, jak najszybszej ratyfikacji układu SALT II, zdecydowanego postępu w rokowaniach wiedeńskich, odbycia w br. w Madrycie spotkania sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE, zwołania w Warszawie konferencji europejskiej w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia, praktycznej realizacji postanowień specjalnej sesji rozbrojeniowej ONZ oraz przeznaczania środków zaoszczędzonych na zbrojeniach na potrzeby rozwoju i zwalczania głodu. **Walka o rozbrojenie jest dziś najważniejszym zadaniem i wszystkie siły pokojowe powinny zjednoczyć się w tym celu.**

Spotkanie reprezentantów 22 partii (przy udziale obserwatorów dwóch dalszych) jest wydarzeniem o dużej doniosłości. Komuniści, zatroskani rozwojem sytuacji międzynarodowej, stają znów w pierwszym szeregu rzeczników utrzymania i rozwijania procesu odprężenia między państwami, przerwania wyścigu zbrojeń i podjęcia konkretnych kroków rozbrojeniowych, rozbudowy na naszym kontynencie struktur pokoju.

W ostatnich miesiącach sytuacja, jak wiemy, ewoluowała niekorzystnie, doszło do zakłócenia stosunków między USA i ZSRR wskutek antyodprężeniowych działań Waszyngtonu. Szczególnie niebezpieczne jest przyśpieszone rozwijanie zbrojeń, dążenie do osiągnięcia przez USA przewagi militarnej. Prowadzi to do wzrostu zagrożenia w Europie, której pozycja w świecie jest szczególna: zawsze była ona najbardziej eksplodującym regionem, jest wciąż centrum polityki światowej i w życiu międzynarodowym odgrywa rolę decydującą. **Stąd może więc i powinien promieniować przykład pewnej i stale rozwijającej się pokojowej współpracy między państwami.**

* * *

Zgoła innym wydarzeniem tygodnia, ale także szeroko komentowanym przez prasę, była **dymisja amerykańskiego sekretarza stanu — C. Vance'a.** Jako motyw swej rezygnacji podał on w liście do prezydenta Cartera decyzję o próbie uwolnienia siłą zakładników amerykańskich w Iranie. „Nie byłoby dobrze — stwierdził tamże — gdybym w najbliższym czasie i w najbliższych miesiącach pracował z panem, nie mogąc panu ofiarować swego poparcia w sprawie decyzji o wyjątkowym znaczeniu".

Komentatorzy agencyjni podkreślają, że różnice zdań między prezydentem, a sekretarzem stanu, utrzymywały się od dłuższego czasu; stwierdzają też, że dymisja ta jest dużą porażką Cartera i wywrze „bardzo złe skutki na pozycję obecnej administracji, szczególnie w Europie"; piszą, że Vance jest politykiem dalekowzrocznym i zawsze usiłował hamować USA przed awanturniczymi akcjami.

Czy odejście Vance'a — zastanawiali się publicyści amerykańscy — musi oznaczać automatyczne zwycięstwo jego przeciwników? I odpowiadali: może stać się wręcz odwrotnie, ponieważ ten fakt wywołał pewien szok i wzmógł krytykę, z czego może się wykluć jakiś rozsądny kompromis.

Dziś już wiemy — Vance'a zastąpi **66-letni senator Edmund Muskie,** którego ojciec był Polakiem i w 1903 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Obecny sekretarz stanu był pierwszym gubernatorem w USA polskiego pochodzenia, polityką zajmuje się od 30 lat i w 1968 roku kandydował na wiceprezydenta. — Muskie — pisze o nim prasa amerykańska — ustrzegł się w swej długiej karierze ekstremizmów, zachował opinię polityka umiarkowanego, wyważonego i rozsądnego, jest zwolennikiem dialogu jako instrumentu polityki.

Czy oceny te są prawdziwe — będzie się można przekonać. Na razie dodajmy tylko to, że zmiany na stanowisku sekretarza stanu w następstwie dymisji zdarzały się w USA rzadko — tym bardziej na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi.

W. SŁAWSKI

GENETYKA Z PRZYSZŁOŚCIĄ

Biologia wkracza w swój złoty wiek. Przyczyniają się do tego najnowsze odkrycia w dziedzinie genetyki, otwierające oszałamiające perspektywy nie tylko przed nauką, lecz także mające praktyczne zastosowanie w najrozmaitszych dziedzinach — od medycyny do gospodarki. Oto, co pisze na ten temat amerykański tygodnik NEWSWEEK.

Naukowcy nazywają to „tworzeniem biologicznie funkcjonalnych plazmidów bakteryjnych in vitro". Dla laika jest to równoznaczne z tworzeniem nowych form życia. Technika zwana popularnie modelowaniem DNA ma dopiero 7 lat, lecz należy już prawie do praktyki dnia codziennego. **W laboratoriach na całym świecie biologowie pobierają geny z jednych organizmów i przenoszą je do innych.** W ten sposób udało się już „zaprogramować" bakterie do wytwarzania insuliny ludzkiej i kilku innych hormonów. A to dopiero początek. **Któregoś dnia bakterie staną się żywymi fabrykami produkującymi wielkie ilości ważnych dla medycyny substancji, w tym surowic i szczepionek, służących do zwalczania różnych chorób — od zapalenia wątroby i raka — do zwykłego przeziębienia.** Wszystko, co jest zbudowane z białka, będzie do wytworzenia w nieograniczonych ilościach w ciągu najbliższych 15 lat.

Wpływ inżynierii genetycznej na gospodarkę światową jest porównywalny z niedawną rewolucją w mikroelektronice. **Organizmy jednokomórkowe mogą dostarczać protein, których źródłem jest obecnie bydło, co może przyczynić się do złagodzenia kryzysu żywnościowego. Genetycznie zaprogramowane bakterie mogą usuwać rozlewiska ropy naftowej i wykrywać rzadkie minerały w ziemi.** Był już złoty wiek chemii i fizyki, obecnie nadeszła kolej biologii.

W sensie czysto naukowym modyfikowanie DNA stanowi najważniejszy krok w dziedzinie genetyki od czasu jak **James Watson** i **Francis Crick** odkryli w 1953 roku podwójną spiralę DNA (co przyniosło im Nagrodę Nobla — przyp. red.). Technika ta umożliwi uczonym zidentyfikowanie każdego ze 100 tys. genów komórki ludzkiej. **Wiedza ta może być wykorzystana do zastępowania genów z defektem genami zdrowymi i pokonania takich chorób dziedzicznych, jak hemofilia czy niektóre rodzaje anemii.** Technika łączenia DNA nie tylko pozwoli zrozumieć etiologię chorób dziedzicznych i raka, lecz także zrozumieć się przez nas samych.

Wszystkie rewolucje naukowe — od Galileusza do rozbicia atomu — wzbudzały falę namiętności. Doświadczenia z DNA nie są wyjątkiem. Od samego początku tych badań laicy zastanawiali się, czy uczeni nie posunęli się za daleko mieszając geny, które natura przeznaczyła do życia osobno. Sami naukowcy pierwsi wpadli w popłoch. Przestraszyli się, że bakteria zawierająca szkodliwe geny może „uciec" z laboratorium, rozprzestrzenić się na Ziemi i w ten sposób człowiek sam wywoła plagę o nieznanych dotychczas skutkach.

Pod wpływem tego rodzaju wyobrażeń uczeni sami narzucili sobie moratorium na doświadczenia z DNA. Do realizacji szerszych programów badawczych przystąpiono dopiero w 1976 r., kiedy amerykański Krajowy Instytut Zdrowia (NIH) opracował zasady bezpieczeństwa w laboratoriach. Na szczęście, jak dotychczas, nie stało się nic złego i większość naukowców doszła do wniosku że ich najgorsze obawy były nieuzasadnione. W styczniu br. NIH złagodził wymogi bezpieczeństwa, aby ułatwić prace badawcze.

Obecnie uczeni mają inne kłopoty. Obawiają się, by perspektywy ekonomiczne badań nad łączeniem DNA nie skaziły czysto naukowych celów tej dziedziny wiedzy. Boją się, że patenty mogą się stać tak samo pożądane jak nagrody Nobla. Pewien kalifornijski uczony został w ub. roku oskarżony przez kolegów uniwersyteckich o dostarczenie pewnej firmie komercjalnej chemikaliów niezbędnych w badaniach techniki modelowania DNA. Z powodu takich incydentów uczeni martwią się, że tradycyjna w nauce swobodna wymiana informacji ustąpi miejsca zwyczajowi strzeżenia notatników i zamykania szuflad. Kiedy do laboratoriów popłyną miliony dolarów uczeni przestaną być nagle uczonymi.

Już dawniej między nauką a produkcją dochodziło do porozumień w stylu umowy Fausta z szatanem. Lecz w tej transakcji przedmiotem handlu jest ni mniej ni więcej, tylko chemiczny wzorzec życia — gen. **Formę i funkcje każdej rośliny i każdego zwierzęcia determinują komórki kwasu dezoksyrybonukleinowego (DNA), ułożone w słynną podwójną spiralę opisaną przez Watsona i Cricka.** Kiedy następuje podział komórki, DNA dzieli się również, przekazując swe genetyczne dziedzictwo następnym generacjom komórek. DNA steruje też wytwarzaniem przez komórkę protein niezbędnych do wykonywania funkcji życiowych, w tym hormonów (jak insulina), przeciwciał służących do zwalczania chorób, hemoglobiny transportującej tlen i enzymów, kierujących przebiegiem reakcji chemicznych.

DNA przypomina drabinę skręconą w spiralę. Boki zbudowane są z cukrów i fosforanów. Szczeble są utworzone z 4 podstawowych substancji chemicznych — zasad: adeniny **(A)**, guaniny **(G)**, cytozyny **(C)** i tyminy **(T)**. **A** łączy się zawsze z **T**, a **C** z **G**. Sekwencja szczebli tworzy kod, który informuje komórkę jaką proteinę ma wytwarzać. Proteiny składają się z aminokwasów połączonych ze sobą jak wagony pociągu. Określona trzyliterowa sekwencja DNA decyduje o kolejności aminokwasów zestawianych w danej komórce (jest to tzw. szyfr trójkowy tworzący ściśle uporządkowaną kombinację 64 jednostek trójnukleotydowych, z których każda składa się z trzech spośród czterech zasad; kod ten jest uniwersalny — przyp. red.). Zgodnie z tym kodem są zbudowane wszystkie 20 aminokwasy stanowiące budulec każdej żywej komórki.

W manipulacjach genetycznych fragmenty DNA przenoszone są z komórek jednego typu do komórek innych typów. W tym celu uczeni biorą bakterię, wirusa, komórkę zwierzęcą lub roślinną. Pobierają z niej fragment DNA, odcinając go przy pomocy enzymów w specjalnych punktach wzdłuż „drabiny". Odcięty fragment (gen) łączą z DNA Escherichia coli (E. coli) pewnej nieszkodliwej bakterii, żyjącej w przewodzie pokarmowym.

E. coli zawiera pierścienie DNA zwane plazmidami. Naukowcy usuwają plazmid z komórki, otwierają pierścień przy pomocy enzymu tnącego i włączają nowy fragment DNA. Zamykają pierścień przy pomocy innego enzymu i umieszczają plazmid z powrotem w bakterii. Tak zmodyfikowana komórka przekazuje nowy gen następnemu pokoleniu komórek i w ciągu paru godzin naukowcy dysponują tysiącami bakterii zawierających hybrydowe DNA. Nowa kolonia, genetycznie zmodyfikowana będzie wytwarzała białka, zgodnie z kodem określonym przez wszczepiony gen. W pionierskim doświadczeniu opisanym w 1973 r. uczeni z uniwersytetów Stanford i San Francisco wszczepili E. coli gen uodparniający zarodki salmonelli na streptomycynę. Wówczas E. coli również uzyskała odporność na ten antybiotyk.

Możliwość przypadkowego rozprzestrzeniania się genów uodporniających bakterie na antybiotyki była jedną z tych, które skłoniły do dyskusji nad bezpieczeństwem badań nad modyfikacją genów. **Według nowych wymogów bezpieczeństwa przyjętych przez NIH, badania nad odpornością genów podlegają poważnym ograniczeniom. Również ściśle kontrolowane są eksperymenty z DNA bakterii i wirusów chorobotwórczych oraz genami do syntezy silnych trucizn. W obecnym momencie nie prowadzi się żadnych tego rodzaju badań.**

Uczeni zrewidowali swe poglądy na temat niebezpieczeństwa związanego z manipulacjami genetycznymi, kiedy zrozumieli lepiej, z jakim materiałem mają do czynienia. E. coli stosowane w większości eksperymentów utraciły zdolność do dłuższego życia poza laboratorium. Co więcej, geny ludzkie różnią się tak bardzo od genów bakterii-gospodarzy, że funkcjonują tylko w warunkach kontrolowanych przez badacza. **Ludzie boją się, by**

Foto: Archiwum

niechcący nie stworzyć czegoś niebezpiecznego. Uczeni wiedzą jednak, że nawet gdyby chcieli, nie mogliby tego zrobić.

Pierwszym produktem inżynierii genetycznej, wytwarzanym w wielkich ilościach będzie insulina ludzka. Insulina jest białkiem składającym się z dwóch łańcuchów aminokwasów. W 1978 r. udało się uczonym po raz pierwszy wyodrębnić fragmenty genów sterujących wytwarzaniem insuliny. Inny zespół uczonych połączył te fragmenty i wszczepił syntetyczne geny zawierające informacje dotyczące wytwarzania dwóch łańcuchów insulinowych do plazmidów E. coli. Równocześnie wszczepiono mechanizm regulacyjny, który uruchamia i zatrzymuje proces wytwarzania insuliny przez komórkę. Kiedy tak spreparowane plazmidy umieszczono w komórce E. coli, bakteria przystąpiła do wytwarzania insuliny.

Insulina stosowana obecnie do leczenia cukrzycy pochodzi od bydła i zawiera domieszki, które niekiedy wywołują reakcje alergiczne. Kiedy nastąpi już upowszechnienie na pełną skalę produkcji insuliny ludzkiej przez bakterie zaprogramowane genetycznie, lek ten stanie się tańszy i bezpieczniejszy.

Specjaliści przystępują już do wytwarzania innych protein ludzkich. **Zespół uczonych szwajcarskich zaprogramował E. coli do wytwarzania interferonu, naturalnej substancji zwalczającej wirusy. Interferon może być stosowany do leczenia grypy, zapalenia wątroby i innych infekcji wirusowych. Trwają też doświadczenia z zastosowaniem interferonu do zwalczania raka.** Bakterie mogą produkować znaczne ilości interferonu. Wszelkie eksperymenty z interferonem są ograniczone z tej przyczyny, że obecnie substancję tę wytwarza się w znikomych ilościach z białych ciałek krwi. Koszt jednej kuracji interferonem sięga 50 tys. dolarów. Drogi i wytwarzany w ograniczonych ilościach jest także hormon wzrostu przysadki mózgowej, stosowany do leczenia niektórych przypadków karłowatości. Również i ten hormon zaczęto obecnie produkować metodą manipulacji genetycznych. Zapewne w przyszłości metoda ta znajdzie również zastosowanie do wytwarzania Czynnika VIII, białka wchodzącego w skład krwi, podawanego chorym na hemofilię w celu powstrzymania krwotoku.

Manipulacje genetyczne umożliwią też uczonym odkrycie tajemnic budowy i funkcjonowania genów. Wszystkie komórki, z wyjątkiem jajowych i spermy zawierają kompletny zestaw genów, lecz większość tych genów nie funkcjonuje dopóty, dopóki nie zostaną w jakiś sposób uruchomione. Zespół uczonych z uniwersytetu harvardzkiego wyjaśnił niedawno funkcjonowanie takiego systemu „włączania" na przykładzie standardowego wirusa laboratoryjnego „lambda".

Lambda chętnie atakuje E. coli, gdzie przyjmuje dwa radykalnie odmienne sposoby zachowania się. W jednym przypadku DNA lambdy przejmuje sterowanie organizmem bakterii i zmusza ją do wytwarzania nowych wirusów lambda. E. coli pęka, uwalniając nowe lambdy i ginie. W drugim przypadku DNA lambdy nie uaktywnia się i bakteria reprodukuje swe pokolenia jedno po drugim.

Zachowanie genów lambdy, jak wyjaśnili uczeni, zależy w znacznej mierze od molekuł „powstrzymujących" (repressor). Normalnie DNA wysyła instrukcje dotyczące syntezy białek za pośrednictwem odpowiedniego enzymu. Lecz jeśli gen osłaniają molekuły „powstrzymujące", enzym nie może przekazać genowi instrukcji DNA i gen pozostaje nieaktywny. Uczeni odkryli, że te same represory mogą także „włączać" gen. W zależności od położenia represora w „sferze kontroli" DNA, może on albo przyciągać enzym przekazujący instrukcje i w ten sposób uruchamiać proces reprodukcji wirusów albo odbijać go, przez co geny pozostają nieaktywne. Doświadczenia te umożliwiają odkrycie zasad regulacji sterowania genetycznego, dzięki czemu uczeni będą mogli przeszczepić bakteriom geny wyższych organizmów i także je uruchamiać.

Uczeni potrafią także obecnie określić dokładną sekwencję kodu we fragmencie DNA i ustalić umiejscowienie genów w chromosomach. Istnieją setki tysięcy możliwych kombinacji sekwencji kodu wewnątrz genów. Ponieważ uczeni potrafią wytwarzać geny w wielkich ilościach, będą mogli zbadać dość genów, aby ustalić lokalizację czterech podstawowych zasad (A, T, C, G).

Ponadto biologowie potrafią już odpowiedzieć, jak ponad 100 tys. genów ludzkich pasuje do 46 chromosomów. Aby się tego dowiedzieć, zmieszali „próbny" gen z chromosomami, których DNA zostało przepołowione wzdłuż. Podstawowe zasady DNA genu „próbnego" automatycznie odnajdują swych naturalnych partnerów w stosownym miejscu przepołowionego chromosomu: **A** łączy się z **T**, a **C** z **G**. Dzięki temu uczeni dowiedzą się do jakiego chromosomu pasuje dany gen i w którym miejscu w chromosomie normalnie się on znajduje. **Sporządzenie takiej „mapy genów" umożliwi leczenie chorób dziedzicznych, które wynikają z defektu pojedynczego genu.** Jeżeli naukowcy zlokalizują odpowiedni chromosom, to będą mogli zreperować uszkodzony gen, albo wymienić go na nowy, bez defektu.

Najnowsze badania DNA mogą przyczynić się do rozwiązania zagadki raka. Uczeni z San Francisco wyodrębnili geny wirusów wywołujących nowotwory u kurcząt i geny, które sprawiają, że komórka staje się złośliwa. Jeden z genów wywołujących nowotwór przekazuje komórce instrukcję, aby wytwarzała enzym przenoszący cząsteczki fosforanowe do białek. Według hipotezy tej grupy uczonych, to przenoszenie cząsteczek jest przyczyną wzrostu nowotworowego. **Jak dotychczas, hipoteza ta nie doprowadziła do opracowania strategii terapeutycznej.**

Naukowcy stwierdzili także, że rakotwórcze geny dokonujące inwazji komórki są dokładnie takie same jak te, które zamieszkują. Sugerują oni, że może to być wskazówką wyjaśniającą jak komórki rosną i różnicują się: jeżeli gen, który wtargnął do komórki, wywołuje raka sprawiając, że komórki rozmnażają się bez kontroli, to jego nieszkodliwy odpowiednik może normalnie kontrolować wzrost i różnicowanie się komórek. W ten sposób badania nad rakiem, będące problemem medycznym, mogą przyczynić się do rozwoju wiedzy o różnicowaniu się komórek.

Obecnie, kiedy kojarzenie genów jest stosunkowo tak łatwe, naukowcy stwierdzają, że czas na rewizję starych dogmatów genetycznych. Do niedawna, na przykład, mikrobiologowie zakładali, że geny bakterii są dokładnie takie same, jak wyższych organizmów. Lecz uczeni z Massachusetts Institute of Technology i NIH niezależnie odkryli zasadniczą różnicę. Wszystkie podstawowe zasady DNA bakterii (A, T, C, G), uformowane w jednostki trójnukleotydowe są przez enzymy odczytywane i tłumaczone bezpośrednio na język instrukcji dotyczącej zestawienia aminokwasów w białka. Tymczasem w DNA wirusów i ssaków uczeni odkryli, że elementy DNA zawierające kod budowy białek są oddzielone sekwencjami, które, jak się wydaje, nie mają odniesienia do żadnych w ogóle białek.

Odkrycie tych sekwencji pośrednich — „intronów" — zmienia konwencjonalny obraz funkcjonowania genów ludzkich. Podstawowe zasady DNA tworzą cząsteczkę kwasu rybonukleinowego (RNA). Zanim stosowna informacja zostanie przekazana do części komórki, w której zgromadzone są aminokwasy do syntezy białek, enzymy muszą dokonać obróbki RNA. Muszą wyciąć introny i połączyć bezpośrednio ze sobą pozostałe segmenty kodujące.

Jeśli geny są podzielone na części, to musi być w tym jakaś logika. Uczeni z Harvardu przypuszczają, że „segmentowe" geny musiały odegrać rolę w ewolucji człowieka. Ze słów podzielonych spacjami można łatwiej tworzyć sensowne nowe zdania niż ze słów zapisanych jednym ciągiem. Podobnie, przekonani są uczeni, informacje zapisane w DNA łatwiej tworzą kombinacje genów, jeżeli oddzielone są intronami. Te nowe kombinacje DNA mogą zmienić charakter komórki i nadać organizmowi przewagę w procesie naturalnej selekcji.

Inne niespodzianki wyszły na jaw w laboratoriach MIT. Tamtejszy zespół specjalistów sporządził kryształy DNA i stwierdził, że nie przypominają one wcale spirali Watsona i Cricka. Pionierzy podwójnej spirali opracowali swój model na podstawie niezbyt wyraźnych zdjęć rentgenowskich. Kryształy dostarczyły wyraźnych obrazów, na których po raz pierwszy zobaczono pojedyncze atomy DNA. Krystaliczne DNA miało kształt zygzakowaty, było skręcone w lewo i nie przypominało wcale gładkiej spirali skręconej w prawo. Wciąż nie jest jasne, dlaczego i kiedy przyjmuje ono czasami taki kształt. Alexander Rich, pod którego kierunkiem przeprowadzono eksperyment, sądzi, że „Z-DNA", jak je nazwał, jest być może związane z rakiem.

Inżynieria genetyczna koncentruje na sobie tak wielką uwagę opinii publicznej i inwestorów, że wynika z tego jeszcze inne niebezpieczeństwo — mianowicie takie, że informacja naukowa będzie rozpowszechniana na konferencjach prasowych. Zamiast przedstawić swe osiągnięcia w sposób tradycyjny, na łamach czasopism naukowych, których publikacje przed ukazaniem się drukiem są recenzowane przez autorytety, niektórzy uczeni udają się obecnie ze swymi odkryciami bezpośrednio do środków masowego przekazu. Tak na przykład, o wytwarzaniu insuliny przez zmodyfikowane genetycznie bakterie poinformowano na konferencji prasowej zanim jeszcze przeprowadzono dodatkowe i konieczne w takim przypadku doświadczenia, mające wykazać, że uzyskany tą metodą hormon funkcjonuje należycie. Udowodniono to dopiero 9 miesięcy później. Takie przedwczesne ogłaszanie rezultatów może zmniejszyć zaufanie do świata nauki i obniżyć poziom badań. Jednak wielu uczonych jest przeświadczonych o tym, że czysta nauka i przemysł potrafią współżyć ze sobą. Biologowie bujali dotychczas w niebiosach. Chemicy żyją w skomercjalizowanym świecie od 50 lat i nadal prowadzą ciekawe badania.

Dla dobrych uczonych interesujące są badania same w sobie. Dlatego rozbili jądro atomu, wsłuchują się w elektroniczne impulsy z galaktyk i kojarzą pasemka DNA. Sprawą drugorzędną jest dla nich to, czy ich odkrycia po prostu wzbogacą literaturę fachową, czy też zapoczątkują nową dziedzinę przemysłu. Badania genetyczne rokują zarówno jedno, jak i drugie. Lecz przede wszystkim uchylą szerzej kurtynę tajemnicy życia na Ziemi. A także wzbogacą życie niezmordowanych mieszkańców naszej planety.

WSPOMNIENIA Z POŚLIZGU

Fascynują mnie te książki. Nie pamiętam już, czy pisałem przed dziewiętnastu laty o pierwszym tomie „Pół wieku" Jerzego Putramenta, chyba jednak tak, bo — jak napisałem — fascynują mnie te książki. Może jestem naiwny, na pewno obce mi są te wszystkie taktyczne rozgrywki, te wszystkie kulisy i niuanse wielkiej (czy na pewno wielkiej?) polityki ale może właśnie dlatego tak bardzo pociąga mnie aura tych wspomnień.

Nie znam Putramenta, z jego książek najbliższa mi jest właśnie... najdalsza, bo pierwsza — „Rzeczywistość". Zastanawiam się, dlaczego? Przecież to lata dla mnie historyczne — lata trzydzieste; Wilno, którego nie znam, ludzie o których wiem tyle co nic, sprawy z podręcznika historii... Ale przecież owa „Rzeczywistość" — reporterskowspomnieniowa książka o wileńskim „Po prostu", jest w gruncie rzeczy pierwszym tomem „Pół wieku". Ten sam osobisty klimat, ten sam walor dokumentu, lekko tylko kamuflowany niedopowiedzeniem, fikcyjnym nazwiskiem, z reguły zresztą rozszyfrowanym parę stronic dalej... Ten sam klimat co we wszystkich późniejszych tomach „Pół wieku".

Inne książki Putramenta są dla mnie zimne, wystylizowane, „literackie". Tylko jeszcze w wierszach, które pisarz zarzucił i może zlekceważył, pulsuje autentyczność i wzruszenie. Tak właśnie, jak w tym serialu wspomnieniowym, który jest autentyczną, szczerą (do pewnego stopnia zapewne, ale to nieuniknione...) opowieścią o pomyłkach, potyczkach, meandrach i dramatach współczesności.

Z roku na rok, z tomu na tom ten serial staje się coraz bardziej tragiczny i gorzki. Przypuszczam, że nawet trochę wbrew autorowi — jego wiara jest prawdziwa i niezniszczalna, zasługuje na szacunek. Jest to wierność sobie, swoim czasom, swojej drodze życiowej, ale ta gorycz i ten tragizm wynikają z naporu faktów i wydarzeń.

Putrament nie kreuje fabuły swojej opowieści, w minimalnym stopniu kreuje siebie, chociaż jest to przecież dobrym prawem każdego pamiętnikarza. Putrament notuje. Czas i to wszystko, co niesie jego wartki strumień — brudną pianę i nenufar, jakieś okruchy wydarzeń, jakieś ułamki wspomnień...

Jakże bardzo polskie i współczesne są kolejne tomy „Pół wieku"! Jakże wymowna jest sama chronologia tych książek! Piąty tom „Poślizg", napisany jesienią 1970 roku, ukazuje się wiosną 1980 roku — już po opublikowaniu tomu szóstego i siódmego („Rapanui" i „Natasza"). „Poślizg", drukowany swego czasu w „Miesięczniku Literackim", nazywał się „Przełom", ale okazało się, że to nie był jednak przełom — wyszło na to, że był to tylko poślizg.

Mogą sobie kpić z Putramenta różni dowcipnisie z humorystycznych rubryczek, dla mnie te książki budzą szacunek. Właśnie one mnie poruszają i fascynują — nie „literackie" powieści, których pisarz tyle opublikował. Tym „serialem" Putrament wpisał się w literaturę bardziej niż całym swoim bogatym dorobkiem powieściopisarskim.

Pokażcie mi bowiem współczesną książkę współczesnego pisarza, który jednym nieraz zdaniem, jedną krótką charakterystyką, jedną sceną, anegdotą potrafi powiedzieć tak wiele i tak dojmująco o całej złożoności życia, polityki, ideologii...

„Poślizg" przeczyta kilkadziesiąt tysięcy ludzi — o wiele za mało. Jest to bowiem książka kształcąca, książka, która mówi o względności spraw i ludzi, a jednocześnie mówi o stałości postaw i przekonań. I mówi jeszcze, a może przede wszystkim — ile trzeba siły i wiary, aby tę stałość w sobie pielęgnować. Na przekór ludziom — jakże nieraz małym i podłym, na przekór wydarzeniom i sezonowym mądrościom. Na przekór głupocie.

Fascynują mnie te książki. Nawet, jeśli Putrament robi uniki i ucieka nieco od współczesności, jak choćby w „Rapanui". Od tomu „Literaci" minęło jedenaście lat, teraz mamy „Poślizg", pod koniec roku będzie kolejny tom, „Zmierzch". Mam nadzieję, że tytuł nie sugeruje końca cyklu. Przecież życie się toczy — trudne, złożone, ciekawe, a notatki Jerzego Putramenta wypełniają się coraz to nowymi zapisami.

WIDOK

JERZY KWIECIŃSKI

Nęcą go festiwale i poeci,
Ale do lalek na bajki też leci.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

TAK MI SIĘ WYDAJE

Pewien wysoce utytułowany sportowiec, reprezentant kraju olimpijczyk, na szczęście nie z Łodzi, przygotowując się do olimpiady w Moskwie doszedł do wniosku, że ma tyle pracy, wyjazdów iż nie będzie mógł pomagać żonie w cięższych pracach domowych. Jako jednak człowiek troskliwy i myślący przede wszystkim o sobie, postanowił wystąpić do klubu z prośbą o wyasygnowanie odpowiedniej kwoty na... utrzymanie pomocy domowej. W jego ślady poszedł kolega klubowy.

Nie zdziwię się, jeśli klub przychyli się do prośby obu troskliwych mężów. Sportowcom na ogół nieba się przychyla, dlaczego więc nie dać im trochę grosza na utrzymanie pomocy domowej, jeśli takowe znajdą. Dziś bowiem znalezienie pomocy domowej równa się wygraniu na loterii, albo i jeszcze więcej. Zmiany społeczne, jakie zaszły w naszym kraju, zniechęciły do niektórych zawodów i prac. Wśród nich jest również wcale nie łatwa i niewdzięczna praca pomocy domowej, acz przecież niezbędna.

Każdy z nas produkuje śmiecie, a poza tym ma przeróżne potrzeby. Śmiecie trzeba sprzątać, a potrzeby zaspokajać. Najczęściej robimy to sami. Sami sprzątamy nasze mieszkania, gotujemy sobie jedzenie, robimy tak zwane przepierki, ale są i tacy, którzy nie ufają pralniom miejskim i sami piorą. W każdej rodzinie dokonuje się podziału tego rodzaju prac. Najpierw między dorosłych, a później, gdy już podrosną dzieci, również i one otrzymują domowe obowiązki. Od tego modelu są jednak różne odstępstwa. Na ogół większa część tych obowiązków spada na kobietę. Nie bez powodu mówi się, że pracuje ona na dwóch, albo i na trzech etatach. Zawodowo, jako gospodyni domowa własnego domu oraz wychowawczyni swoich dzieci. Coraz częściej słyszy się, że byłoby dobrze zastanowić się, czy takie obciążenie kobiety jest korzystne ze społecznego punktu widzenia, czy społecznie to się opłaca. Niektórzy proponują, aby kobieta wróciła z powrotem do kuchni, do domu, do dzieci, aby przestała zajmować się swoimi sprawami zawodowymi, ambicjami społecznymi czy kulturalnymi, aby zajęła się dziećmi, bo to więcej warte niż cały ten „babski ruch", baby w biurach, w sklepach, w fabrykach, szpitalach, szkołach i tak dalej.

Dla mnie jest to koncepcja obłędna. Rozumiem, że czasem zbytnio rozdymamy etapychadła, swoje ambicje też mam i zainteresowania.

Nie ulega wątpliwości, że nie jesteśmy mocarstwem usługowym. Przeciwnie. Usługi u nas nie nadążają. Pozostają — jak to się mówi — w tyle. Ale nie tylko dlatego, że są niedostatecznie rozwijane. Również i dlatego, że nie umiemy korzystać z usług, że nie tworzymy zapotrzebowania na nie, na coraz nowsze, bardziej wymyślne, a ułatwiające nam życie. Bieliznę praktycznie można oddać do prania, nie ruszając się z domu, jeśli miało się szczęście i ma się telefon. Telefon, choć nadal jest to urządzenie deficytowe i stanowi przedmiot marzeń i pożądań wielu, co się jednak chyba zmieni, bo założenie telefonu katastrofalnie podrożało, to przecież zaczyna coraz silniej odgrywać rolę w naszym życiu. Przez telefon można sobie zamówić cyklinowanie podłogi, (właśnie jakiś pan dzwonił dziś rano do mnie w tej sprawie, wyrywając mnie ze snu i zamawiając cyklinowanie podłogi, ale się rozczarował, bo ja to nie żaden punkt usługowy, tylko pomyłka telefoniczna), przez telefon można zamówić sobie mycie okien, sprzątanie, nawet malowanie mieszkania. Ale wielu woli robić to samemu, bo uważa, że jednak jak człowiek sam to zrobi, to zrobi lepiej. Ale to jest złudzenie. A także, że tak będzie taniej, ale to też jest złudzenie.

Są bowiem ludzie, którzy zamiast odkurzać w sobotę mieszkanie, powinni siedzieć i myśleć, bo to się społeczeństwu lepiej opłaci, gdy myślą oni o sprawach społecznych. Na przykład projektanci, dyrektorzy, kierownicy i tak dalej i niezależnie od płci. Są też ludzie, którzy zamiast myć okna przed świętami powinni myśleć, bo to się też społecznie bardziej opłaci. Ale żeby tak było, trzeba nauczyć się korzystać z usług, wymuszając tym dalszy i intensywny ich rozwój. Innej drogi nie ma. Tak mi się przynajmniej wydaje.

MARCIN RODAR

DUŻO IMPREZ, MNIEJ EMOCJI

Wiosna nie może jakoś przebić się i w pełni rozkwitnąć, ale, mimo mało sprzyjającej aury, wiosenny sezon sportowy mamy w pełni. Imprez co niemiara. A to mistrzostwa Europy w zapasach i podnoszeniu ciężarów, a to mistrzostwa indywidualne Polski w boksie, a to znów zacznie się kolejny Wyścig Pokoju, a i na ligowych boiskach dzieją się różne ciekawe i dziwne rzeczy. Jest to jednak taki sezon jakby na niby, jakby nie do końca, jakby częściowy.

Weźmy choćby zapasy. To ładnie, że starsi zawodnicy ustępują miejsca młodszym, dając im szansę na medale. Ale przecież wszyscy dobrze wiedzą, że trenerzy „chowają" braci Józefa i Kazimierza Lipieni na imprezę najważniejszą, na olimpiadę. Może to i dobrze, ale odbiera to urok imprezom wcześniejszym, pomniejsza ich rangę. To tak, jak w piłce nożnej. Niby każdy mecz ważny, każdy przeciwnik może być niebezpieczny, żadnego nie można lekceważyć, ale w gruncie rzeczy wszyscy wiedzą, że dwa pojedynki będą się liczyły: w eliminacjach do mistrzostw świata z NRD i Maltą. I wszystko się robi po to, aby w dwóch pojedynkach wypaść jak najlepiej. Niby to dobrze, ale nie do końca, bo trenerzy, kibice i zawodnicy uczą się dzielić sportowe spotkania na te ważniejsze i te mniej ważne, które ewentualnie można przegrać.

Nie byłoby w tym może nic złego, gdybyśmy w każdej dziedzinie sportu dysponowali dostateczną ilością dobrze wyszkolonych zawodników. A jest przecież inaczej. Ileż to kłopotu miał i ma Ryszard Kulesza ze skompletowaniem reprezentacyjnej jedenastki. Tylko dr Zbigniew Rusin tych kłopotów ma jakby mniej. Ale też i imprez ma więcej. Krótko po Wyścigu Pokoju rozpocznie się olimpiada, trzeba szykować różne zespoły na każdą z tych imprez. A dla kibiców kolarstwa Wyścig Pokoju zawsze ma duże znaczenie. Dr Zbigniew Rusin jest optymistą. Jego zdaniem przygotowano dobry zespół na majową imprezę kolarską. Zobaczymy.

Na boiskach piłkarskich natomiast jakby było spokojniej, choć i tu dzieją się dość ciekawe rzeczy. Na przykład jedenastka bydgoskiej Zawiszy wygrała wysoko z innymi wojskowymi klubami: ze Śląskiem i zremisowała z Legią po żałosnym piłkarskim widowisku. Zawisza broni się przed spadkiem i będzie zażarcie walczyć o utrzymanie się w I lidze. Jej partnerem w tej walce jest GKS Katowice. Kto będzie mocniejszy?

U góry tabeli sytuacja można powiedzieć jasna, ale nie do końca. Bytomskie Szombierki mają przewagę 5 punktów nad Śląskiem i Legią. Legia gra niedługo z Lechem w finale Pucharu Polski. Legia ma też zaległy mecz z ŁKS. W razie wygranej ta różnica punktów będzie mniejsza. Ale PZPN nie wyznacza terminu zaległego meczu. Dlaczego? Co wnikliwsi kibice są skłonni podejrzewać, że wszyscy spokojnie czekają na wynik meczu Legia — Lech. Jeśli bowiem Legia przegra z Lechem, to będzie walczyć o premiowane zagranicznymi występami miejsce w lidze, jeśli zdobędzie Puchar Polski to z walki tej zrezygnuje. Ale co to ma wspólnego ze sportem? To już raczej można nazwać rachmistrzowskimi kalkulacjami.

Niewiele wspólnego ze sportem ma też ostatnia sprawa, o której chciałabym napisać kilka zdań. Zakończył się już proces bramkarza Widzewa Stanisława Burzyńskiego i drugiego bramkarza tego klubu Piotra Gajdy. Wyrok wprawdzie jest jeszcze nieprawomocny i należy spodziewać się apelacji, ale został już ogłoszony i sprawa, która długo niepokoiła opinię publiczną została zakończona. Stanisław Burzyński został skazany na 2,5 roku więzienia, od Piotra Gajdy zasądzono 25 tysięcy złotych grzywny. Szczegółowo o procesie pisała prasa codzienna.

BOGDA MADEJ

SER TRAPISTÓW

Dokonaliśmy niedawno małego rajdu po sklepach różnych branż. Wrażenia też były różne. Ich najgorętszy zapis — może nie dosłowny, ale bardzo do dosłownego zbliżony, wygląda tak.

1. W SKLEPIE CUKIERNICZYM.

— Czy mogę dostać czekoladę, taką twardą, wie pani...

— Dostać nie. Chyba kupić.

— Tak, oczywiście, kupić.

— Pan popatrzy. Którą podać?

— Jaka jest cena tej?

— Tam jest napisane. Czy pan nie umie czytać?

— Gdzie? Aha. Sto złotych. A czy to twarda?

— Nie wiem. Zje pan, to się pan przekona.

— Ale to dla dziecka. Może lepsza byłaby mleczna?

— Jak pan się namyśli, to może pan przyjść jeszcze raz. Tu nie poradnia, proszę pana, tu się pracuje.

2. W SKLEPIE KOSMETYCZNYM.

— Chciałbym, proszę pani, szminkę. Wie pani, dla kobiety... To jest dla jednej takiej osoby...

— Domyślam się. Ale mamy tylko „Pierwszy uśmiech". Tego bym nie radziła.

— Dlaczego nie?

— Straszna tandeta. Ach, jest jeszcze „Płonący uśmiech", ale pan by chyba tego nie wziął.

— A dlaczego? Właściwie, zdaje się...

— Wprawdzie są osoby, które tego używają, więc jak pan chce.

— Ale ja chciałem właśnie dobrą szminkę, taką czerwoną, wie pani...

— Dobrych szminek u nas nie ma.

— A, nie ma... No to przepraszam.

3. W SKLEPIE SPOŻYWCZYM.

— Proszę serek trapistów.

— Ten duży, kilowy?

— A czy ja wyglądam na takiego, co zjada kilo sera?

— Mamy tylko duże.

— A przekroić nie można?

— Nie.

— Dlaczego?

— Proszę pana, dlatego! Takie mamy instrukcje i już.

— A dlaczego są tylko duże?

— Takie nam przysłali.

— A małe?

— A małych nie przysłali.

— A kiedy będą te małe?

— Nie wiem. Zależy, kiedy nam przyślą.

— I przy tym wszystkim, łaskawa pani, to wcale nie jest ser trapistów, tylko zwyczajny topiony.

— Tak? A rzeczywiście, tu nawet napisane: topiony. No widzi pan, taki nam przysłali.

— A czy panią też przysłali?

— Oczywiście. Sama bym tu przecież nie przyszła. Zapakować?

— Zaraz. Kto panią przysłał?

— Jak to kto? Dyrekcja.

— Skąd?

— Z kwiatów. A przed kwiatami to sprzedawałam pończochy.

— Źle było pani w pończochach?

— Lepiej niż w rybach. W rybach zimno i śmierdzi. Najlepiej to bym chciała w meblach, tam się nie waży, nie naciąga na rękę, nie odmierza.

— Faktycznie. Przynajmniej się człowiek nie myli, prawda?

— Ale i tak wychodzi na swoje. Jak klient ma zapłacić czterdzieści tysięcy, to mu te dwa, trzy więcej nie robią różnicy, nie? No jak z tym serkiem?

— To już lepiej wezmę tamten.

— Tamten to atrapa. Z gipsu. Pięknie odrobione, nie?

— Gipsu nie jadam. Przepraszam, do widzenia.

Rajd skończyliśmy w pewnym bistro. Były flaki, kiełbasa z rożna, pieczarki. Sam pan ajent opróżnił popielniczkę, gdy siadaliśmy przy stoliku.

ĆWIEK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł kwartał 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1061. G-2.

Załącznik nr. 69(...)80

HASŁO NUMERU: Książka twój przyjaciel. Książeczka też. Zwłaszcza książeczka PKO

Decyzja

Pewna młoda angielska arystokratka zaprosiła na ojców chrzestnych aż sześciu mężczyzn. Decyzja ta podyktowana była wątpliwością, który z owych sześciu panów jest faktycznie ojcem dziecka które właśnie młoda arystokratka urodziła. Dała ona dziecku nazwisko swojej babki i wpisała dziecko do almanachu dobrze urodzonych. Panowie — ojcowie chrzestni znakomicie bawili się na chrzcinach.

Szczęście

Porucznik Colombo, a dokładnie Peter Falk ponownie się ożenił, wybierając sobie za małżonkę aktorkę o imieniu Shera. Jest z nią szczęśliwy. Nie bierze już udziału w pracy nad filmami o porucznika Colombo. Szkoda.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA

Powrót

Do czarnomorskiej zatoki Skurcza koło Suchumi powróciły delfiny. Ma to być podziękowanie za pomoc jednemu z nich, jakiej udzieliła mała gruzińska dziewczynka, spychając ranionego delfina z brzegu do wody. Delfiny te są obecnie pod ochroną.

Pech

Hindus Narayana przez 14 miesięcy przebył na rowerze około 43 tysięcy kilometrów, podróżując dookoła świata. Po drodze miał wiele przygód i przezwyciężać musiał wiele przeszkód. Ostatnia, nie do przebycia, zdarzyła mu się w Chicago, gdzie ukradziono mu rower. Trudno dalszą podróż dookoła świata na rowerze odbywać... pieszo. Co teraz zrobi Narayana?

Glob Troter

Ze sportu

Derby

Derby Łodzi wywoływały kiedyś duże emocje wśród kibiców piłki nożnej. Od pewnego jednak czasu obie łodzkie drużyny ŁKS i Widzew dzielą się punktami. Ostatnie derby Łodzi (30.IV.1980 r.) też zakończyły się remisem. I dopóki remis ten nie padł, był to ciekawy mecz. Z chwilą wyrównania, obie drużyny grały „na czas" aby prędzej mecz się skończył, a piłka broń Boże nie wpadła do bramki.

Czyżby już i w sporcie zaginął szlachetny duch rywalizacji?

K. I. Bic

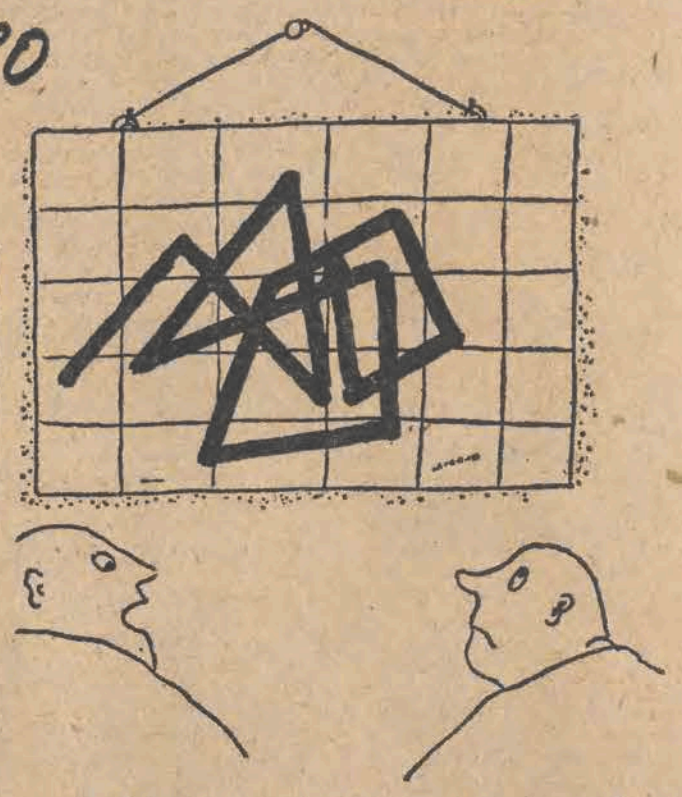

To jak my wreszcie stoimy z tym planem?

Rys. Walerian Domański

LIST Z WARSZAWY

KŁOPOTY

Warszawiacy mają różne kłopoty. Na przykład nawołuje się ich do tego, aby zbierali różne wtórne surowce, a później nie ma co z nimi zrobić. Nie ma bowiem osobnych pojemników do których można byłoby wrzucać różne śmieci oddzielnie. Wrzuca się więc wszystko razem, choć to oczywiste marnotrawstwo. Jak z tego widać, w sprawie śmieci postępu w Warszawie nie ma.

Jest natomiast postęp w sprawie malowania i znaczenia jezdni. Obecnie odmalowało się jezdnie Warszawy, co u jednych wywołuje zachwyt (u przechodniów) i rozpacz (u kierowców). Znaków też już jest tyle że połapać się w tym trudno. Stołeczny wydział komunikacji usprawnia jazdę po mieście mnożąc zakazy i nakazy. Ostatnio wydzielono specjalne pasy na jezdni wyłącznie dla autobusów miejskich. Kierowcy siedzą i płaczą. Trudno im się dziwić.

JAN KOWAL

Od redakcji. Wcale się z tego nie cieszymy, że w Warszawie ludzie mają podobne kłopoty do nas.

Z interesująca oferta dla działkowiczów i nie tylko zresztą dla nich wystąpił ostatnio „Pewex". Oferuje to przedsiębiorstwo nasiona warzyw i kwiatów za walu-

OFERTA DLA DZIAŁKOWICZÓW

ty wymienialne. Są to oczywiście nasiona importowane.

W „Pewexie" można sobie też zamówić maszynę do szycia, do lodów, pieczenia paczków i inne. A jest to już oferta dla hobbistów.

K. O. Nik

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

FRASZKI SZEKSPIROWSKIE

CYMBELIN

Nikt mi nie chce wierzyć, że takiego znałem, któremu „Cymbelin" mylił się z cymbałem.

KORIOLAN

Zwykle gdy obrastać zacznie w piórka nacja, schodzi trybun z trybun i w kąt kontestacja...

WESOŁE KUMOSZKI Z WINDSORU

Poważne oferty pod „W.K. z Windsoru". Potrzebny mąż. Stanu. Z poczuciem humoru!

WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DORZE KOŃCZY

Po pierwszym, najkrótszym z pięciu nudnych aktów, ten najlepiej wyszedł... Co wyszedł z teatru!

PRZEGLĄD PRASY

ZAGADKA

Czy można codzienną gazetę wydawać raz w tygodniu?

Okazuje się, że można. Próbę taką podjęła redakcja „TYGODNIKA PIOTRKOWSKIEGO".

NAGO, ALE Z KODEKSEM

Zapewne całą polską prasę obiegnie wiadomość, którą opublikował „Express Ilustrowany" o pewnym panu, który nago jedynie w krawacie i skarpetkach, wędrował późną nocą ulicami Łodzi, zatrzymując się przepisowo przy czerwonym świetle. Pan ten był oczywiście „na gazie". A mimo to szanował przepisy ruchu drogowego. Co to znaczy poczucie dyscypliny i znajomość Kodeksu Drogowego. Możemy być dumni z tak zdyscyplinowanych jednostek.

REORGANIZACJA

Wiadomość, że Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej przygotowuje się do przekazania Ministerstwu Handlu Wewnętrznego i Usług sprzedaży detalicznej ryb i gastronomi rybnej, „Życie Gospodarcze" skomentowało jako **„bardzo fatalny pomysł"**. Pismo uważa, że w wyniku tej reorganizacji pogorszy się i tak nie najlepsze zaopatrzenie rynku w ryby.

Poza tym okazuje się, że jest to powrót do organizacji handlowej, która istniała u nas w latach pięćdziesiątych i... nie zdała egzaminu. Magia reorganizacji jest jednak silniejsza niż wszystkie racjonalne argumenty.

SIŁA TRADYCJI

„Express Wieczorny" poinformował swoich czytelników o tym, że w Haczowie rodzeństwo Helena i Piotr Szworcowie mieszkają w... kurnej chacie. Nie godzą się na zamianę mieszkania (??!) i przekazanie kurnej chaty wyposażonej w tradycyjne sprzęty do Skansenu Budownictwa Ludowego w Sanoku. I to jest właśnie siła tradycji.

S. Z. Peracz

Rys. Jan Kilkowski

KONTRA MICHALINIE WISŁOCKIEJ

Nakładem Wydawnictwa CRZZ ukazała się książka Mikołaja Kozakiewicza „Zaproszenie do rozmowy", która — jak twierdzą znawcy przedmiotu — może być konkurencyjna w stosunku do słynnej już „Sztuki kochania" Michaliny Wisłockiej. Wprawdzie Mikołaja Kozakiewicza mniej interesuje technika kochania a bardziej konflikty i dylematy związane z dojrzewaniem seksualnym, z miłością, ale i tej książce przewiduje się duże zainteresowanie.

Nieliczne już egzemplarze „Zaproszenia do rozmowy" można jeszcze dostać w niektórych księgarniach.

N. N.

MAŚLAK ZWANY BOROWIKIEM

„Głos Robotniczy" w rubryce „U nas i gdzie indziej" donosi z radością że „w lasach woj. olsztyńskiego pojawiły się już pierwsze grzyby". Są to — donosi gazeta — „piestrzenice, popularnie zwane smardzami".

Niestety. Ani u nas, ani gdzie indziej piestrzenice nie są smardzami. Są to zupełnie inne grzyby. To tak, jakby ktoś maślaka pomylił z borowikiem.

Przy okazji informujemy, że piestrzenice występują w dwu rodzajach: piestrzenica olbrzymia (jadalna) i piestrzenica kasztanowata (trująca).

M. U. CHOMOR

DOWCIPY PANI PRZYRODY

Ilekroć zapadnie decyzja o zakończeniu sezonu ogrzewczego na początku maja, tylekroć Pani Aura płata nam figla i zaczyna dmuchać zimnem. Podobnie było i w tym roku. Ponieważ nie jest to już pierwszy tego rodzaju wypadek, ponieważ w dokumentach zapisane jest, jak to było w poprzednich latach, ponieważ na ogół na urzędnikach nam nie zbywa, to może ktoś usiadłby nad tym całym materiałem, zastanowił się, popatrzył, czy nie ma tam jakichś prawidłowości i wyciągnął z tego jakieś wnioski. Może dzięki temu uniknęlibyśmy niepotrzebnych strat związanych z ponownym włączaniem ogrzewania, jak je tylko wyłączymy. A tak przecież dzieje się nie tylko w Łodzi. Więc może jednak!

KELWIN

Dziennikarze nie zdobywają łatwo różnych informacji, taki to już zawód i byśmy się nie skarżyli, gdyby trudność wynikała z tego, że producent, urząd, instytucja pilnie strzeże swojej tajemnicy urzędowej, państwowej, gospodarczej. Ale różne zakazy i utrudnienia biorą się — niestety — z głupoty, lenistwa, bezmyślności, wygodnictwa. I to denerwuje, drażni, oburza.

W „Prasie Polskiej" (miesięcznik SDP) Stanisław Czajkowski z Gdańska („Głos Wybrzeża") opisał swoje kłopoty ze zdobyciem jakichkolwiek informacji w Zakładzie Armatury Samochodowej w Elblągu, bowiem fabryka ta podlega FSO w Warszawie i bez zgody FSO nikt w Elblągu nie może rozmawiać o tym, co robi się w Elblągu. W Warszawie zawsze wszystko lepiej wiedzą. Nawet na temat tego, kiedy prasa ma się interesować sprawami motoryzacji. Jest to oczywiście bzdura i brak respektu dla obowiązujących zarządzeń Rady Ministrów, żeby już nie wspomnieć postanowień partyjnych.

Zakazy

Inny przykład. (jul) z „Expressu Wieczornego" zadzwonił do Urzędu Miasta w Szczecinie z prośbą o informację na temat tego, ile jest aktualnie mieszkańców Szczecina i ile jest tam różnych zakładów pracy. W odpowiedzi usłyszał, że to tajemnica i telefonicznie o tym się nie dowie, bo urzędniczka ma zakaz. Trzeba na piśmie. (jul) sprawdził u źródła, u prezydenta Szczecina i okazało się, że nie ma zakazu.

Wszystkim ciekawym podajemy, że w Szczecinie wraz z przebywającymi czasowo jest 404 tysiące mieszkańców, 369 tysięcy stałych oraz 3,5 tysiąca różnych zakładów pracy.

O dalszych przypadkach podobnej bezmyślności będziemy informowali.

ZYG.

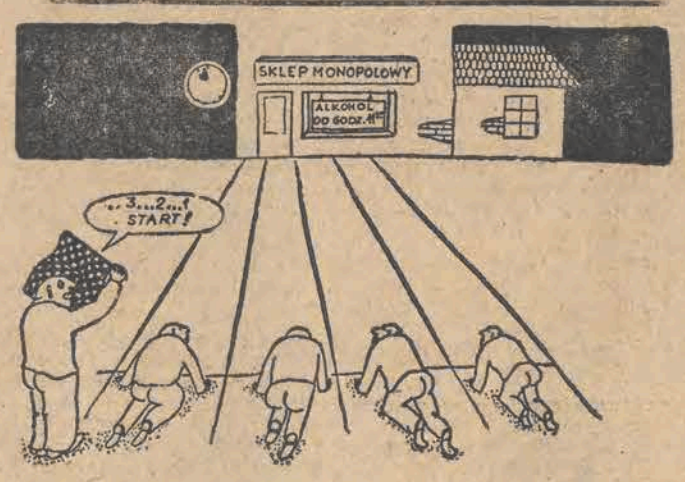

Rys. Walerian Domański

BIURO PISANIA PODAŃ

Jest coś takiego w wiośnie, co skłania nas do podejmowania dramatycznych decyzji. A to postanawiamy zacząć życie od nowa, to znów zjeść obiad za miastem (w niedzielę!), kupić zapas wody „Grodziskiej", albo napisać podanie w sprawie. Biura i urzędy są wiosną zawalone podaniami, to w takich, to znów innych, a więc różnych sprawach. Jak podań jest dużo a czegoś jest mało, to jasne, że podania nawzajem się wykluczają. Aby więc przyjść z pomocą Czytelnikom, opracowaliśmy kilka podań wzorcowych, dotyczących różnych spraw. Wystarczy tylko wstawić odpowiednie dane i — ręczymy za skutek!

W SPRAWIE PRZYDZIAŁU SAMOCHODU

imię i nazwisko
adres

Miejscowość, data (wcześniejsza)

Do . . . . . .
. . . . . .

Zwracam się z uprzejmą prośbą o przydział samochodu. Prośbę swą motywuję tym, że mam bardzo duże trudności w komunikowaniu się z moim najbliższym otoczeniem. Z żoną na przykład prawie wcale już się nie komunikuję, bo ciągle mi wypomina, że jestem niedojda, bo nie mam samochodu. Wpadłem z tego powodu w takie stressy i taki jestem roztrzęsiony, że nic mi nie wychodzi, że w rezultacie rzuciła mnie w krótkim czasie trzecia już dziewczyna (wszystkie zresztą mieszkały dość daleko, co też nie jest bez wpływu). Cały ten splot okoliczności sprawia, że pracuję coraz gorzej, wszystko mi z rąk leci. Myślę, że naszego państwa nie stać na marnotrawienie pieniędzy włożonych w moje wykształcenie (posiadam wyższe, jestem prawie magistrem), w związku z czym wnioskuję jak powyżej.

(podpis)

Do podania załączam:
— oświadczenie żony
— odpis pisma wymawiającego mi pracę
— 50 tys. zł

c.d.n

TADEUSZ FANGRAT

NA „DNI"

NAD BIAŁYM KRUKIEM
Choć nieulotny i starej daty,
a ileż myśli w nim skrzydlatych.

ŚLISKIE TEMATY
Śliskie tematy chodzą mi po głowie.
Oby mi tylko wyszły na zdrowie.

Nie jesteśmy gorsi

Przekonanie o naszej powszechnej wyższości jest też powszechne. U nas oczywiście. Myśmy już wiele spraw rozwiązali wcześniej, albo byliśmy co najmniej na dobrej drodze. Przykładem tego może być wynalazek angielskiej firmy Imperial Chemical Industries, która opracowała elektrostatyczny opylacz do roślin. Rewelacyjność tego wynalazku polega na tym, że cały płyn, którym opyla się roślinę, zostaje na niej, a część jego nie rozpyla się w powietrzu, nie osiada na ziemi.

Wiadomość o tym wynalazku podała prasa. Przeczytał to — jak podaje „Przegląd Techniczny" — inżynier Jan Pietras z Gdańska i przypomniał sobie, że 13 lat temu on zrobił coś takiego, jako pracę dyplomową. Odgrzebał dokumentację, wysłał ją do Skierniewic do Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarstwa. Otrzymał dobrą ocenę. Szkopuł w tym, że skierniewicki instytut może zrobić prototyp dopiero w 1981 roku. Inż. Jan Pietras sam więc robi prototyp.

I czy nie jesteśmy lepsi od innych?

Myśmy już taki opylacz mieli 13 lat temu. I nic z tego nie wynikło. Teraz zresztą też nie wyniknie. Niedługo kupimy angielską licencję.

Zyg II.